TYGODNIK POWSZECHNY

SENS ZAMIAST SENSACJI

Czy Trump jest nadal atrakcyjny

Psychiatrzy kłócą się o ADHD

Jak AI skończyła matematykę

Dlaczego warto robić nowe rzeczy

DODATEK Barańczak: 80. urodziny

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 10 – 17 listopada 2026 | nr 46 (4036)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

NIEPODLEGŁOŚĆ SWOJE WAŻY

ANDRZEJ LEDER
O DUMIE

MARCIN MATCZAK
O PRAWIE

MICHAŁ PRZEPERSKI
O TRANSFORMACJI

INGA IWASIÓW
O PAMIĘCI



ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

eprasa.pl 188c212f72



REKLAMA

eprasa.pl 188c212f72

4 Edytorial
KS. ADAM BONIECKI, MICHAŁ OKOŃSKI

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Trumpizm – tak, wypaczenia – nie
JACEK STAWISKI

8 Komentarze

■ ■ KRAJ

16 Specjalsi i socjalsi
MAREK RABIJ: *Czy armia na pewno dojrzała do powszechnej służby kobiet*

20 Gdy prawo staje się polem bitwy
MARCIN MATCZAK: *Jeśli wspólne rozumienie sytuacji wokół TK się rozpada, przyszły autokrata ma wolną drogę*

23 ADHD. Mity i rzeczywistość
ROZMOWA Z RADOSŁAWEM STUPAKIEM *o rozwijających się mózgach i stymulantach*

■ ■ ROZMOWA

28 Czy naród może być dumny
ROZMOWA Z ANDRZEJEM LEDEREM: *W wielu społeczeństwach emancypacja do statusu obywatelskiego odbywała się przez unarodowienie*

■ ■ ŚWIAT

34 Wybory testowe
MARTA ZDZIEBORSKA I MATTHEW BOYSE: *Czy obecne zwycięstwo Demokratów wystarczy, by utemperować Trumpa? Co oznacza dla Polski?*

38 Święty Eliasz i rosyjska zima
ANDRIJ LUBKA: *Zima w tym roku zaczęła się u nas w sierpniu*

40 Dziewczęca szkoła przetrwania
MIŁKA FIJAŁKOWSKA: *„Jedyne, co mam, to boks. Tylko on daje mi radość" – mówi 14-letnia Layan ze Strefy Gazy*

42 Trochę braterstwa
PATRYCJA BUKALSKA: *Poległy w czasie I wojny światowej kapelan Willie Doyle może zostać świętym*

■ ■ WIARA

44 Kościół w liczbie mnogiej
O. KASPER MARIUSZ KAPROŃ: *Gdy ktoś pyta mnie, jaki jest katolicyzm Ameryki Łacińskiej, odpowiadam pytaniem: który?*

48 Modlitwa pozytywisty
MARCIN TUSIŃSKI: *Rodzina Kolpingowska to spora katolicka wspólnota, w której wcale nie trzeba być katolikiem*

51 Kartka w podszewce
WOJCIECH ZALEWSKI: *Dlaczego jeden z największych umysłów XVII wieku przyznał rację sercu, a nie rozumowi?*

53 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA SJ
KARD. GRZEGORZ RYŚ

MAŁGORZATA BĘDOWSKA DLA „TP"

TEMAT TYGODNIKA



10 Niepodległość swoje waży
MICHAŁ PRZEPERSKI

Jak sprawić, by państwo po transformacji było rzeczywiście wspólne?

■ DODATEK ■

71 DOSYĆ JUŻ O MNIE. BARAŃCZAK: 80. ROCZNICA URODZIN
Teksty Krzysztofa Siwczyka, Jerzego Jarniewicza i Anny Pajęckiej

■ FELIETONY ■

9 BARTOSZ MINKIEWICZ *o wyborach połówkowych*

27 OLGA DRENDA *o byciu na czas*

43 WOJCIECH BONOWICZ *o subtelności*

92 PAWEŁ BRAVO *o ulicznym jedzeniu spod Wezuwiusza*

98 TOMASZ STAWISZYŃSKI *o księżach na kozetce*

ILUSTRACJA NA OKŁADCE: MAŁGORZATA BĘDOWSKA DLA „TP"

REDAKTOR PROWADZĄCY: MICHAŁ OKOŃSKI

■ ■ ESEJ

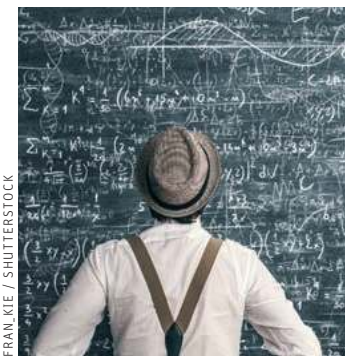
54 Duce, czyli zagadka
ŁUKASZ NAJDER: *Jeden z najbardziej imponujących projektów literackich ostatnich lat to zarazem ostrzeżenie. Dyktatura zawsze może czaić się za rogiem*

■ ■ HISTORIA

58 Odrodzeni
JULIA KALĘBA-WYSOCKA: *Po II wojnie ponad 250 sierot trafia do pałacu w Krzeszowicach*

■ ■ NAUKA

62 Utracona królowa



FRANKIE / SHUTTERSTOCK

ŁUKASZ KWIATEK: *Wchodzimy w erę, w której matematyka może się rozwijać bez wkładu człowieka*

66 Pułapka na antymaterię
WOJCIECH BRZEZIŃSKI: *Fizycy nauczyli się przez miesiące utrzymywać cząstki antymaterii*

■ ■ KULTURA

80 Czwórka z historii
INGA IWASIÓW: *Najważniejsze polskie powieści tego roku zwracają nas ku przeszłości*

84 Młody Matczak kontra starzy
MICHAŁ WALKIEWICZ: *W jego tekstach jest wszystko, za co milenialsi mogliby pokochać zetki*

86 Sonata widm
JACEK WAKAR: *Agata Duda-Gracz pokazuje, że rzeczywistość sprzed ponad wieku reprodukuje się do dziś*

88 Milion za upiora
RAFAŁ CHRIST: *Czy nasz stosunek do horroru wreszcie się zmienia?*

90 Koń a sprawa amerykańska
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Dziki koń dziewięć"*

91 Po pół wieku
LEKTOR *o „Zdążyć przed Panem Bogiem" Hanny Krall*

■ ■ PSYCHE

94 Robię nowe
KAMA WOJTKIEWICZ: *Warto ćwiczyć umysł osoby początkującej*

eprasa.pl 188c212f72

KS. ADAM

Boniecki: *Między epokami*

Nie napiszę nigdy historii Polski, ale kiedy myślę o historii, to myślę, że Polska to dziwny kraj. Bo są momenty, gdy Polska – Polacy – są wspaniali, i są momenty, ba, okresy, kiedy wydaje się, że ta wspaniałość całkiem wyparowała.

Dzieciństwo przeżywałem w świecie otoczonym murem. Nie, nie więziennym, ale chroniącym ów dobrotliwy świat dziecka. To zostaje w człowieku. Ale o tym potem. Kiedy znaleźliśmy się w małym miasteczku, w mieszkaniu tak ciasnym, że za dnia lepiej było być na dworze, nic nie wiedziałem o „złym świecie". I wtedy – chodziłem do szkoły – kolega, z którym chciałem się zaprzyjaźnić, bo starsze kuzynki mówiły, że należy z kimś się zaprzyjaźnić, nagle, ni z gruszki ni z pietruszki, uderzył mnie i zwymyślał od „zbankrutowanych dziedziców".

Opowiadałem już kiedyś tę historię i mówiłem, że nie zabolało mnie to, że mnie uderzył, ale ta absurdalna formuła: „zbankrutowanych". Bo przecież myśmy nie zbankrutowali... Pamiętam to zdanie po kilkudziesięciu latach, pamiętam nazwisko tego chłopca. Tylko że dziś doskonale go rozumiem. Ktoś starszy podał mu taką właśnie formułę, którą on powtórzył, żeby mnie urazić, ale w niej zawarte były pewnie uczucia całych pokoleń biednych ludzi patrzących na świat ze swego punku widzenia.



GRAŻYNA MAKARA



GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP

MICHAŁ

Okoński: *Przestroga 11 listopada*

Po klęsce trumpistów w amerykańskich wyborach, widząc destrukcję praworządności dokonywaną przez naszych polityków, w przededniu Święta Niepodległości, spróbujmy zejść głębiej i w rozmowie o Polsce poszukać czegoś bardziej fundamentalnego niż ideologiczne czy partyjne podziały.

„Jeśli wierzymy w deklarację praw człowieka, to uznamy, że godność jest niezbywalnym atrybutem każdego człowieka. Ale poczucie godności ma też charakter uczucia, bo jej odebranie jest jednym z najbardziej raniących i bolesnych przeżyć, jakiego można doznać. Uruchamia silne emocje – gniew, złość, upokorzenie, wstyd, czasami rezygnację" – mówi **ANDRZEJ LEDER** w rozmowie z Justyną Dąbrowską. Źródłem popularności trumpizmu, populizmu – uświadamia autor „Prześnionej rewolucji" – „były autentyczne problemy społeczne". Ich nierozwiązywanie mści się na każdej władzy.

W przeszłości bywało podobnie. „Tymi, którzy na samym początku skupili się wokół Mussoliniego, i dzięki którym zdemolował on władzę we Włoszech lat 20., nie byli syci, rzutcy intelektualiści, zawodowi politycy czy reprezentanci biznesu, ale »drugi sort« społeczeństwa – kombatanci, »zdegradowani z dnia na dzień z pozycji bohaterów narodowych do

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

ZAMÓW PRENUMERATĘ TERAZ STRONA 15

SPRAWDŹ PROMOCYJNĄ OFERTĘ: PRENUMERATA.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

eprasa.pl 188c212f72

Wtedy nauczyłem się tylko tego, żeby nikomu nie opowiadać historii mojej rodziny. Dziś, kiedy jestem starym księdzem, wiem, że moje przeżycie było banalnym doświadczeniem bardzo wielu ludzi w Polsce. Pewna klasa społeczna przestawała istnieć, na jej miejsce pojawiały się inne. Polska „ludowa" stawała się rzeczywiście ludowa, w tym sensie, że „lud" otrzymywał szanse, których był wcześniej pozbawiony.

Jestem człowiekiem, który urodził się na przełomie epok. Jedną nogą tkwię w czasach bezpowrotnie minionych. Pamiętam (wspominam je z pewną nostalgią, to fakt) czasy dworów, pałaców, ziemian, arystokratów, a jednocześnie jestem obecny w tym, co jest teraz. A teraz są zupełnie inne czasy niż te minione.

To „teraz" jednak również jest moje. Uniwersum pamiątkowych albumów z pożółkłymi zdjęciami nie zaprząta mojej uwagi tak, bym nie widział, że świat się zmienił i to, co było wczoraj, pozostanie zawsze jako wczoraj. Długo żyję i wierzę, że zachodzące w Polsce zmiany stopniowo zaczną utrwalać to, co jest naprawdę dobre. Nie mam złudzeń – zawsze będą ludzie kierujący się egoizmem i zawsze będzie trwała walka dobra wspólnego z egoistycznym złem. Ale wierzę, mam nadzieję, że Polacy coraz lepiej będą się czuli w tej wspólnocie, którą zostawili nam ojcowie i że tej wspólnoty znów, jak kiedyś, nie zaprzepaścimy. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego"

pozycji pariasów«, najróżniejsi zmarginalizowani i rozgoryczeni, ci przekonani o tym, że ojczyzna wykorzystała ich i porzuciła, albo nigdy o nich nie zadbała" – pisze **ŁUKASZ NAJDER**. Dlatego więc „zamiast szumnych haseł o demokracji i bicia w bęben paniki – albo daremnego załamywania rąk, kiedy dzieje się najgorsze – więcej troski o słabych i wykluczonych, rozumne i sprawiedliwe zagospodarowywanie gleby społecznej, na którą padają ziarna faszyzmu czy populizmu".

To dlatego na Święto Niepodległości zajmujemy się m.in. dziedzictwem transformacji. „Prawo do wspólnoty ma również ten, kto naprawdę nie potrafił się odnaleźć, podjął złe decyzje albo oczekiwał od państwa więcej, niż państwo mogło mu dać. Obywatelstwo nie jest nagrodą za przedsiębiorczość" – przypomina **MICHAŁ PRZEPERSKI** w tekście wypełnionym życiorysami tych, którzy naprawdę próbowali stać się „kowalami własnego losu".

Mamy w tych dniach powody do niepokoju. „Z jednej strony, co pokazało siłowe wejście do budynku Trybunału Konstytucyjnego prezydenta, ludzie chcą władzy silnej i spersonalizowanej, coraz bardziej gardząc powolnością i złożonością demokracji. Z drugiej strony działania obrońców demokracji ułatwiają przyszłe naruszenie jej zasad, w tym tych, które władzę osobową i spersonalizowaną mają ograniczać" – przestrzega **MARCIN MATCZAK**.

Niepodległość swoje waży – napisaliśmy na okładce tego numeru. Naprawdę staraliśmy się ważyć słowa. ©℗

Michał Okoński, zastępca redaktora naczelnego „TP", autor książek o futbolu

TP WKRÓTCE W „TYGODNIKU"

MARCIN KĘDZIERSKI:
Jakie mamy szanse w kończących się unijnych negocjacjach budżetowych? Czy jesteśmy przygotowani na mniejsze pieniądze, i czy to wzmocni tendencje polexitowe?

MARCIN GIEŁZAK:
Globalny fenomen, wielomiliardowy biznes, równoległy świat, w którym setki godzin spędza twój syn, kolega z pracy czy sąsiad. Grand Theft Auto to nie gra, to instytucja.



JUAN ALEJANDRO BERNAL RODRIGUEZ / ADOBE STOCK

GISÈLE PELICOT:
Kiedy ujawniono moją historię, okropną i niewiarygodną, myślałam, że coś takiego spotkało tylko mnie. Dziś wiem, że mężczyźni dokonują podobnych przestępstw na całym świecie. Ja odbudowałam swoje życie na zgliszczach, znów jestem sobą.

WYWIAD Z PIOTREM ROGUCKIM, AKTOREM:
Zagrać na scenie można z każdym, nie trzeba od razu stawać do walki. A to jest trudne, jeśli twój partner albo partnerka za wszelką cenę chce odnieść sukces. Gdy ludzie doceniają samo spotkanie, zaczynają się dziać rzeczy, które wcześniej wydawały się niemożliwe.

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

Zapisz się na newsletter
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/PODKAST

eprasa.pl 188c212f72

OBRAZ TYGODNIA

2–6 LISTOPADA 2026

WYBORY W USA zakończyły się klęską Republikanów, którzy stracili większość zarówno w Senacie (przegrali nawet w uznawanych dotąd za ich bastiony Teksasie, Kansas, Ohio, Karolinie Południowej i Iowa), jak w Izbie Reprezentantów. Donald Trump uznał porażkę swojego ugrupowania, a wiceprezydent J.D. Vance zdystansował się od swojego zwierzchnika, wśród przyczyn porażki wskazując przede wszystkim wojnę z Iranem. ■■■ **KRYZYS KONSTYTUCYJNY W POLSCE:** najstarsza stażem sędzia Trybunału Konstytucyjnego Anna Korwin-Piotrowska zorganizowała Zgromadzenie Ogólne Sędziów TK, uznając, że obecność na nim ośmiu osób wybranych przez Sejm bieżącej kadencji wystarcza jako kworum; dotychczasowy prezes Bogdan Święczkowski, którego na miesiąc zawiesiła w czynnościach, nazywa to grono uzurpatorami. ■■■ **STARCIE MIĘDZY PREZYDENTEM I PREMIEREM** podczas posiedzenia Rady Bezpieczeństwa Narodowego (Karol Nawrocki powiedział, że „praworządności nie można przywracać metodami, które same rażąco naruszają prawo" i pełną odpowiedzialnością za nielegalne działania obciążył Donalda Tuska) paradoksalnie doprowadziło do zapowiedzi deeskalacji: obaj politycy mają spotkać się na rozmowie w cztery oczy, by – jak to ujął szef rządu – „zastanowić się, jak trwale obniżyć napięcie w kraju". ■■■ **RESET KONSTYTUCYJNY,** zaproponowany przez PSL, to wygaszenie kadencji obecnych sędziów TK, a następnie jednorazowe wyłonienie nowego 15-osobowego składu Trybunału wymuszającą kompromis większością 3/5 głosów Zgromadzenia Narodowego, przy czym po pięciu sędziów wybrano by na 3, 6 i 9 lat. ■■■ **POSEŁ ZA KRATAMI:** sąd w Katowicach wyraził zgodę na aresztowanie Wojciecha Króla, któremu Prokuratura Europejska zarzuca korupcję. Polityka zatrzymano na sali sądowej – był już „spakowany" do aresztu. ■■■ **1,4 MLN ZŁ ODSZKODOWANIA** i zadośćuczynienia przyznał sąd skazanemu za zabójstwo „Pershinga" Ryszardowi Linardowi-Boguckiemu w związku z uniewinnieniem go w dwóch innych sprawach. ■■■ **ROSYJSKIE PROWOKACJE:** w związku z niepokojącym ruchem po drugiej stronie granicy z obwodem kaliningradzkim rząd skierował na miejsce jednostki specjalne. ABW zatrzymała 6 osób (pięcioro Polaków i Rosjankę) podejrzanych o udział w zorganizowanej grupie przestępczej działającej przeciwko Polsce. ■■■ **ROSYJSKIE ZBRODNIE:** bomby spadły na szkołę w ukraińskiej Komyszuwasze, w której wydawano pomoc humanitarną lokalnym mieszkańcom; atak powtórzono, gdy ludzie uciekali do schronu. Zginęły 43 osoby. ■■■ **LEON XIV** rozpoczął pielgrzymkę do Urugwaju, Argentyny i Peru – w tym ostatnim kraju przez ponad 20 lat był misjonarzem i biskupem. Wcześniej papież przyjął na prywatnej audiencji Boba Dylana. ■■■ **MŁODZIEŻOWE SŁOWO ROKU 2026** zostanie wyłonione spośród dwunastki, wśród której są m.in. „brokuł", „kukiriniarz", „larp/larpować", „płakał", „slop" i „spływka".



INDEPENDENT PHOTO AGENCY SRL / ALAMY / BE&W

TRUMPIZM – TAK. WYPACZENIA – NIE

Klęska Republikanów – i Trumpa osobiście – w wyborach połówkowych ma wpływ na przyszłość europejskich partii narodowo-populistycznych. Kłopoty trumpistów nie muszą jednak oznaczać zmierzchu podobnych ruchów w Europie.

JACEK STAWISKI

Prezydent USA, jego ruch MAGA i Partia Republikańska pod jego przywództwem jeszcze do początku listopada stanowiły „matkę wszystkich populistów" Zachodu. Sam Trump dla wielu polityków i gorliwych zwolenników nowej prawicy w Europie był wzorem do naśladowania. Prezydent Nawrocki i jego otoczenie oparli właściwie całą swoją politykę międzynarodową na szczególnej relacji z amerykańskim prezydentem.

MIĘDZYNARODÓWKA MAGA | W listopadzie 2016 r. – dokładnie 10 lat temu, gdy Trump pierwszy raz wygrywał wybory prezydenckie – jego zwycięstwo fetowali zarówno brytyjscy zwolennicy brexitu, jak i Marine Le Pen, która szykowa-

eprasa.pl 188c212f72



Kłótnie Giorgi Meloni z Donaldem Trumpem:

TRUMP: „Kocham Włochy, uważam, że Meloni jest wielkim przywódcą".

TRUMP: „Meloni chciała mieć ze mną zdjęcie tak bardzo, że aż błagała. Normalnie bym się nie zgodził, ale zrobiło mi się jej żal".

MELONI: „Oświadczenia Donalda Trumpa są całkowicie zmyślone".

TRUMP o NATO w Afganistanie: „Nigdy naprawdę o nic ich nie prosiliśmy. Powiedzą, że wysłali wojska do Afganistanu i rzeczywiście tak zrobili, ale pozostawali nieco z tyłu, z dala od linii frontu".

MELONI: „Niedopuszczalne są słowa, które umniejszają wkład państw NATO w Afganistanie, zwłaszcza gdy pochodzą z kraju-sojusznika".

Na zdjęciu: Giorgia Meloni w polityczno-społecznym talk-show „Porta a Porta". Rzym, 21 stycznia 2026 r.

ła się do francuskich wyborów, wprost odwołując się do ideologii trumpizmu. Mr Brexit, jak nazywano Nigela Farage'a, budował relacje z Trumpem, odwiedzał go w Ameryce, głośno mówiło się nawet o tym, że w postbrexitowej rzeczywistości zostanie ambasadorem Zjednoczonego Królestwa w Waszyngtonie. Le Pen nie zbudowała wprawdzie tak intensywnych relacji z prezydentem USA, ale przez kilka lat chętnie odwoływała się do przykładów brexitu i wygranej Trumpa jako inspiracji dla swojej partii.

Z aktualnym gospodarzem Białego Domu blisko była także Giorgia Meloni, choć ich stosunki załamały się, gdy premier Włoch poczuła się osobiście upokorzona opowieściami Trumpa o tym, jakoby zabiegała o zdjęcie z nim podczas jednego z międzynarodowych szczytów. Odcinając się od lidera ruchu MAGA, Meloni zademonstrowała, że także osobista i ideologiczna zażyłość ma swoje granice.

Alternatywa dla Niemiec (AfD), partia radykalnie nacjonalistyczna, także wiele zawdzięcza patronom zza oceanu. Publicznie wspierał ją Elon Musk, multimiliarder, który przez wiele miesięcy był jedną z twarzy trumpizmu. Popierał ją nawet wiceprezydent J.D. Vance, który na monachijskiej konferencji bezpieczeństwa w 2025 r. publicznie rugał elity europejskie, że ich polityka wiedzie tożsamość kontynentu na manowce. W AfD i podobnych partiach Vance dostrzegał nadzieję na rewolucję polityczną.

Specjalne relacje Trump i jego otoczenie zbudowali także z długoletnim premierem Węgier Viktorem Orbánem. Na finiszu niedawnej kampanii wyborczej sam prezydent i wiceprezydent USA wzywali Węgrów do głosowania na ówczesnego premiera. Po kilkunastu latach rządów Orbán musiał jednak pożegnać się z władzą i wyjechał do Stanów Zjednoczonych.

ZMIANA USTAWIEŃ | Po klęsce wyborczej Republikanów europejskie partie o podobnym obliczu ideowym będą musiały wyciągnąć wnioski. Proste inspirowanie się amerykańskim wzorcem może być dla populistów i nacjonalistów Starego Kontynentu szkodliwe. Zresztą tutejsze partie nacjonalistyczne, nie tylko Meloni, już od jakiegoś czasu ostrożnie dystansują się od Trumpa, który wypowiedział UE wojnę celną.

Znaczącą rolę odgrywać zaczął tradycyjny w partiach nacjonalistycznych w Europie antyamerykanizm. Podobieństwo ideologiczne tak, ale nie za cenę prostego kopiowania i naśladowania wzorca zza oceanu, ponieważ zostanie to odebrane jako uległość wobec Ameryki. O ile na początku niestandardowe zachowania Trumpa, jego ekscentryczność i nieprzewidywalność były dla europejskich polityków przykładem, że wyborców można zdobywać właśnie takim podejściem, to teraz wzorowanie się na bardzo niepopularnym w swoim kraju prezydencie zniechęca wyborców radykalnej prawicy.

Dlatego Marine Le Pen buduje swój wizerunek odpowiedzialnej i obliczalnej przywódczyni, która, jeśli zdobędzie Pałac Elizejski, uspokoi wręcz rewolucyjne nastroje w kraju. Również Nigel Farage nie jest już zdeklarowanym trumpistą, gdyż wyczuł, że naśladownictwo Trumpa jest źle odbierane w Wielkiej Brytanii. O ile Brytyjczycy przywiązują wielką wagę do relacji z Ameryką, o tyle trudno im zaakceptować manifestacyjną uległość wobec Waszyngtonu.

EUROPA W OGNIU | Jednocześnie, niezależnie od odrzucenia partii Trumpa przez amerykańskich wyborców, europejskie partie nacjonalistyczne i populistyczne mają solidne podstawy do tego, aby liczyć się w grze o władzę w Europie. Francuskie Zgromadzenie Narodowe czy AfD czują, że piętrzące się problemy społeczne i polityczne w ich krajach mogą przynieść im zwycięstwo w kolejnych wyborach.

Europejskim wyborcom nie zniknęły z oczu imigracja spoza Europy, trudności z integracją przybyszów, kłopoty europejskiego przemysłu, stagnacja gospodarcza, zmiany technologiczne, koszty życia, inflacja, wreszcie problemy z energią. Jest tego dostatecznie dużo, by przeważyć szalę zwycięstwa w stronę nacjonalistów i populistów, którzy oferują proste i szybkie rozwiązania, unikając zarazem błędów trumpistów. Większość partii radykalnie prawicowych nie zrezygnowała z planów stania się „główną prawicą" i zastąpienia dotychczasowych najważniejszych partii centroprawicowych. Liczy na to Le Pen, nadzieje na przejęcie Partii Konserwatywnej ma Farage, a AfD największego wroga widzi w CDU/CSU, którym chce zabrać wyborców.

Skrajna prawica nie porzuciła więc planów radykalnej przebudowy Unii Europejskiej, a dodatkowo często głosi program ponownego otwarcia się na Rosję. Prawdopodobny zmierzch ruchu trumpistowskiego za oceanem nie musi więc oznaczać zmierzchu podobnej ideologii w Europie. Wręcz przeciwnie, może być dla partii nacjonalistycznych i populistycznych okazją do modernizacji własnych programów. ©℗

eprasa.pl 188c212f72



Hakerzy testują Europę

AGATA KAŹMIERSKA

Tylko w zeszły czwartek doszło do co najmniej 22 fałszywych alarmów bombowych w europejskich samolotach. Przez cały tydzień przez europejskie supermarkety przetaczała się też druga fala cyberataków, w wyniku której przestały działać zamrażarki. Hakerzy uderzyli również we francuskie banki krwi.

Cel takich operacji jest oczywisty: generować koszty, siać strach i podważać zaufanie obywateli do państwa. Im więcej alarmów, tym większe przeciążenie służb oraz ryzyko, że prawdziwe zagrożenie umknie uwadze. Po setnym fałszywym alarmie może pojawić się rutyna. A gdzie rutyna, tam łatwiej o błąd.

Dla atakującego to interes idealny: koszty znikome, straty przeciwnika realne. W gratisie rekonesans: jak reagują służby, gdzie procedury się zacinają, kiedy społeczeństwo zaczyna panikować. Ta wiedza przyda się podczas kolejnego fałszywego alarmu. Albo prawdziwego ataku.

Do „podkładania bomb" w samolotach przyznał się Mużskij Legion, neonazistowska i mizoginistyczna rosyjska organizacja ekstremistyczna, do cyberataków na zamrażarki – prorosyjscy hakerzy działający na zlecenie GRU. Nawet rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow, powtarzając, że oskarżanie Rosji jest „absurdalne", już niespecjalnie sili się na udawanie oburzenia.

Europejskie rządy mają jednak powody, by z publicznym wskazywaniem winnego na razie się nie spieszyć. Jeśli nazwą Rosję sprawcą, powinny odpowiedzieć, co zamierzają z tym zrobić. Brak reakcji może być uznany za bezradność, a zdecydowana odpowiedź – za prowokowanie eskalacji. Dotyczy to zarówno poszczególnych państw, jak i całego NATO. Jest też mniej oczywisty argument: oficjalne przyznanie, że przeciwnik potrafi zakłócać funkcjonowanie państwa, może wzmacniać psychologiczne efekty jego operacji. Niejednoznaczność pozwala uniknąć tych dylematów. Napastnik unika wprawdzie odpowiedzialności, ale zaatakowany – konieczności odpowiedzi.

Obie strony grają dziś na czas. Moskwa nie zdołała wymusić na Ukrainie ustępstw na froncie ani przy negocjacyjnym stole z Trumpem. Tymczasem Putinowi polityczne okno możliwości zaczyna się zamykać. 3 stycznia władzę w obu izbach Kongresu USA przejmą Demokraci, mniej skłonni tolerować prorosyjskie gesty prezydenta. Do tego czasu Kreml może zwiększać presję na Europę, mnożąc incydenty, straty i napięcia.

Europa ma zadanie mniej widowiskowe: nie dać się wytrącić z równowagi i doczekać chwili, gdy Trump straci część politycznej swobody. A przede wszystkim nie pozwolić, by seria fałszywych alarmów przygotowała grunt pod jeden prawdziwy. ©



JOHAN NILSSON / TT NEWS AGENCY / AFP / EAST NEWS

W szwedzkich i francuskich supermarketach, na skutek ataków hakerskich, dochodziło do gwałtownego wzrostu temperatury w lodówkach i zamrażarkach. Na zdjęciu: supermarket w Sjöbo, 2 listopada 2026 r.



Bez cudzysłowu

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Spróbujmy spojrzeć na ten temat wyjątkowo nie przez pryzmat nierozstrzygalnych batalii światopoglądowych, a z punktu widzenia dziecka. Np. ośmioletniej Sofii, która urodziła się w Hiszpanii, i która otrzymała w tym kraju akt urodzenia stwierdzający posiadanie dwóch matek – będących w związku uczuciowym Irlandki i Polki. W zeszłym tygodniu Naczelny Sąd Administracyjny pozostawił bez rozpoznania (ze względów proceduralnych) kwestię polskiej transkrypcji tego aktu. Skutek? Dziecko nadal nie tylko nie dostanie rodzimego dokumentu stwierdzającego urodzenie, ale też np. dowodu osobistego czy paszportu.

Weźmy inną, zapewne nawet częstszą sytuację. Dziecko rodzi się w Polsce, w małżeństwie. On umiera, ona wiąże się z kobietą – razem przez lata wychowują biologicznego syna jednej z nich. Tyle że państwo polskie „nie widzi" jednej z kobiet jako matki, choćby nią po latach faktycznie w sensie emocjonalnym była. Może nie uzyskać ona w szpitalu informacji o zdrowiu dziecka, nie podejmie ważnej decyzji edukacyjnej – formalnie przecież nie istnieje.

A teraz spójrzmy na społeczne nastroje, choćby przez pryzmat ogłoszonego właśnie sondażu przeprowadzonego na zlecenie Kampanii Przeciw Homofobii. Już 56,9 proc. Polaków dopuszcza wychowywanie dziecka przez jednopłciową parę, a jedynie 24,7 proc. się temu sprzeciwia. Wbrew prawnemu porządkowi, który takiej formuły nie przewiduje, wbrew niektórym mediom (część tych prawicowych donosiła o uchwale NSA, biorąc matki ośmioletniej Sofii w cudzysłów), wbrew politykom tak opozycji, jak i koalicyjnego PSL. Za to w zgodzie z życiem, które od lat toczy się tym samym torem: wedle szacunków organizacji społecznych aż 50 tysięcy dzieci wychowuje się w Polsce w „tęczowych" rodzinach. Część to jednopłciowe pary wychowujące potomstwo narodzone w parze dwupłciowej, ale nie tylko: jak informuje KPH, częste są też sytuacje, w których np. nieformalna para Polek decyduje się na procedurę *in vitro* w Niemczech.

Jeśli nakreśloną wyżej sytuację zestawimy z narastającym kryzysem adopcyjnym i w pieczy zastępczej (a mówiąc po ludzku: z tysiącami dzieci czekających na rodziców), wyjdzie nam gotowy wzór na polską hipokryzję. W Polsce adopcjami dzieci przez pary jednopłciowe niemal wyłącznie się straszy – a powinno się o nich zacząć serio rozmawiać.

Szybko jednak to nie nastąpi. Dziś polskie państwo akceptuje wychowywanie potomstwa tylko w zgodzie z jedynie słusznym kulturowym wzorcem. Pozostałe dzieci, ojców i matki bierze w cudzysłów. ©℗

eprasa.pl 188c212f72



VATICAN MEDIA / AFP / EAST NEWS

Bob Dylan na prywatnej audiencji u Leona XIV. Watykan, 4 listopada 2026 r.

Kiedy papież zna Dylana

KULTURA ▪ Zdjęcia z tej wizyty szybko obiegły świat. W środę, 4 listopada, Bob Dylan – muzyk, poeta, ikona popkultury – spotkał się z Leonem XIV. Artysta od lat unika ceremonii i oficjalnych spotkań (nie pojechał nawet na uroczystość wręczenia Nagrody Nobla w Sztokholmie). Jego pojawienie się w Pałacu Apostolskim nie było więc kurtuazyjną czy rutynową wizytą. Raczej dowodem, że akurat na tym spotkaniu naprawdę mu zależało.

Nigdy wcześniej nie mieli okazji rozmawiać, choć Leon XIV dobrze zna twórczość swojego gościa. Dał temu wyraz, cytując Dylana we wstępie do książki „Disarmata e disarmante. La pace è un dono" (LEV, 2026). Papież przywołał tam utwór „Go Away You Bomb" – napisany przez Dylana w 1963 r., w środku zimnej wojny, dla Izzy'ego Younga z Folklore Center w Greenwich Village. Sam Dylan nigdy tego utworu nie nagrał. Znają go tylko ci, którzy od lat interesują się jego twórczością. Mówi o bombie atomowej – stworzonej przez człowieka i będącej na jego usługach. To sedno nauczania Leona XIV o pokoju: broń rodzi się z ludzkich decyzji i ludzkie decyzje mogą ją zatrzymać.

Robert Prevost, kiedy cytuje Dylana, wyraża też cząstkę własnej biografii. Wspomina, że sięgnął po jego twórczość w czasach studiów na uniwersytecie Villanova dzięki koledze, Jimowi Musselmanowi, z którym dużo rozmawiał o muzyce i poezji.

Nie powinno być niczym zaskakującym, że papież sięga po teksty popkultury, przyznając im ważne miejsce w nauczaniu Kościoła. Franciszek w pierwszej adhortacji apostolskiej „Evangelii gaudium" domagał się docenienia niekonwencjonalnych form piękna, które dla ewangelizatorów mogą wydawać się mało znaczące, a przecież dla wielu ludzi stały się istotne. Przez piosenki, kino, seriale czy powieści gatunkowe przepływa ogromna część wspólnej wyobraźni. To z ich pomocą ludzie przepracowują lęk, pragnienie, żałobę oraz pytania o sens. Teologia wcielenia nie może traktować tego jako gorszego rodzaju inspiracji.

Nie powinno też dziwić, że dla artystów, takich jak Dylan czy Patti Smith (która również niedawno spotkała się z papieżem), Leon XIV jest ważnym rozmówcą. Dla obojga muzyków ważne jest słowo. Widzą, że papież traktuje ich teksty poważnie. Zna ich twórczość i przesłanie, które „oddaje" światu w swoim nauczaniu o pokoju.

Nie bez znaczenia jest także to, że Leon XIV jest Amerykaninem – mówi ich językiem, także muzycznym. Gdy Smith 31 lipca wchodziła do biblioteki Pałacu Apostolskiego, przywitała swojego krajana (pochodzi z Chicago, jak Prevost) szeptanym „Hi, hi". Tymi słowami zaczyna się „Wave", jej utwór z 1979 r., w którym artystka wyobraża sobie rozmowę z Janem Pawłem I. Leon natychmiast rozpoznał to cytowanie. Smith nie jest katoliczką, ale powiedziała mi, że ujmuje ją w Leonie XIV jego otwartość, delikatność, a jednocześnie stałość. Podobnie uważa Dylan.

W czasach, gdy z każdej strony otacza nas wielogłosowy krzyk, papież mówi spokojnie, ale zdecydowanie. Taki rodzaj autorytetu, który nie potrzebuje podnosić głosu, artyści szanują. Jeśli jako dwudziestoparolatek pisałeś o bombie atomowej, a mając lat 85 słyszysz, że twoje słowa cytuje papież, masz prawo poczuć, że to, co robiłeś i pisałeś, nie poszło na marne.

© ANTONIO SPADARO SJ
(Wysłuchał EDWARD AUGUSTYN)

Autor jest podsekretarzem Dykasterii Kultury i Edukacji. Organizował wizyty Patti Smith i Boba Dylana w Watykanie.

BARTOSZ MINKIEWICZ



Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

eprasa.pl 188c212f72

TEMAT TYGODNIKA

NIEPODLEGŁOŚĆ SWOJE WAŻY

Od tego, czy potrafimy uznać
niewygodną pamięć innych,
zależy zdolność traktowania państwa
jako rzeczywiście wspólnego.
To nie jest wyłącznie
historia sporu o transformację.

MICHAŁ PRZEPERSKI



MAŁGORZATA BĘDOWSKA DLA „TP"

Na pożegnanie Janina upiekła ciasto. Jej mąż przywiózł je do zakładu, zestawiono stoły, przyszedł akordeonista. Była muzyka, śpiew i wspólna zabawa. Tak w 1998 r. kończyła pracę w łódzkiej Norbelanie, gdzie przez trzy dekady zajmowała się magazynem. „To było dobre zakończenie. Nawet bardzo dobre" – wspomina. Trudno o zdanie mniej pasujące do opowieści o katastrofie. A jednak.

Janina z Łodzi: jak stałam się niepotrzebna

Pierwsze trzy miesiące na zasiłku przedemerytalnym upłynęły spokojnie. Można było odpocząć, zrobić odkładane porządki. Pewnego ranka Janina stanęła przy oknie z kubkiem herbaty. Widziała ludzi spieszących na tramwaj, do pracy, do swoich spraw. Rozpłakała się. „Przecież ja jestem jeszcze pełna życia, mogłabym pracować", pomyślała. Miała 50 lat i poczuła, że stała się niepotrzebna.

Obie sceny mieszczą się w tej samej pamięci. A jednak od ludzi opowiadających o transformacji oczekujemy nieraz, że wybiorą. Udała się czy nie? Jeżeli przyznajesz, że Polska dokonała wielkiego skoku, powinieneś chyba przestać rozpamiętywać własne straty. Jeżeli masz do niej żal, stajesz się podejrzany o to, że wolałbyś powrót do dawnego ustroju.

11 listopada to moment, w którym szczególnie warto zatrzymać się przy tym podejrzeniu. Świętujemy odzyskanie własnego państwa – ale czyje ono właściwie jest, jeśli pełne prawo do utożsamiania się z nim mieliby tylko zadowoleni? Czy przywiązanie do wolnej Polski wymaga również miłości do sposobu, w jaki ją urządzano? Janina nie musiała znać odpowiedzi na te pytania, stojąc przy oknie. Dziś to my powinniśmy je sobie postawić.

Historia państwa i historia człowieka nie prowadzą tego samego rachunku. Polska mogła odnieść sukces,

eprasa.pl 188c212f72



a ktoś mógł w tym samym czasie stracić pracę, poczucie bezpieczeństwa i kilka lat własnego życia. Jedno nie unieważnia drugiego.

Janina z Krakowa: sukces miał swoją cenę

W Krakowie inna Janina, Janina Morstin, przeżywała początek lat 90. jako czas odnalezienia swojego miejsca. Wcześniej uczyła polskiego, potem zajmowała się córką. Związana z solidarnościowymi komitetami obywatelskimi, trafiła do magistratu. Uczestniczyła w burzliwych sesjach rady miasta, przeciągających się czasem do północy. Z entuzjazmem chodziła na kursy komputerowe.

Jej córka Agnieszka pamięta ludzi biegających między pokojami, improwizację i przekonanie, że właśnie teraz robi się coś potrzebnego. Samorządność nabierała treści dzięki ludziom, którzy chcieli wziąć odpowiedzialność za swoje miasto. Państwo stawało się własne również przez taką pracę. Poczucie potrzebności, którego doświadczała druga Janina, ta pierwsza utraciła. Obie były częścią tej samej Polski.

Nawet w krakowskim domu bilans nie był zresztą jednowymiarowy. Ojciec Agnieszki założył dobrze prosperującą firmę produkcyjną, rodzinie żyło się lepiej. Córka pamięta jednak również nieobecność rodziców i tempo ich życia. Po latach nazwie początki transformacji „drugim egzaminem z dorosłości", który zdawało pokolenie ówczesnych czterdziestolatków. Sukces finansowy był rzeczywisty, lecz równie rzeczywista była cena płacona czasem i bliskością.

Artur z Warszawy: otwarły się możliwości

Artur zapamiętał warszawski Plac Konstytucji po wyborach w czerwcu 1989 r. Na wielkiej tablicy widniały nazwiska kandydatów Solidarności, przy tych wybranych przyklejano orzełki. Stojąca obok starsza kobieta płakała i powtarzała, że nie sądziła, iż tego dożyje. Takie chwile trudno przeliczać na cokolwiek. Swoboda mówienia, przywracana historia, możliwość decydowania o wspólnych sprawach – to wszystko miało wartość także wtedy, gdy ↦

eprasa.pl 188c212f72

↦ nie towarzyszyła im poprawa sytuacji domowego budżetu.

Sam Artur znalazł się zresztą wśród tych, przed którymi otworzyły się niezwykłe możliwości. Studiował handel zagraniczny, znał angielski, miał za sobą praktykę w Wielkiej Brytanii. Zagraniczne firmy szukały ludzi takich jak on. W Unileverze po trzech miesiącach dostał kilkakrotną podwyżkę. W 1993 r., mając 28 lat, kierował marketingiem polskiego oddziału Nestlé.

Ten sam Artur wspomina jednak również utratę wartości oszczędności zgromadzonych na książeczce mieszkaniowej. Miał pełny wkład na mieszkanie. „Wielki entuzjazm. Choć nie powiem, pamiętam też wielki płacz" – mówi o tamtym czasie. W tabeli zwycięzców i przegranych trafiłby do pierwszej rubryki. Tabela nie pomieściłaby jednak jego własnej pamięci, w której późniejszy sukces sąsiadował z wcześniejszą stratą.

Irena z PGR-u: dostosowanie to za mało

W świecie pani Ireny fachowość miała chronić przed nieszczęściem. Kiedy w 1991 r. pojawiły się pogłoski o końcu miejscowego PGR-u, przyjechała teściowa i uspokajała rodzinę: „Wy się nie bójcie, was tak szybko nie zwolnią. Wy umiecie robić wszystko". Umieć pracować przy różnych maszynach, orać, siać, obsłużyć kombajn – to był konkretny zasób.

Stało się jednak inaczej: to najlepiej wykwalifikowanych zwalniano najpierw, bo w pierwszej kolejności z majątku PGR sprzedawano ciągniki i kombajny. Umiejętności pozostały, znikało jednak miejsce, w którym były potrzebne.

Trzeba było się dostosować? Przecież ci ludzie się dostosowywali. Mąż Ireny dorabiał jako kombajnista u kolegi. Ona wraz z kucharką i jeszcze jedną kobietą organizowała wesela, biorąc do pomocy dwie kelnerki. Irena sama wspomina, że nie wszyscy sąsiedzi mieli taką gotowość: niejeden czekał, aż ktoś zrobi coś za niego. To wspomnienie wystarcza jednak, by podważyć zdumiewająco wygodny obraz ludzi, którzy siedzieli bezczynnie, obrażeni na nowoczesność. „Chwytam się wszystkiego" – deklarował jej mąż pytając o pracę. Jednocześnie radził sobie i miał powody, by czuć się pozostawiony sam sobie.

Janina z Łodzi: utrata pracy to utrata koleżeństwa

Zakład pracy był czymś znacznie ważniejszym niż po prostu miejscem wypłaty pensji. W łódzkiej fabryce działało ambulatorium, Irena wspomina pegeerowskie przedszkole i kolonie dla dzieci. Wokół byli ludzie, których znało się przez lata. Ten porządek uzależniał, bywał niewydolny, ograniczał samodzielność. Zarazem dawał coś, czego nie dało się zastąpić wezwaniem do aktywności: przewidywalność i poczucie, że w razie kłopotów wiadomo, do kogo pójść.

W Norbelanie zwolnienia rozbijały również koleżeństwo. Janina wspomina, że osoby siedzące dotąd przy jednym stole zaczynały patrzeć na siebie z niechęcią. Dlaczego zwolniono mnie, a nie ją? Dlaczego ona mogła zostać dłużej? Niektóre znajomości urywały się zupełnie. W takich warunkach utrata pracy zmieniała nie tylko wysokość dochodów. Przestawiała relacje z ludźmi, odbierała zaufanie. Można było znaleźć zajęcie, a mimo to nie odzyskać świata, w którym własne miejsce wydawało się oczywiste.

Janina także znalazła zajęcie. Opiekowała się małym chłopcem, aż poszedł do I klasy. W okolicach roku 2000 dostawała po 20-25 złotych dziennie, co pomagało jej kupić jedzenie dla niej i męża. Ojciec dziecka grał na giełdzie. Dla Janiny to było niezrozumiałe, patrzył na przesuwające się w telewizorze liczby. To nie wyglądało jak praca.

Nie musimy podzielać wszystkich ocen Janiny, by dostrzec, że nadal była potrzebna. Rynek wyceniał teraz jej pracę inaczej, a ona uczyła się nowego sposobu zarabiania. To rozróżnienie wydaje się banalne, dopóki nie zajrzymy do opowieści o ludziach „nieprzystosowanych". Ekonomiczna ocena ich położenia przechodziła niezauważenie w ocenę ich charakteru: nie tylko przegrali, lecz na przegraną wprost zasłużyli. Wystarczy spojrzeć na bohaterów „Arizony" Ewy Borzęckiej. Ich można było już nie pytać, co państwo zrobiło z ich światem – wystarczało wznieść lament, dlaczego sami nie zrobili ze sobą czegoś lepszego.

REKLAMA



eprasa.pl 188c212f72

Henryk od prywatyzacji: co ocalić z pożaru

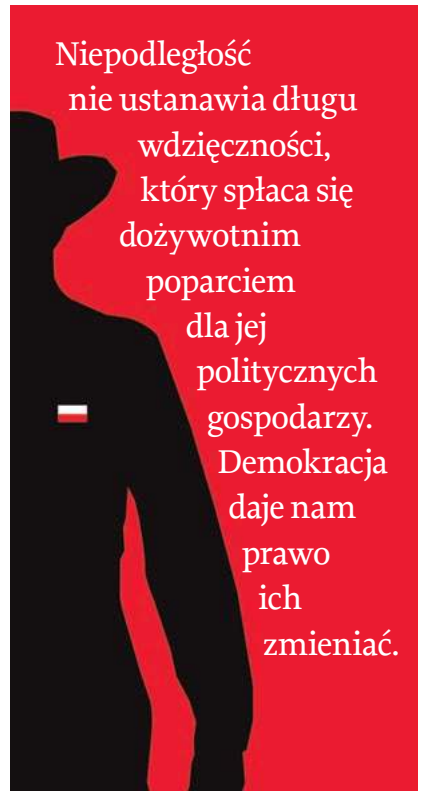
Przywrócenie tym doświadczeniom miejsca nie oznacza zapomnienia, z jakiego kraju wychodziliśmy. U schyłku PRL gospodarka nie zapewniała bezpiecznej przyszłości. Inflacja niszczyła wartość pieniądza, mechanizmy rozdzielania zasobów były niewydolne, a przedsiębiorczość krępowały absurdalne ograniczenia. Zachowanie wszystkiego po staremu wcale nie oznaczałoby zachowania spokoju. Ludzie podejmujący się reform działali pod ogromną presją, z poczuciem, że okazja może się nie powtórzyć. Pytając o skutki ich decyzji, nie musimy przekreślać ich dobrej wiary.

Henryk Sterniczuk, uczestniczący w przygotowaniu przekształceń własnościowych, przypomina obraz, którym posługiwał się Balcerowicz: płonący dom trzeba przede wszystkim ugasić. Zarazem po latach opisuje przekonanie reformatorów, że istnieje jeden właściwy kierunek zmian, w gruncie rzeczy niepodlegający negocjacji. W takim rozumowaniu łatwo przeoczyć moment, gdy konieczność wyjścia z kryzysu służy za usprawiedliwienie każdego sposobu działania. Potrzeba stabilnego pieniądza nie rozstrzygała przecież z góry losu wszystkich przedsiębiorstw. Państwo nie musiało utrzymywać każdego zakładu. Musiało jednak dostrzegać, że wraz z miejscem pracy znikały także usługi, więzi, poczucie bezpieczeństwa i społeczna rola jego pracowników.

Artur z Warszawy: jaki sens ma ta robota

W praktyce przekonał się o tym Artur. Kiedy trafił do Goplany jako szef marketingu, chciał ją „zaorać", zbudować od początku. Słodycze oparte na starych, sprawdzonych recepturach? „To się nie da jeść" – kwitował bezlitośnie młody wilk. Jego przełożony, doświadczony menedżer z Tyrolu, zwrócił uwagę na drobiazg: firma sprzedawała 35 tysięcy ton wyrobów. Ktoś jednak chciał je kupować! Zbadali sprawę. Okazało się, że klienci cenili produkty, a poprawa opakowań, reklamy i promocji mogła dać świetne rezultaty.

Gorliwość młodego modernizatora ustąpiła przed wiedzą o rzeczywistych potrzebach ludzi. Tragedia była o włos. Nie był to uniwersalny przepis na uratowanie



GRAFIKA MAŁGORZATA BĘDOWSKA DLA „TP"

każdej fabryki. To jednak świadectwo, że człowiek przekonany, iż stare musi zniknąć, może zniszczyć wartość, której nie rozumie.

Później Artur odniósł wielki sukces, wprowadzając na rynek nowy wariant wafelków Princessa. Na spotkaniu branżowym przedstawiciel konkurencji gratulował mu, po czym opowiedział, że w jego zakładzie produkcja spadła o połowę i trzeba było zwolnić kilkaset osób. Artur zapamiętał ten moment jako wstrząs. Za wynikiem sprzedaży nagle zobaczył rodziny pozbawione utrzymania. „Jaki sens ma ta moja robota?" – pytał. Odszedł z korporacji. Po pewnym czasie zaczął budować własny biznes.

Jego niepokój nie brał się z tego, że przegrał z konkurencją. Przeciwnie – wygrywał. Nie odrzucił też przedsiębiorczości, skoro sam podjął działalność. Zmieniło się coś innego: nie potrafił już traktować własnego powodzenia jako uniwersalnego miernika tego, czy jest dobrze.

Prezydent z Gdyni: nasze państwo mogło działać lepiej

Podobnie patrzy na bilans przemian Wojciech Szczurek, prezydent Gdyni w latach 1998–2024. Nie ma wątpliwości, że integracja europejska przyniosła krajowi ogromny skok rozwojowy. A jednak los gdyńskiej stoczni i Polskich Linii Oceanicznych zalicza do porażek wolnej Polski. Pod koniec lat 90. próbował zainteresować przyszłością PLO przedstawicieli rządu i członków komisji sejmowej. Spotkanie zapamiętał jako katastrofę.

„Czy w ogóle istnieje coś takiego jak gospodarka morska?" – pytał jeden ze znudzonych posłów. Innego interesowało tylko to, o której będzie przerwa obiadowa. W jego pamięci została bezsilność wobec tych, od których wszyscy mogliśmy oczekiwać działania.

O szanse na ocalenie konkretnych przedsiębiorstw można się spierać. Nie ma jednak potrzeby wmawiać ich obrońcy, że nie zrozumiał sensu przemian. Szczurek współtworzył Polskę samorządową i właśnie dlatego miał wobec państwa oczekiwania. Określenie „porażki wolnej Polski" zawiera zarówno krytykę, jak i przywiązanie. To nasze państwo mogło zrobić coś lepiej. Gdybyśmy mieli je w nosie, byłoby nam przecież lżej.

Robotnicy ze Stara: nie jesteśmy wam nic winni

W sierpniu 1991 r. strajkujący robotnicy starachowickiego Stara śpiewali, że chcą „pracować, Stara budować i przestać politykować". W sporze z rządem Jana Krzysztofa Bieleckiego wspierał ich Region Solidarności Mazowsze. Solidarnościowy związek występował przeciw solidarnościowemu rządowi. Nie był to logiczny błąd nowej Polski. Robotnicy próbowali korzystać z prawa do obrony swoich interesów także wtedy, gdy po drugiej stronie znajdowali się ludzie wywodzący się z dawnej opozycji. Podmiotowości nie można było jedynie „wypożyczyć" na czas walki z komunistami.

A przecież chwilę wcześniej, po wyborach czerwcowych w 1989 r., Gdynianie działający w komitecie obywatelskim usłyszeli od Bogdana Borusewicza, że ich zadanie dobiegło końca i komitet zostaje rozwiązany. Jak wspomina Szczurek, tłumaczył, że w Warszawie nie sposób sprawdzić, kim są wszyscy lokalni działacze. Odpowiedzieli prosto: „Bogdan, to jest demokracja. My się nie rozwiązujemy". W tej odmowie mieściła się cała definicja wolności. Można było ↦

eprasa.pl 188c212f72

↦ podziękować przywódcom, a potem nie wykonać ich polecenia.

Niepodległość nie ustanawia zatem długu wdzięczności, który spłaca się dożywotnim poparciem dla jej politycznych gospodarzy. Demokracja daje nam prawo ich zmieniać. Kiedy w 1993 r. wygrały ugrupowania postkomunistyczne, wynik wyborów można było odczytać jako odrzucenie przez część społeczeństwa dotychczasowego sposobu rządzenia. Nie oznaczało to automatycznie odrzucenia demokracji. Przeciwnie, rozczarowanie znajdowało ujście w mechanizmie, który stał się jednym z najważniejszych osiągnięć przemian.

Michał, autor tekstu: obywatelstwo nie jest nagrodą za przedsiębiorczość

Nie każda interpretacja przeszłości jest równie przekonująca. Wspomnienie straty nie dowodzi jeszcze, że istniała prosta droga jej uniknięcia. Krzywda nie daje nieomylności, podobnie jak sukces nie zapewnia monopolu na rozsądek. Można sprawdzać opowieści, prostować błędy, spierać się o odpowiedzialność. Czym innym jest jednak podważenie czyjegoś wyjaśnienia wydarzeń, a czym innym odmowa uznania, że wydarzenia te były dla niego bolesne. Żeby wysłuchać człowieka, nie trzeba najpierw zatwierdzić wszystkich jego poglądów. Prawo do wspólnoty ma również ten, kto naprawdę nie potrafił się odnaleźć, podjął złe decyzje albo oczekiwał od państwa więcej, niż państwo mogło mu dać. Obywatelstwo nie jest nagrodą za przedsiębiorczość.

> Nie ma sprzeczności w stwierdzeniu, że Polsce się udało, a mnie wydarzyło się wówczas coś złego.

Czas wspólny nie biegnie dokładnie w ten sam sposób co czas ludzkiego życia. Państwo może po kilkunastu latach wyjść z kryzysu silniejsze, lecz człowiek nigdy już nie odzyska dekady, podczas której nie mógł znaleźć pracy. Nowa inwestycja może po latach odmienić miejscowość, ale nie zwróci człowiekowi dekady przeżytej w poczuciu, że nie jest już nikomu potrzebny.

Nie ma zatem sprzeczności w stwierdzeniu, że Polsce się udało, a mnie wydarzyło się wówczas coś złego. Żal może być zresztą jednym ze sposobów przywiązania. Zawiedliśmy się na czymś, od czego oczekiwaliśmy więcej, co miało być również nasze. W takim głosie słychać proste roszczenie obywatela do własnego państwa. Nie każda pretensja będzie słuszna, nie każde żądanie możliwe do spełnienia. Ale stawką rozmowy nie powinno być ustalanie, czy człowiek ma jeszcze prawo należeć do wspólnoty. Z pewnością do niej należy. I nie potrzebuje zaproszenia od tych, którym powiodło się lepiej.

To nie jest wyłącznie spór o lata dziewięćdziesiąte. Od tego, czy potrafimy uznać także niewygodną pamięć innych ludzi, zależy dzisiaj zdolność traktowania państwa jako rzeczywiście wspólnego.

Świętując 11 listopada, nie musimy jednakowo pamiętać czasów transformacji. Możemy za to uczcić fakt, że o sposób urządzenia Polski wolno nam się spierać, i potraktować to prawo poważnie także wobec tych, których opowieści psują nam nastrój. Janina nie musi odwołać słów o dobrym pożegnaniu, żeby opowiedzieć o płaczu przy oknie. Nie musi też odwołać swojego żalu, żeby powiedzieć: to jest mój kraj.

© MICHAŁ PRZEPERSKI

Autor jest doktorem historii, rzecznikiem prasowym Muzeum Historii Polski. Wydał m.in. „Dziki Wschód. Transformacja po polsku 1986-1993", a ostatnio „Prawie Zachód. Historie polskiej transformacji".

TYGODNIK POWSZECHNY

Redaktor naczelny: Jacek Stawiski
Redaktor senior: ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Okoński
Dyrektor artystyczny: Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Monika Białkowska, Zuzanna Radzik, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Marek Rabij, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Michał Kuźmiński, Piotr Mucharski, Monika Ochędowska (kierowniczka), Anita Piotrowska
Felietony: Natalia de Barbaro, Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Justyna Kowalczyk-Tekieli, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński
Fotoedycja: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara (kierowniczka)
Skład: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda (dyrektorka serwisu), Paweł Pieniążek, Katarzyna Rutkowska, Jacek Taran
Marketing i sprzedaż: Justyna Hernas (dyrektorka ds. reklamy), Mateusz Gawron, Ewelina Lebida, Anna Pietrzykowska, Janusz Sieńko, Monika Sochacka, Jakub Starzyk, Barbara Ziajka
Dział IT: Piotr Muszyński, Katarzyna Rejdych, Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Paweł Musiałek, Maciej Müller, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Stefan Sękowski, Piotr Sikora, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Jacek Stawiski (wiceprezes), Edyta Płachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039 redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416 reklama@TygodnikPowszechny.pl promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075 prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Erste Bank Polska S.A.
konto: 76 1910 1048 2102 0388 3361 0001
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

TygodnikPowszechny.pl

eprasa.pl 188c212f72

TYGODNIK POWSZECHNY

SENS ZAMIAST SENSACJI

Nowość: dostawa przez kuriera InPost

Czytasz cały rok. Płacisz co miesiąc.

Roczna prenumerata „Tygodnika Powszechnego” z dostawą przez kuriera InPost – prosto pod Twoje drzwi.

67 zł
miesięcznie



Zeskanuj kod i zamów prenumeratę

tygodnikpowszechny.pl/
oferta-raty-inpost

Roczna prenumerata z płatnością miesięczną:
12 × 67 zł. Dostawa przez kuriera InPost w cenie.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 188c212f72

KRAJ

SPECJALSI I SOCJALSI

Obecność ponad 38 tysięcy pań w Wojsku Polskim ostatecznie unieważnia wątpliwości, czy to dla nich odpowiednie miejsce. Jednocześnie rodzi pytanie, czy armia na pewno dojrzała do powszechnej służby kobiet.

MAREK RABIJ



Niedawno skończyła 32 lata. Mundur nosi od ośmiu, założyła go po studiach. Z okazji 11 listopada, jak co roku, politycy i zwierzchnicy przypomnieli jej, że pełni zaszczytną służbę, ale to przecież jej praca. W stopniu zawodowego szeregowego – nie szeregowej, nie przepada za feminatywami – jej miesięczne zarobki to ok. 5,4 tys. zł na rękę. Gdyby po cywilnych studiach wysłali ją na studium oficerskie, służbę mogłaby zacząć z wyższą rangą i lepszym uposażeniem.

Nie do końca wiadomo, skąd przyjechała. Gdyby dane o pochodzeniu wszystkich polskich żołnierzy uznać za reprezentatywne także dla pań w mundurach, na świat przyszła zapewne na Mazowszu lub Mazurach, w niedużej miejscowości – i raczej w rodzinie wielodzietnej.

Możliwe, że poszła w ślady starszego brata. A może nie widziała siebie w mundurze do chwili, kiedy z braku lepszych opcji postanowiła odpowiedzieć na wojskowe ogłoszenie o pracę? Dziś nosi go z dumą, ale i z poczuciem, że w przeciwieństwie do kolegów z jednostki musi ciągle udowadniać, że na niego zasługuje. Dlatego odpowiedź na pytanie, czy takiego samego losu chciałaby kiedyś dla swojej córki, sprawia jej dużo trudności.

Kobiety na Rosomaki

Powyższa charakterystyka nie odnosi się do konkretnej osoby, ale dobrze opisuje przeciętną polską żołnierkę i towarzyszące jej uczucie rozdarcia między tym, co o jej służbie mówi się oficjalnie, a tym, co słyszy i z czym styka się na co dzień. W Wojsku Polskim pod koniec października służyło już 38 599 kobiet, o 1667 więcej niż na początku tego roku. Nie przeszkadza to jednak armii nadal traktować panie jako zasób kadrowy drugiej kategorii.

Tymczasem w wojsku przybywa ich szybciej niż żołnierzy ogółem. Od roku 2015 korpus zawodowy powiększył się z 96 do 156 tys. osób, czyli o 62 proc. Liczba etatowych żołnierek w tym samym czasie urosła z 4132 do 24 930, czyli aż sześciokrotnie! Gdyby zliczyć wszystkie Polki w mundurach, włącznie ze słuchaczkami szkół wojskowych, pełniącymi służbę zasadniczą i żołnierkami WOT, odsetek kobiet zbliży się do 18 proc. Średni udział pań w siłach zbrojnych krajów NATO wynosi tymczasem 12,7 proc.

W głównej mierze to efekt niskiej bazy. Armia, w której służą, to w końcu następczyni Ludowego Wojska Polskiego, które panie trzymało na dystans. Nieliczne desperatki, które w tamtych czasach pukały do jego bram, składając np. podania do szkół wojskowych, odsyłano z kwitkiem. Dopiero w 1988 r. kobiety dopuszczono do służby w korpusie medycznym, już w mundurach i ze stopniami wojskowymi, ale w praktyce wciąż poza głównym krwiobiegiem armii.

Zmiany na poważnie wymusiło dopiero wejście Polski do NATO. Wojskowa Akademia Techniczna w naborze na rok akademicki 1999/2000 otrzymała aż 60 podań od maturzystek i przyjęła 14 z nich. Rok później studia w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Lądowych we Wrocławiu rozpoczęła Anna Czajkowska. W 2003 r. pierwszych w dziejach absolwentek doczekała się też Wyższa Szkoła Oficerska Sił Powietrznych w Dęblinie, którą ukończyły Katarzyna Lambert i Paulina Szku-

eprasa.pl 188c212f72



KRZYSZTOF ŻATYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Promocja na pierwszy stopień oficerski w Akademii Wojsk Lądowych im. gen. Tadeusza Kościuszki. Wrocław, 6 września 2025 r.

dlarz. W tym samym czasie, dzięki zmianom w przepisach, umożliwiono wreszcie kobietom podejmowanie służby zasadniczej. Dwa lata później media ekscytowały się zdjęciami pań w transporterach Rosomak.

Kalesony zamiast rajstop

Armia w końcu otworzyła się na Polki. W praktyce to otwarcie czasami ocierało się o gorzki absurd. Kobietom w koszarach wydawano m.in. pędzle do golenia. Żołnierzy wyruszających do Iraku prewencyjnie zaopatrywano w prezerwatywy, ale początkowo nikt nie pomyślał, żeby zadbać o podpaski dla żołnierek. Przez wszystkie zmiany polskich misji w Iraku i Afganistanie przewinęło się w sumie niemal 600 kobiet.

Na wyższych piętrach tej struktury nie było lepiej. Komandor w stanie spoczynku Bożena Szubińska, jedna z pierwszych Polek, które założyły wojskowy mundur, tak wspomina swoją ostatnią wizytę w ściśle strzeżonym stanowisku dowodzenia pod siedzibą Sztabu Generalnego: – Gdy szłam za potrzebą, z daleka kasłałam, żeby ostrzec panów przy pisuarach, że muszę do nich dołączyć. W 2009 r., dziesięć lat po naszym wejściu do NATO, w bunkrze dowodzenia wciąż nie było damskiej toalety.

Jeszcze wiosną 2023 r. w sprawie pań w mundurach musiał interweniować w MON Rzecznik Praw Obywatelskich. Słuchaczki szkół wojskowych otrzymywały damską bieliznę. Żołnierki służby zasadniczej, kontraktowe i zawodowe, musiały tymczasem zaopatrywać się w nią na własną rękę albo szamotać się z niewygodnym męskim *dessous*. Niektóre panie w mediach społecznościowych dzieliły się nawet zdjęciami improwizowanych wojskowych kreacji, w których rajstopy zastępowały regulaminowymi kalesonami.

Armia nie lubi menstruacji

Na krok pozornie tak oczywisty, jak wyposażenie dostosowane do damskiej sylwetki, MON pozwolił sobie dopiero dwa lata temu, kiedy w zmienionym regulaminie umundurowania przewidziano jego wersje zaprojektowane dla pań.

W ramach trwającej „Operacji szpej", która ma zaowocować szybką wymianą osobistego wyposażenia, polskie żołnierki mają w końcu otrzymać także buty uszyte podług innego kopyta i śpiwory przystosowane do damskiej termiki. Armia obiecuje też paniom kres cierpień wywołanych noszeniem kamizelek z wkładami balistycznymi formowanymi pod męski tors, które uciskają kobiece piersi. W przeciwieństwie do większości sojuszniczych formacji mundurowych z NATO, nadwiślański regulamin nadal nie przewiduje jednak wersji munduru dla żołnierki w ciąży.

Jeśli to tylko niedopatrzenie, to znamienne. Wojsko Polskie oficjalnie przestaje udawać, że za bramą jednostki nie ma kobiet ani mężczyzn, bo wszyscy są przecież żołnierzami. Jednak relatywnie niewielka liczba pań w mundurach nadal prowadzi do częstego pomijania lub wręcz lekceważenia ich potrzeb. Wciąż można trafić w Polsce na koszary i bazy z pachnącą nowością damską toaletą zamkniętą na klucz. Żołnierskim menu po staremu rządzą tabele dobowego zapotrzebowania kalorycznego mężczyzny.

O fanaberiach znanych innym armiom NATO, jak specjalna dieta dla żołnierek w ciąży czy w okresie karmienia, wojsko nie chce nawet słyszeć. Wolne na żądanie na wypadek bolesnej menstruacji? Wolne żarty. Armia krzywo patrzy nawet na zwolnienia lekarskie wydane z tak błahego rzekomo powodu. W październiku ub. roku przedstawicielka Rady do Spraw Wojskowej Służby Kobiet przy MON apelowała nawet do posłów o ustawowy dzień wolny na żądanie dla żołnierek mających okres. Jej zdaniem tylko ↦

eprasa.pl 188c212f72

↦ w ten sposób kobiety w mundurach mogą uniknąć ocen przełożonych, które negatywnie wpływają na przebieg ich dalszej kariery.

Awanse dla mężczyzn

W polskiej armii AD 2026 szklany sufit to fakt, nie żaden narracyjny konstrukt w wojnie płci. W korpusie zawodowych szeregowych panie stanowiły rok temu niemal 20 proc. W korpusie oficerskim – 16 proc. Wśród oficerów w stopniu pułkownika, ostatnim przystanku na drodze do generalskich epoletów, nie uzbiera się ich nawet 1 procent.

Progi szkoły oficerskiej pierwsza Polka przestąpiła 26 lat temu. Na liście polskich generałów nadal widnieją tymczasem tylko dwie panie: Maria Witek oraz Elżbieta Zawacka, członkinie Armii Krajowej, które otrzymały ten stopień w 1991 i 2006 r., w wieku odpowiednio 92 i 97 lat. W 2018 r. w mediach pojawiły się wzmianki, że dołączy do nich wreszcie żołnierka w służbie czynnej, ale do promocji generalskiej płk Agnieszki Sochan nie doszło; szef MON Mariusz Błaszczak zaprzeczał nawet publicznie, że takie plany w ogóle istniały.

Pięć lat później o nominację otarła się płk Alicja Trochimiuk, ówczesna szefowa Wojskowego Instytutu Medycyny Lotniczej. W tym roku na liście potencjalnych kandydatów znów pojawiła się kobieta. Wspomniana wyżej płk Anna Czajkowska, jedna z pierwszych absolwentek szkoły oficerskiej, po latach służby w 10. Brygadzie Kawalerii Pancernej w Świętoszowie i uczestnictwie w misjach w Iraku, Afganistanie oraz w Czadzie, miałaby dostąpić takiego awansu jako jedna z kluczowych osób w Wojskach Obrony Terytorialnej.

– O ile panowie wybaczą jej narowisty charakter i niewyparzoną buzię – komentuje, prosząc o anonimowość, koleżanka pani pułkownik. – Parę lat temu Anka wywołała skandal, gdy podczas jakiejś uroczystości, wraz z wyróżnieniem, wręczono jej pluszowego misia. Powiedziała, że go przyjmie, jeśli taką samą przytulankę dostaną też pozostali nagrodzeni.

Czyżby więc armia z premedytacją utrudniała Polkom awans na najwyższe stanowiska? Jeśli za punkt odniesienia przyjąć biogramy 30 oficerów, których na stopnie generalskie awansowano w tym roku, średnio 30 lat po ukończeniu szkoły oficerskiej, na pierwszą kobietę podniesioną do tej rangi powinniśmy czekać jeszcze około dekadę. Niewykluczone, że poczekamy jednak dłużej. Jak podkreśla komandor Szubińska, ścieżki wojskowej kariery mężczyzn i kobiet nadal mają różny „stopień nachylenia".

– Jeśli żołnierz zawodowy powie przełożonemu, że chciałby wyjść wcześniej, żeby na przykład zaprowadzić dziecko na szczepienie, spotka się ze zrozumieniem lub odmową, ale na tym sprawa się skończy. Jeśli o to samo poprosi zawodowa żołnierka, reakcja będzie identyczna. Tylko że od tej pory jej dowódca będzie się jej baczniej przyglądać, czy przypadkiem nad służbę nie przedkłada rodziny – mówi.

Za czym panny sznurem?

Pułkownik Katarzyna Lachowicz, zastępca dowódcy 19. Lubelskiej Brygady Zmechanizowanej, w nagranym niedawno podkaście MON stawia sprawę jeszcze ostrzej. Spośród dziesiątków wojskowych stereotypów o paniach w mundurach jej zdaniem najbardziej krzywdząca jest opowieść o polowaniu na socjal. „Sam fakt, że następuje w życiu kobiety moment, w którym decyduje się ona na macierzyństwo, bardzo często budzi komentarze, że to jest dojenie systemu" – zauważa.

Pani pułkownik nie ciągnie wprawdzie tej myśli, ale jej rozwinięcie wydaje się oczywiste. W przypadku mężczyzn wybór kariery wojskowej nie wymaga wyjaśnień. Kobiety w armii muszą nadal udowadniać, że poszły tam z pobudek patriotycznych albo z prawdziwej pasji – a i tak nie wszystkich przekonają. Na forach wojskowych i pod publikacjami o służbie pań regularnie pojawiają się zgryźliwe głosy, że obok „specjalsów", czyli jednostek specjalnych typu GROM, resort obrony buduje nową, czysto żeńską formację zwaną „socjalsami".

Ograniczone zasoby armii w takich wyobrażeniach padają ofiarą kolejnych sprytnych obywatelek RP, dla których etat w wojsku to zaledwie wygodny przystanek na drodze do założenia rodziny, urodzenia dziecka i spędzenia kilku miesięcy na urlopie macierzyńskim na koszt podatnika. O tym, że ci sami podatnicy składają się przecież i na urlopy macierzyńskie matek w cy-

Duża armia bez kobiet? To się nie uda

DO 2039 R. WOJSKO POLSKIE ma liczyć 300 tys. żołnierzy, w większości zawodowych. Tymczasem analiza na zlecenie Senatu RP, którą w 2023 r. przygotował dr Michał Piekarski z Instytutu Studiów i Bezpieczeństwa Uniwersytetu Wrocławskiego, pokazuje, że taka armia potrzebować będzie co roku aż 61,5 tys. nowych chętnych jedynie po to, żeby jej szeregi znów nie zaczęły topnieć. W samym korpusie zawodowym fluktuacja kadr sięgnie 9 tys. osób rocznie. Jak podaje GUS, w Polsce mieszka dziś nieco ponad 2 mln mężczyzn w wieku 20-29 lat, z tendencją malejącą w każdym kolejnym roczniku. W roku 2021 (osoby wówczas urodzone w 2039 r. osiągną pełnoletniość) na świat przyszło niespełna 171 tys. chłopców. W ubiegłym – już zaledwie 122 tys. W perspektywie dwóch najbliższych dekad Wojsko Polskie stanie więc przed *de facto* nierozwiązywalnym dylematem, w jaki sposób zachęcić do wstąpienia w jego szeregi co drugiego osiemnastolatka! Bez jeszcze szerszego otwarcia się na Polki plan budowy trzystutysięcznej armii będzie zatem nierealny. Właściwie już dziś można zaryzykować stwierdzenie, że nie uda się to bez przywrócenia obowiązkowej służby zasadniczej, i to w wersji obejmującej także kobiety, których konstytucja RP nie zwalnia przecież z obowiązku obrony ojczyzny. W nowoczesnej armii, walczącej nie tylko w okopach, nie zabraknie dla nich miejsca w licznych formacjach zaplecza.
Poza tym wojsko, jak mawiał admirał Wellington, maszeruje na brzuchu. Żadnej wojny nie da się wygrać bez solidnego zaplecza gospodarczego.
W fatalnym stanie, w jakim znajduje się polska demografia, apetyt armii na poborowych będzie znacząco osłabiać gospodarkę. To kolejny argument za tym, by polskie mundury przywdziało więcej Polek. ©℗ MR

eprasa.pl 188c212f72



ADAM BURAKOWSKI / EAST NEWS

Wśród młodych żołnierzy zawodowych dominują zwolennicy Konfederacji. Ostatnie decyzje MON mogą zdobyć ich uznanie. Na zdjęciu: wicemarszałek Sejmu Krzysztof Bosak, minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz, ppłk Katarzyna Lachowicz. Warszawa, 6 czerwca 2025 r.

wilu, komentarze zwykle milczą. Pomijają też komiczny w istocie fakt, że głównym hamulcowym rozszerzenia prawa do urlopu ojcowskiego na żołnierzy byli mężczyźni. Takie rozwiązanie pojawiło się w polskim Kodeksie pracy już w 2010 r., ale MON ramię w ramię z polską generalicją odmawiali go żołnierzom zawodowym aż do 2013 r., przekonując, niezgodnie z prawdą, że czegoś takiego nie ma ani w innych armiach NATO, ani nawet w innych polskich formacjach mundurowych.

W gotowości bojowej

Częściowym wytłumaczeniem dla takich osądów może być specyfika hermetycznego wojskowego środowiska. Dr Aneta Judzińska z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu w 2021 r. opublikowała wyniki swoich badań o macierzyństwie kobiet pełniących zawodową służbę wojskową. Niemal co druga z 31 jego uczestniczek w stopniu od podporucznika do podpułkownika pozostawała w związku z żołnierzem. Ankietowane podkreślały, że partner w mundurze gwarantuje im zrozumienie dla charakteru ich pracy, np. nieobecności spowodowanej nagłym wezwaniem do jednostki. Żołnierki dodawały jednak, że regularnie spotykają się z mniej lub bardziej dosadnie wyrażanymi oczekiwaniami współpracowników i przełożonych, że rolę matki podporządkują służbie wojskowej. Gdy plany czy obowiązki męża w mundurze kolidują z ich własnymi zawodowymi zobowiązaniami i ambicjami, otoczenie oczekuje, że skoncentrują się na domu i odciążą w tym partnera. Ta przedziwna dychotomia sprawia, że część żołnierek zawodowych po urodzeniu dziecka porzuca marzenia o rozwoju i awansie.

Armia ma na to oczywiście odpowiedź. Równouprawnienie nie może upośledzić gotowości bojowej. Trudno się z tym nie zgodzić, choć nie sposób oprzeć się wrażeniu, że wojskowi tłumaczą tak dowolną nieprawidłowość.

Polskie żołnierki do dziś wspominają sytuację z jednej misji w Afganistanie, gdzie pod nieobecność dowódcy jego zastępczyni skonfliktowała się z grupą żołnierzy. Po powrocie szef cofnął jej decyzje i odesłał do kraju. Rzecz działa się w bazie narażonej na regularne ataki. Wycofanie doświadczonych żołnierzy, którzy złamali regulamin, osłabiłoby zdolności operacyjne jednostki, dlatego musiał – albo po prostu wolał – skrzywdzić zastępczynię, która trzymała się przepisów.

Wojsko nie molestuje

Od 2013 r. w Regulaminie Ogólnym Sił Zbrojnych RP znajduje się zapis umożliwiający ofiarom mobbingu i molestowania zgłaszanie takich przypadków z pominięciem drogi służbowej, gdy skarga dotyczy bezpośredniego przełożonego. Tu wojsko w porę zareagowało na potencjalne zagrożenia, które może tworzyć nowa koedukacyjna rzeczywistość polskich koszar. W uchwalonej dziewięć lat później ustawie o obronie ojczyzny, która zastąpiła wcześniejszą ustawę o dyscyplinie wojskowej, zabrakło jednak słów „mobbing" i „molestowanie".

Wojskowi juryści podkreślają, że brak obu pojęć w kluczowym akcie prawnym porządkującym koszarową rzeczywistość nie oznacza, że potencjalnych sprawców takich czynów nie można ścigać na gruncie Kodeksu karnego. W praktyce utrudnia to jednak dochodzenie sprawiedliwości ofiarom i ułatwia sprawcom uniknięcie infamii. Przełożony, któremu udowodni się mobbing czy molestowanie, w świetle ustawy winien będzie czynu „nielicującego z godnością i postawą żołnierza", co może oznaczać zarówno próbę wykorzystania seksualnego, jak też wszczęcie awantury po pijanemu.

Nic dziwnego, że wiele formalnie zgłoszonych przypadków molestowania żołnierek nie znajduje finału albo kończy się „rozsadzeniem" sprawcy i ofiary w osobnych jednostkach. Nie znaczy to oczywiście, że problem nie istnieje. W odpowiedzi na interpelację poselską nr 270 z 30 grudnia 2019 r. resort obrony podał, że w latach 2015–2019 tylko do Rady ds. Kobiet w MON zgłaszano rocznie do pięciu spraw dotyczących molestowania seksualnego.

Chorąży wyżej majora

Na rok 2026 Rada przygotowała cykl szkoleń dla żołnierzy o „prawach człowieka i perspektywie gender w operacjach wojskowych". Kurs miał się koncentrować na doskonaleniu współpracy żołnierzy i żołnierek podczas misji zagranicznych, ale prawicowe media zrobiły z niego „propagandę homoseksualizmu", a ministra obrony okrzyknęły „tęczowym Władkiem".

W lutym br. MON w lakonicznym komunikacie powiadomił o skreśleniu tego punktu z programu szkoleń, mimo że wcześniej zaaprobował je Departament Kadr. Resort ewidentnie puszcza oko w stronę Konfederacji, która – jak pokazały badania fundacji Stratpoints – wśród młodych polskich żołnierzy cieszy się poparciem przekraczającym 50 proc.

Radzie do Spraw Wojskowej Służby Kobiet, którą kierują dwie panie w stopniu majora i jedna porucznik, w ministerstwie również wskazano nowe miejsce. Formalnie podporządkowano ją pełnomocnikowi ministra do spraw warunków służby. To zasłużony żołnierz GROM. W stopniu starszego chorążego.

©℗ MAREK RABIJ

eprasa.pl 188c212f72



SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Prezydent Karol Nawrocki i premier Donald Tusk podczas posiedzenia Rady Gabinetowej. Warszawa, 27 sierpnia 2025 r.

Gdy prawo staje się polem bitwy

MARCIN MATCZAK

PAŃSTWO | Część społeczeństwa słyszy o przywracaniu rządów prawa, część o „siłowym przejęciu konstytucyjnego organu państwa". Gdy wspólne rozumienie sytuacji się rozpada, przyszły autokrata ma wolną drogę.

W sprawie wydarzeń związanych z Trybunałem Konstytucyjnym napisano już prawie wszystko: że naprawienie sądu konstytucyjnego przy pomocy policji nie jest najlepszym rozwiązaniem, że wytworzył się przez to zły precedens, który się zemści w przyszłości, ale też, że nie było innego wyjścia i że na tę przemoc w białych rękawiczkach trzeba było w końcu zareagować twardo.

Ja sam o faktach i interpretacjach prawa, w tym karkołomnych, jak ta z zawieszeniem prezesa i wiceprezesa oraz ta z liczeniem kworum, napisałem już kilka artykułów, więc w tym chcę spojrzeć na sprawę szerzej i nieco bardziej filozoficznie.

Pokaz siły

W piątkowy wieczór 30 października okazało się ostatecznie, że siła zastępuje w Polsce prawo. Jest to spóźniony sukces Jarosława Kaczyńskiego, który od 2007 r. i słynnych już słów o imposybilizmie prawnym próbował ten imposybilizm przezwyciężyć, wmawiając Polakom, że lepiej, by o ich najważniejszych problemach decydowali politycy niż sędziowie. I ostatecznie to wmówił – teraz wszyscy jesteśmy jak ten grabarz z „Ojca chrzestnego", który w czasie wesela przychodzi do Don Corleone po sprawiedliwość, bo sąd, który miał osądzić ważną dla niego sprawę, zawiódł. Przychodzi i prosi, żeby sprawiedliwość przywróciła siła, nie prawo, bo w prawo już nie wierzy.

Pierwszym pokazem siły byli funkcjonariusze policji w kaskach pod Trybunałem, tworzący obrazek, który będzie oglądany niewnikającym w niuanse prawne okiem jak zdjęcie ze stanu wojennego, nie z procesu przywracania praworządności. Dla mojego wywodu ważne jest to, że ten pokaz siły wzbudził aplauz po stronie elektoratu Donalda Tuska, pokazując tym samym, że sprawczość i stanowczość są głównymi cechami, których od rządu oczekują wyborcy. Problem w tym, że sprawczość jest tu mylona z agresywnością. Bo w sensie prawnym efektem nie jest Trybunał naprawiony – takim byłby Trybunał, który uznają obie strony, nie tylko jedna.

Drugim pokazem siły było to, co zrobił prezydent – zawrócenie samolotu znad Hiszpanii, a potem siłowe, taranujące sędziów wejście do Trybunału. Po co? Nie bardzo wiadomo. Karol Nawrocki wszedł, torując sobie drogę własnym ciałem, pokręcił się po holu, posiedział w gabinecie wiceprezesa i zniknął.

Są ludzie, którzy upatrują w tym gestu monarchy, rzucającego się do walki z wrogiem w pierwszym szeregu. Jedynym monarchą, który przychodzi mi w tym kontekście na myśl, jest król Julian z „Madagaskaru", i jego motto: „Teraz, prędko, zanim dotrze do nas, że to bez sensu".

Zacieranie różnic

Jest jednak problem, że tak powiem „ustrojowy", z interwencją Nawrockiego. Od niego chcę zacząć ten wywód. Polega na tym, że osoba sprawująca najwyższy urząd w państwie wprowadziła własną przewagę fizyczną do sporu o to, komu przysługuje władza oparta na prawie. Prezydent przestał więc ograniczać się do wykonywania przypisanych mu kompetencji, ale osobiście uczestniczył w wymuszaniu sytuacji, którą uważa za zgodną z prawem. A szczególna ochrona jego osoby miała sprawić, że inni musieli ustąpić, zanim zostanie rozstrzygnięte, czy miał prawo tego żądać.

Max Weber pozwala wyjaśnić, dlaczego osobiste użycie siły przez prezydenta jest w analizie tej sytuacji istotne. W jego rozróżnieniu typów panowania posłuszeństwo może wynikać z tradycji, osobistej charyzmy przywódcy albo uznania bezosobowych reguł i wynikających z nich kompetencji. W panowaniu opartym na prawie urzędnik działa dlatego, że określona norma upoważnia

eprasa.pl 188c212f72

go do określonej czynności. Jego pozycja nie daje mu ogólnego prawa do żądania posłuszeństwa we wszystkich sprawach.

Z tego wynika pierwsza interpretacja tej sytuacji: fizyczne przeforsowanie wejścia przez prezydenta zastępuje kompetencję demonstracją osobistej przewagi fizycznej. Prezydent nie przedstawia tu już racji, które inni mają obowiązek uznać w określonej procedurze, ale stwarza sytuację, w której muszą się przed nim fizycznie cofnąć. Używa więc przymusu jako środka rozstrzygania konfliktu ustrojowego.

W państwie konstytucyjnym ustalenie uprawnienia, podjęcie decyzji oraz jej wykonanie podlegają regułom i kontroli. Prezydent angażujący się fizycznie w spór skupia te role w jednej osobie: sam uznaje określony stan za legalny i sam pomaga wymusić jego realizację. To jest zacieranie różnicy między państwem a jego piastunem.

Puste miejsce władzy

Znana teza Claude'a Leforta głosi, że w demokracji miejsce władzy pozostaje symbolicznie puste. Oczywiście ktoś sprawuje urząd, ale nikt nie może trwale przywłaszczyć sobie władzy ani twierdzić, że jego osoba ucieleśnia całe społeczeństwo. Wynika to z faktu, że demokratyczna władza jest czasowa i podzielona. Lefort przeciwstawia temu autokratyczne dążenie do ucieleśnienia jedności społeczeństwa w przywódcy albo partii.

Kiedy jednak prezydent atakuje własnym ciałem, a otoczenie uzasadnia konieczność ustąpienia przed nim samym faktem, że to prezydent, jest to wyraźne roszczenie, by utożsamiać osobę prezydenta z władzą państwową. Nie wystarczy wtedy powiedzieć: „Szanuję urząd, ale kwestionuję tę konkretną czynność". Fizyczny opór wobec czynności jest przedstawiony jako zamach na urząd.

Innymi słowy, w demokratycznym sporze można stwierdzić: „Nie zgadzamy się, kto ma prawo zarządzać tym miejscem". W autorytarnym układzie ten sam konflikt może zostać przekształcony w pytanie: „Jakim prawem stajesz przede mną i mnie zatrzymujesz?".

Warto przyjrzeć się mechanizmowi, który tu działa. Kiedy przywódca zostaje z góry uznany za reprezentanta porządku, to jego przeciwnicy są przedstawiani jako uzurpatorzy albo osoby bez znaczącego statusu (tak została ukazana przez prawicowych komentatorów sędzia Korwin-Piotrowska, która stanęła prezydentowi na drodze – Krzysztof Stanowski porównał ją do „przypadkowego przechodnia"). Nacisk prezydenta jest wtedy interpretowany jako przywracanie normalności, a opór wobec nacisku staje się dowodem agresji przeciwników. Co więcej, ich ustąpienia wymaga się tu jeszcze przed ustaleniem uprawnień do tego żądania.

Szczególna ochrona prezydenta dodaje smaczku sytuacji. Jego kancelaria zapowiedziała, że złoży do prokuratury zawiadomienie o naruszeniu nietykalności prezydenta. Powstaje pytanie: czy przywódca może wykorzystać własne ciało do wymuszania decyzji, a następnie powołać się na szczególną ochronę tego ciała, żeby wykluczyć możliwość oporu?

Gdyby tak rozumować, przywilej służący bezpiecznemu wykonywaniu urzędu stawałby się środkiem ekspansji jego faktycznej władzy. Im silniej chroniona osoba, tym większą przestrzeń mogłaby sobie otwierać samą obecnością.

Wejście Napoleona

Historia zna przykłady wejść podobnych do wejścia Nawrockiego i dotyczą one zawsze monarchy lub dyktatora. 4 stycznia 1642 r. Karol I przybył do Izby Gmin osobiście ze zbrojną eskortą, aby doprowadzić do aresztowania pięciu posłów. Ci zaś, uprzedzeni o zamiarze, zdążyli się oddalić. Speaker William Lenthall odmówił wskazania ich miejsca pobytu, wyjaśniając, że to on z racji swej funkcji ma władzę nad miejscem, do którego wszedł król. Okazał więc królowi ceremonialny szacunek, nie uznając jednocześnie jego żądania za wiążące.

Drugim przykładem jest wejście Napoleona do Rady Pięciuset podczas przewrotu 18-19 brumaire'a, w listopadzie 1799 r. Bonaparte osobiście wkroczył do sali obrad i spotkał się z gwałtownym sprzeciwem. Przewrót został następnie przeprowadzony przy użyciu wojska, a deputowanych usunięto. Szczególnie interesujące jest to, jak później przedstawiono tę scenę. Na obrazie François Bouchota widzimy Bonapartego jako spokojnego przywódcę otoczonego gwałtownymi deputowanymi, wbrew jego rzeczywistemu zachowaniu podczas zajścia. To przykład, jak można przekształcić wtargnięcie przywódcy w opowieść o ataku na niego. Dziś także kamera lub zdjęcie potrafią skupić uwagę na momencie oporu, usuwając z pola widzenia pytanie, dlaczego przywódca znalazł się w tej sytuacji i czego próbował dokonać.

Podziw dla Nawrockiego sygnalizuje niestety, że Polacy mają tendencję do autorytarnego wyobrażania sobie władzy. Wolą postrzegać władzę personalnie, nie instytucjonalnie. Walter Bagehot w „The English Constitution" pisał, że przewaga monarchii polega m.in. na jej zrozumiałości: łatwo wyobrazić sobie człowieka rządzącego państwem. Znacznie trudniej zrozumieć współdziałanie parlamentu, gabinetu, większości i odpowiedzialności politycznej.

Problem dwóch legitymacji

W demokracji prezydent skupia znaki państwowej godności. Człowiek oglądający salutowanie („Czołem żołnierze!") oraz przemówienia głowy państwa może nieświadomie odczytywać je jako komunikat: „To przełożony wszystkich pozostałych". Jedna osoba jest również łatwiejszym wyjaśnieniem wydarzeń niż system współzależności. Potrafimy przypisywać jej intencje: chciał, zdecydował, przestraszył się, zwyciężył. Trudniej opowiedzieć równie przekonującą historię o rezultacie negocjacji kilkunastu podmiotów.

Stąd łatwy przeskok: skoro to prezydent „kreuje historię", instytucje są tylko jego narzędziami albo przeszkodami. Ich niezależność zaczyna wyglądać jak utrudnianie pracy człowiekowi odpowiedzialnemu za całość.

Bezpośrednie wybory prezydenckie wzmacniają iluzję osobistej suwerenności. Juan Linz opisywał ten problem „podwójnej legitymacji": zarówno prezydent, jak i parlament mogą powoływać się na demokratyczny mandat. Prezydent ma jednak pokusę przedstawiania siebie jako jedynego reprezentanta całego narodu, podczas gdy parlamentarzyści mają reprezentować jedynie jego części. W potocznym odbiorze można więc zestawić miliony głosów oddanych na prezydenta z liczbą głosów na pojedynczego posła i uznać przewagę prezydenta za oczywistą.

Poza tym ludzie przenoszą znane sobie relacje społeczne na państwo. Zwyczajny ↦

eprasa.pl 188c212f72

↦ człowiek zna rodzinę, firmę, szkołę czy wojsko jako układy, w których da się wskazać przełożonego. Może więc oczekiwać, że państwo również ma „najwyższego szefa", który rozstrzyga spory podwładnych.

Podział władz wymaga trudniejszego wyobrażenia: kilka organów ma własne uprawnienia, a ich konflikt nie musi mieć osobowego zwierzchnika. Rozstrzygnięcie powinno wynikać z reguł i procedur. Z tej perspektywy szczególnie myląca jest metafora „głowy państwa". Głowa kojarzy się z ośrodkiem kierującym całym organizmem. Łatwo więc potraktować parlament jako ręce, administrację jako nogi, a sądy jako organy pomocnicze.

Inna miara dla swoich

I na tle tego pragnienia silnej władzy, które ujawniło się nam przez szarżę prezydenta, pojawia się problem drugi – osłabianie instytucji, które mogłyby indywidualną, potencjalnie autorytarną władzę jednej osoby ograniczać. Chodzi mi o to, że skupienie się na odzyskaniu Trybunału Konstytucyjnego „wszelkimi środkami" może zaszkodzić temu, co w dłuższej perspektywie chroni przed autorytaryzmem skuteczniej niż jakakolwiek pojedyncza instytucja – kulturze prawnej obywateli.

Dla jednej części społeczeństwa noc z 30 na 31 października była przywracaniem rządów prawa, dla drugiej – „siłowym przejęciem konstytucyjnego organu państwa". Gdy wspólne rozumienie sytuacji się rozpada, przyszły autokrata nie potrzebuje zgody całego społeczeństwa. Wystarczy mu tolerancja połowy, wcześniej wytrenowanej na zasadzie, że dobry cel usprawiedliwia środki.

Według Barry'ego Weingasta władza jest ograniczona tylko wtedy, gdy obywatele potrafią wspólnie zareagować na przekroczenie granic, a to wymaga, by podzielali rozumienie tego, co jest przekroczeniem. Konstytucja działa jak punkt skupienia (*focal point*) koordynujący tę reakcję. Jeżeli obywatele są podzieleni co do granic, władza może naruszać prawa jednej grupy przy przyzwoleniu drugiej i nie ponosi żadnego kosztu.

Badania potwierdzają ten mechanizm. Milan Svolik pokazuje, że w warunkach silnej polaryzacji wyborcy są skłonni poświęcać zasady demokratyczne dla lojalności partyjnej. Eksperyment Grahama i Svolika wykazał, że tylko niewielka część wyborców gotowa jest ukarać przy urnie własnego kandydata za zachowania antydemokratyczne. Tymczasem wyborca jest bezpiecznikiem dla demokracji tylko wtedy, gdy stosuje tę samą miarę do swoich.

Jeśli to prezydent „kreuje historię", instytucje stają się tylko jego narzędziami albo przeszkodami. Ich niezależność wygląda jak utrudnianie pracy człowiekowi odpowiedzialnemu za całość.

Polskie dane pokazują, że legitymizacja TK stała się partyjna już na początku kryzysu: w kwietniu 2016 r. 45 proc. badanych stawało po stronie Trybunału i ówczesnej opozycji, 29 proc. po stronie władz. Wśród potencjalnych wyborców PiS po stronie rządu opowiadało się jednak aż 74 proc. Każda kolejna runda „odbijania" Trybunału pogłębia ten podział.

Prawo jak instrument

Sąd konstytucyjny zawdzięcza skuteczność nie przymusowi, lecz publiczności: politycy wykonują wyroki, bo obawiają się elektoratu, który tego oczekuje. Niestety, Trybunał odtworzony środkami, które uznaje tylko jeden obóz, będzie miał poparcie szczegółowe połowy społeczeństwa i zerowe poparcie rozproszone drugiej połowy. Taki sąd nie zatrzyma kolejnej władzy, bo ignorowanie go nie będzie generowało kosztu politycznego. Ten mechanizm już działa: w 2016 r. Komisja Wenecka uznała, że odmowa publikacji wyroku TK byłaby posunięciem bezprecedensowym, pogłębiającym kryzys, a dziś nieopublikowanych wyroków jest kilkadziesiąt i praktyka ta przestała kogokolwiek dziwić.

Dzieje się tak z jednego powodu: gdy wszystkie strony sporu traktują prawo czysto instrumentalnie jako środek do własnych celów, prawo przestaje ograniczać i staje się polem bitwy. Walka toczy się już nie w granicach prawa, lecz o kontrolę nad nim. Rządy prawa zakładają bowiem, że prawo jest czymś więcej niż narzędziem, czyli że wiąże także tego, kto akurat nim dysponuje.

Poza tym w prawie działa zasada złego precedensu: każda dzisiejsza decyzja będzie jutro przywoływana jako wzór, także przez decydentów reprezentujących inne wartości i w sprawach, których dzisiejszy twórca precedensu nie przewidział. Odpowiedzialny decydent musi więc pytać nie tylko o słuszność dzisiejszego rozstrzygnięcia, lecz także o to, jakie przyszłe decyzje ono legitymizuje. To mechanizm równi pochyłej. Precedens nie pamięta intencji: zarządzenie o „przerwie w czynnościach" prezesa TK, dokonane przez sędzię Korwin-Piotrowską, będą w przyszłości jako precedens wykorzystywać ludzie, którzy nie podzielają celów autorki.

Zaczęliście pierwsi

Na koniec, ku przestrodze jeszcze jedno badanie. Braley i Lenz w tekście „Dlaczego wyborcy, którzy cenią demokrację, uczestniczą w jej erozji" („Nature Human Behaviour", 2023) wykazali, że ludzie są gotowi podważać normy demokratyczne w takim stopniu, w jakim wierzą, że przeciwnicy są gotowi zrobić to samo. Po prostu odwet opiera się na przesadzonym obrazie przeciwnika, więc nakręca spiralę bezprawia, zamiast ją hamować.

Każde naruszenie reguł jest więc dla drugiej strony dowodem, że to ci pierwsi zaczęli. Tak było w 2015 r., tak będzie teraz. Mamy więc poważny problem jako demokracja. Z jednej strony, co pokazało siłowe wejście prezydenta do budynku TK, ludzie chcą władzy silnej i spersonalizowanej – coraz bardziej gardząc powolnością i złożonością demokracji. Z drugiej strony działania obrońców demokracji ułatwiają przyszłe naruszenia jej zasad, w tym tych, które władzę osobową i spersonalizowaną mają ograniczać.

Jakby na to nie patrzeć, połączenie tych dwóch elementów nie wróży Polsce dobrze, i to jest chyba najważniejsza lekcja z wydarzeń wokół Trybunału Konstytucyjnego.

© MARCIN MATCZAK

eprasa.pl 188c212f72



ADOBE STOCK

Zgodnie ze współczesną definicją, z ADHD może się zmagać nawet 8-10 proc. ludzi

ADHD. Mity i rzeczywistość

DR RADOSŁAW STUPAK, PSYCHOLOG:

ZDROWIE | W dyskusji o ADHD stawia się coraz częściej pytanie: jakie będą konsekwencje tego, że w rozwijające się, dojrzewające mózgi dzieci ingerujemy stymulantami w sposób chroniczny, przez wiele lat?

DOMINIKA SOSZYŃSKA: Różne krytyczne podejścia dotyczące problemów zdrowia psychicznego przychodzą do nas z Zachodu z opóźnieniem. Tak jest chociażby w przypadku ADHD. Ostatnio – za sprawą brytyjskiego dokumentu o prowokacyjnym tytule „The Great ADHD Myth?" – temat znów jest przedmiotem dyskusji.

RADOSŁAW STUPAK: Spory wokół ADHD – jako zjawiska i kategorii diagnostycznej – toczą się od wielu lat, przede wszystkim na łamach literatury naukowej, a ostatnio coraz częściej przebijają się też do mediów głównego nurtu, szczególnie w Wielkiej Brytanii i USA. Powstają filmy i artykuły prasowe, które nie prezentują jednostronnej wersji rzeczywistości oraz stanu badań, z czym najczęściej mamy do czynienia w Polsce.

Film dokumentalny brytyjskiej telewizji Channel 4 jest o tyle przełomem, że pojawia się w nim wiele argumentów – oczywiście w uproszczonej, popularnonaukowej formie – które część środowiska psychiatrycznego, psychoterapeutycznego czy też osób, którym kiedyś postawiono diagnozę ADHD, podnosiła od dawna. Dopiero teraz przebiły się one do mainstreamu w tak rozbudowanej formie.

Cytowani specjaliści wypowiadają się o diagnozowaniu ADHD w krytycznym tonie, trudno jednak podważyć ich autorytet, uznać ich opinie za nienaukowy bełkot. W Polsce zwykle w taki sposób próbuje się unieważniać wszystkie krytyczne głosy w debacie wokół psychiatrii.

Warto podkreślić, że nie jest to krytyka płynąca ze strony środowisk medycyny alternatywnej, że przychodzą jacyś ludzie nie wiadomo skąd i coś tam sobie wygadują. Ta debata toczy się w ramach środowiska naukowego oraz wśród specjalistów zajmujących się zdrowiem psychicznym i somatycznym. Uczestniczą w niej psychiatrzy, psycholodzy, neurolodzy, psychoterapeuci, lekarze różnych specjalności. Również byli prezesi czy prezeski uznanych organizacji, osoby z tytułami profesorskimi.

W mediach organizowane są debaty, w prasie pojawiają się polemiczne teksty. Dyskusja toczy się w bardzo cywilizowany sposób.

Powiedziałbym, że toczy się również w cywilizowany sposób. Nie jest tak, że mamy do czynienia wyłącznie z dojrzałą, merytoryczną rozmową. Szczególnie dyskusje w mediach społecznościowych bywają agresywne, unieważniające, etykietujące. Pojawiają się różne epitety czy oskarżenia o teorie spiskowe, również pod adresem samych psychiatrów.

Emocje są bardzo intensywne. Już sam tytuł, pytający o to, czy ADHD jest mitem, ↦

eprasa.pl 188c212f72

↦ powoduje reakcje: „ADHD nie jest mitem, ADHD jest prawdziwe, z powodu ADHD umierają ludzie". Temat ten dotknął fundamentalnych problemów współczesnej psychiatrii, jej tożsamości. Ale też tożsamości samych psychiatrów, co naturalnie rodzi emocjonalne, wręcz agresywne reakcje. Wiążą się z tym również kwestie korzyści finansowych.

Krytycy uderzają przede wszystkim w sedno tego, jak dziś definiujemy ADHD.

Nie jest to jednak *stricte* pytanie o definiowanie, bo tutaj zawsze można powiedzieć: ADHD jest zdefiniowane tak, jak zdefiniowane są jego kryteria diagnostyczne.

Oni pytają raczej o to, do czego taka definicja miałaby nas właściwie odsyłać, co ona identyfikuje. Czy istnieje coś takiego, na przykład na poziomie mózgu, po czym moglibyśmy stwierdzić, że to jest właśnie ADHD? Czegoś takiego według krytyków, ale również według stanu wiedzy naukowej – nie ma.

Często słyszymy, że ADHD jest zaburzeniem neurorozwojowym.

Tylko żeby to stwierdzić, należałoby wykazać jakiś specyficzny dla takiej kategorii, odbiegający od „normy" stan lub proces neurologiczny. Natomiast dotychczas naukowcom nie udało się znaleźć takiego biomarkera – rzetelnych, powtarzalnych wskaźników, identyfikowalnych u osób z diagnozą ADHD. Z tym, że tego typu wskaźników biologicznych nie ma, zgadzają się nawet ci, którzy kategorii ADHD bronią. Przynajmniej ci dyskutujący merytorycznie.

ADHD jako zaburzenie neurorozwojowe jest tylko hipotezą, a nie potwierdzonym faktem naukowym. Po prostu zakładamy, że tak może być. Wiąże się z tym ujęcie ADHD jako – przede wszystkim – problemu indywidualnego mózgu.

Niektórzy psychiatrzy twierdzą, że powinniśmy mówić o ADHD jako o pewnym konstrukcie społecznym, który opiera się na kryteriach ustalanych subiektywnie przez grupę specjalistów, w dodatku kryteriach cały czas poszerzanych.

Ten konstrukt nie odsyła diagnostycznie do jakiejś jasnej, identyfikowalnej rzeczywistości biologicznej. ADHD jako „rzecz", która może coś „powodować", nie istnieje. Istnieją tylko różne stany i zachowania, które mają wiele różnych przyczyn i konsekwencji.

Użyję kontrowersyjnego porównania, ale możemy powiedzieć, że to trochę tak, jak z rozróżnieniem na „gender" jako płeć kulturową i „sex", czyli płeć biologiczną. Krytycy sądzą, że ADHD jest czymś takim jak „gender", ale nie istnieje na takim poziomie, na jakim istnieje „sex", czyli na poziomie biologicznym. Że nie ma przełożenia pomiędzy ADHD jako pewną kategorią odnoszącą się do norm społecznych, którą próbujemy wyjaśniać rzeczywistość, a prostym, jednoznacznym przełożeniem na obiektywną rzeczywistość biologiczną.

Skoro specjaliści zgadzają się co do tego, że nie można w prosty sposób połączyć ADHD z „zepsuciem mózgu", dlaczego dyskusja jest aż tak gorąca?

Sęk w tym, że w zasadzie dotyczy to wszystkich diagnoz psychiatrycznych. Przecież na założeniu, że są to oddzielne, identyfikowalne, biologiczne problemy – tak samo jak choroby somatyczne – opiera się współczesna psychiatria i to, jakie proponuje interwencje.

Bo jeśli stwierdzimy, że z mózgiem jest coś nie tak, wtedy musimy oddziaływać na ten mózg, na przykład farmakologicznie. A jeśli są to problemy związane bardziej z kwestiami norm kulturowych czy funkcjonowania instytucji społecznych, sugerowałoby to szukanie rozwiązań właśnie na poziomie społecznym.

ADHD leczy się dziś stymulantami, często pochodnymi amfetaminy, czyli narkotyku. Jak wcześniej postrzegano tego typu problemy oraz kiedy zaczęto je leczyć farmakologicznie?

W latach 30. XX w. zauważono, że stymulanty mogą ludzi paradoksalnie, w niektórych sytuacjach, uspokajać. W latach 40. zostaje zsyntetyzowany metylofenidat, czyli popularny lek Ritalin. W 1955 r. FDA, amerykańska Agencja ds. Żywności i Leków, dopuszcza go do użytku, początkowo na depresję i zmęczenie.

Dwa lata później pojawia się kategoria zaburzenia hiperkinetycznego. To koncepcja bardzo zbliżona do współczesnego ADHD, przy czym tamte kryteria diagnostyczne były ostrzejsze. Znacznie trudniej niż współcześnie byłoby otrzymać taką diagnozę.

Potem to się zmieniło.

Przez kolejne dekady psychiatrzy posługiwali się kategorią zaburzenia deficytu uwagi, a pojawiająca się przy tym ewentualna nadaktywność czy nadpobudliwość była traktowana w tym syndromie jako dodatkowy objaw. Nazwa ADHD – czyli zespół nadpobudliwości psychoruchowej z deficytem uwagi – pojawia się w 1987 r., wraz z rewizją DSM-III, czyli amerykańskiego podręcznika diagnostycznego zaburzeń psychicznych.

W 1994 r. powstaje czwarta wersja DSM-u, która poszerza pole diagnostyczne ADHD: zwiększa się liczba zachowań uznawanych za symptomy, a równocześnie zmniejsza się liczba symptomów, które należy potwierdzić, żeby zdiagnozować ADHD.

Psychiatra dr Allen Frances – architekt ówczesnego DSM-u – publicznie przeprasza dziś za wywołanie „fałszywej epidemii ADHD".

Tak, mówi o trzech epidemiach – ADHD, choroby dwubiegunowej typu drugiego i spektrum autyzmu – spowodowanych zmianami w kryteriach, za które był odpowiedzialny. Od kilkunastu lat twierdzi, że był to jego wielki błąd, który doprowadził do zbyt częstego stawiania tych diagnoz, za czym szło też znacznie częstsze stosowanie farmakoterapii.

Tymczasem w 2013 r., wraz z piątą edycją DSM-u, jeszcze bardziej poluzowano kryteria diagnostyczne ADHD.

I tak jak w przypadku zaburzenia hiperkinetycznego mówiono o tym, że może ono dotyczyć jednego procenta, półtora procent ludzi, tak zgodnie ze współczesną definicją ADHD są to już kilkukrotnie większe szacunki: od 5 do 8-10 procent, choć niektórzy mówią o jeszcze większej liczbie. Na pewno dzieje się tak w dużej mierze dlatego, że dzisiejsza definicja jest w stanie objąć znacznie więcej osób.

Psychiatra dziecięcy dr Sami Timimi zwraca uwagę, że jeśli przyłożymy współczesne kryteria diagnostyczne do zachowań osób w wieku młodzieńczym, zwłaszcza chłopców,

eprasa.pl 188c212f72

właściwie u każdego z nich rozpoznamy to zaburzenie.

Być może jest to przesada, ale na pewno bardzo wiele zachowań, o których wcześniej nie myśleliśmy, że są jakimś problemem medycznym, możemy zacząć tak postrzegać, jeśli przyłożymy do nich taką definicję ADHD.

Osoby wypowiadające się w dokumencie podkreślają, że kryteria diagnostyczne są dziś naprawdę bardzo nieprecyzyjnie sformułowane; w sposób, który ciężko zweryfikować. Diagnozy opierają się na stwierdzeniach typu: ktoś często się wierci lub komuś przerywa. Tylko co to znaczy „często"? Kto to ocenia i dlaczego w ogóle ma to być problem? Jeśli ktoś nie lubi stać w kolejce, nie lubi odrabiać zadań domowych, nie lubi robić nudnych rzeczy – czy to jest problem medyczny, czy kwestia norm społecznych? A w dodatku czy nie większość ludzi tego nie lubi?

Psychiatrzy, którzy leczą ADHD, zaznaczają, że z ich doświadczenia wynika, iż stosowanie leków wielu osobom po prostu pomaga. Z kolei krytycy – że tak szeroka medykalizacja, zwłaszcza dzieci, jest eksperymentem społecznym.

Ci krytycy stawiają pytanie: jakie będą konsekwencje tego, że w rozwijające się, dojrzewające mózgi dzieci ingerujemy stymulantami w sposób ciągły, chroniczny, przez wiele lat? Co ważne, oni nie twierdzą, że na farmakoterapię nie ma miejsca, że nie należy tych leków w ogóle stosować.

Na przykład psychiatra Joanna Moncrieff, profesor psychiatrii krytycznej i społecznej na University College London, wskazuje, że jeśli nie mamy zidentyfikowanej żadnej nieprawidłowości biologicznej, którą te leki miałyby naprawiać, należałoby po prostu inaczej rozumieć ich działanie. Postrzegać je raczej jako substancje psychoaktywne, wywołujące efekty, które mogą na przykład maskować objawy pewnych problemów.

Stymulanty – niezależnie od tego, czy ktoś ma diagnozę ADHD, czy nie – zwiększają koncentrację, ułatwiają skupienie. Wciąż nie ma jednak rzetelnych dowodów, że ich stosowanie poprawia wyniki szkolne. Pojedyncze badania pokazują niewielkie efekty, ale już duże analizy populacyjne nie wykazują istotnej poprawy. Ludzie mogą się dłużej na czymś skupić albo mają wrażenie, że im się lepiej pracuje, ale w dłuższej perspektywie niewiele to zmienia.



ARCHIWUM PRYWATNE

DR RADOSŁAW STUPAK jest psychologiem, filozofem, pracownikiem Instytutu Psychologii Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, współpracownikiem International Institute for Psychiatric Drug Withdrawal.

Alastair Mordey, specjalista leczenia uzależnień, na łamach „The Spectator" opowiadał niedawno, że w swojej praktyce coraz częściej spotyka osoby uzależnione od legalnie przepisywanych leków stymulujących.

Z kolei obrońcy stosowania stymulantów przekonują, że leczenie ADHD zmniejsza ryzyko uzależnień. Jednak z drugiej strony możemy mieć do czynienia z sytuacją, kiedy statystyki nie kwalifikują tego kogoś jako uzależnionego, choć codziennie przyjmuje stymulanty – tylko dlatego, że przepisywane są na receptę.

Stymulanty dają natychmiastowy efekt, niekoniecznie euforyczny, ale na pewno zmieniają stan psychofizyczny w sposób, który może być odbierany jako coś przyjemnego lub pożądanego. Co oczywiście może prowadzić do problemów, które dałoby się nazwać uzależnieniem czy zaburzeniem nadużywania. Może się pojawić zjawisko tolerancji, konieczność zwiększania dawek, mogą też występować objawy odstawienia. W związku z tym część psychiatrów w praktyce zaleca doraźne albo przerywane stosowanie tych substancji.

Niektórzy komentatorzy zadają sobie pytanie: czym to się właściwie różni od wciągnięcia kreski amfetaminy przed pracą?

O tym problemie pisała właśnie prof. Moncrieff. Jeżeli mamy do czynienia ze stosowaniem substancji po to, żeby na przykład zwiększać wydajność w nauce czy pracy, jest to czymś innym niż leczenie przypadłości medycznej. Jeśli piję kawę, bo jestem zmęczony, to nie leczę zaburzenia, tylko po prostu stosuję jakiś środek psychoaktywny po to, żeby zmniejszyć uczucie zmęczenia. Analogicznie: jeśli biorę stymulant po to, żeby się lepiej skupić, to nie leczę zaburzenia, tylko biorę środek psychoaktywny, który wywołuje u mnie określone efekty.

Kolejnym problemem jest to, że jeśli ktoś w ciągu dnia przyjmuje stymulant, jest przez niego nakręcony, to później siłą rzeczy może mieć problem z zaśnięciem; może odczuwać drażliwość czy spadek nastroju, kiedy stymulant przestaje działać. Wtedy do terapii dojdą leki nasenne, uspokajające czy inne substancje na receptę, jak „medyczna marihuana". Mamy więc „medycznego speeda" i „medyczną gandzię".

Z całą pewnością długotrwałe modyfikowanie swojego stanu psychicznego przy użyciu substancji psychoaktywnych – szczególnie od bardzo młodego wieku – może mieć negatywne konsekwencje zdrowotne.

Przykładowo jakie?

Może zwiększać ryzyko problemów somatycznych, np. z układem krążenia, lub hamować wzrost. Może też wzrastać prawdopodobieństwo tego, że otrzyma się w przyszłości inną diagnozę psychiatryczną. Niektóre badania sugerują, że stosowanie stymulantów zwiększa ryzyko psychozy.

W reportażu poznajemy 10-letniego chłopca z diagnozą ADHD, który doświadcza nadpobudliwości i braku skupienia. Na sześć tygodni odstawiono mu leki, jednocześnie wprowadzając zmiany w stylu życia. Chłopak stał się bardziej radosny, choć gorzej radził sobie w szkole.

Jak stwierdziła jego nauczycielka, łatwiej było uczyć ucznia, który jest uspokojony farmakologicznie. Choć sam chłopak na tych lekach był raczej nieszczęśliwy, izolował się od rówieśników. ↦

eprasa.pl 188c212f72

↦ W brytyjskim dokumencie tego typu problemy u dzieci łączone są przede wszystkim z nadmiarem ekranów, niezdrową żywnością, brakiem aktywności na łonie natury, a z drugiej strony z tym, jak zorganizowany jest system edukacji. W zasadzie mało komu jest w szkole dobrze. Być może niektórym dzieciom jest jeszcze gorzej niż innym, bo na to wszystko nakładają się też różnice temperamentalne.

Czy obecna dyskusja może wywołać zmiany w postrzeganiu ADHD i jego leczeniu?

W tym kontekście zwraca się uwagę na to, że pomoc, udzielana np. dzieciom doświadczającym problemów w szkole, uzależniona jest od postawienia diagnozy. Zanim system oficjalnie nie stwierdzi, że „dziecko jest zaburzone", szkole ciężko jest podjąć odpowiednie działania, żeby mogło się ono lepiej rozwijać i kształcić. A na postawienie diagnozy w publicznym systemie często czeka się latami.

Z drugiej strony zwiększająca się liczba diagnoz zaczyna generować ogromne koszty dla systemu publicznego. W Wielkiej Brytanii zleca się wręcz usługi diagnostyczne prywatnym firmom – im więcej zdiagnozują, tym więcej zarobią.

Według niedawnego śledztwa „The Times" wydatki publiczne na prywatne firmy zajmujące się ADHD wzrosły do 128 mln funtów w 2025 r., wobec 36 mln dwa lata wcześniej.

W efekcie politycy mogą stwierdzić, że kosztuje to za dużo, a niekoniecznie przynosi obiecywane efekty. W Wielkiej Brytanii mówi się o rosnącej liczbie młodych ludzi, którzy w ogóle nie wchodzą na rynek pracy i utrzymują się z zasiłków ze względu na problemy psychiczne.

Cała ta dyskusja ma więc dwie strony: część krytyki może być wykorzystana do tego, żeby ciąć różnego rodzaju systemowe wsparcie.

Wśród specjalistów zdrowia psychicznego pojawia się też pomysł, by zrezygnować z psychiatrycznych etykietek i stawiać wyłącznie opisowe diagnozy.

Takie propozycje bazują na pytaniu: dlaczego właściwie uznajemy, że medyczna diagnoza jest potrzebna do tego, żeby komuś pomóc? Czy te diagnozy i to, jak się je rozumie, nie robią więcej złego niż dobrego? Szczególnie jeśli są nierzetelne i nie odsyłają do specyficznych biologicznych problemów.

Natomiast nie sądzę, by zbliżał się moment, w którym dojdzie do jakichś radykalnych zmian. Krytycy dominującego podejścia do problemów psychicznych stają się coraz bardziej słyszalni, ale nie mają na razie wystarczającej władzy instytucjonalnej, żeby doprowadzić do realnych zmian.

Kierunek światowej psychiatrii wciąż nadaje Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne: wspierane marketingiem, edukacją i lobbingiem koncernów farmaceutycznych. Na razie obserwujemy raczej, jak ci czołowi psychiatrzy zwierają swoje szeregi i jeszcze bardziej się dogmatyzują, co widać w zapowiedziach dotyczących kolejnej wersji DSM. Jest jednak możliwe, że z czasem sytuacja społeczno-ekonomiczna, ale też rosnąca społeczna świadomość wymusi zmiany w samej psychiatrii i organizacji życia społecznego.

© Rozmawiała DOMINIKA SOSZYŃSKA

REKLAMA



eprasa.pl 188c212f72

OLGA

Drenda: *Zwcześnianie*



Niedawno znajomi podjęli jeden ze sprawdzonych tematów do łączącego ludzi narzekania, prawdziwego asa z katalogu tych zwykłych codziennych fiask, czyli spóźnienia na kolei. Zorientowałam się podczas rozmowy, że nie mogę podzielić ich doświadczenia, choć przecież często jeżdżę pociągiem. Być może to uśmiech losu, a być może rezultat wieloletniej i konsekwentnie stosowanej strategii „nie musisz przejmować się tym, że pociąg się spóźni, jeśli się odpowiednio zwcześnisz".

Przez większość życia mieszkałam na jakichś końcach czy obrzeżach, a to oznacza szybkie nabycie wiedzy o nieprzewidywalności losu. W jednym z takich miejsc autobus, choć wygodny i niemal pod nosem, jechał tą samą trasą z długością losową, nieraz trzy, cztery razy dłużej lub krócej, niż przewidywał rozkład. Z innej stacji, tak kameralnej i wdzięcznej, że wsiadanie tam miewa wręcz czarodziejską urodę, pociąg jeździł zaś raz na godzinę (jeśli w ogóle przyjeżdżał, bo zdarzały się i takie psikusy). To za mało na kategorię „wykluczenie komunikacyjne" i nie powód do wyolbrzymiania swoich niedoli, ale też nie luksusy.

Towarzyszami takich wypraw są częste bóle głowy i słanianie się od czasu do czasu. „Coś ty taki dziwny, coś ty taki senny, / coś ty taki sztywny, taki nocnociemny, / czy nie widzisz nieba, jak się nam rozgwieżdża / widzę, widzę, widzę, / tylko ja dojeżdżam" – ta piosenka Skaldów ze słowami Agnieszki Osieckiej pozostaje w mocy i pozostanie zapewne nawet wtedy, gdy obiecana sieć szybkich linii wreszcie oplecie kraj. Być może na całe życie pozostaje nawyk uprzedniej kalkulacji. Przedwczoraj wsiadłam do pociągu na wspomnianej ślicznej stacji – znaczną część wcześniejszego wieczora zastanawiałam się, czy wybrać pociąg wczesny, czy jeszcze wcześniejszy. Gdy późno w życiu było mi dane poznać uroki mieszkania w mieście, z początku oszałamiał mnie ten nieprzyzwoity, nonszalancki luksus, że można po prostu wyjść na przystanek i wiedzieć, że coś przyjedzie.



OLGA DRENDA

Następna stacja – do życia adaptacja

Zwcześnianie się męczy i napina, ale przynosi też pewne korzyści. Np. chwilę niewidoczności dla świata. W końcu jesteśmy już w pewnym sensie w drodze, tylko nikt nie wie, gdzie. Otrzymujemy zatem nieco czasu gratis i poza kontrolą. Ja wtedy zaczęłam fotografować. Ani mi w głowie było spędzać czas na pustym czekaniu i starałam się wykraść dla siebie pożyteczny spacer z aparatem. Odległość uczy też satysfakcji ze spędzania czasu we własnym towarzystwie. W grupie spędzamy wówczas tylko chwilę, jako przelotni goście, i szybko uczymy się, że lepiej się za mocno nie przyklejać. Życie towarzyskie nie jest dla mieszkających daleko, wszak już u Skaldów i Osieckiej to „inni śmieli się przy szachach i ping-pongu". Trzeba samemu zostać własnym animatorem.

Pamiętam tego bardzo zaniepokojonego człowieka, który przed wielu laty w tramwaju telefonicznie dobijał się do różnych osób prosząc, by zjadły z nim obiad, gdyż ma właśnie przerwę obiadową. Trudno wróżyć z tak małego wycinka czyjegoś życia, być może miał jakiś poważny problem związany z jedzeniem, a może zupełnie inny, ale na pewno perspektywa samotnego posiłku musiała być dla niego gorzej niż niewesoła. Coraz bardziej roztrzęsiony dzwonił do kolejnych osób, które akurat zjeść z nim nie mogły. Sytuacja ta przyniosła mi lekcję rozróżnienia między współczuciem a empatią, bo choć przyznałabym, że było mi przykro, widząc znękanie człowieka, to nie mogłam postawić się na jego miejscu. Stan jego ducha pozostawał mi obcy, bo przecież ja od dawna zazwyczaj w pojedynkę i bez żadnego tym zdziwienia jadałam moje naleśniki w słynnym, nieistniejącym już barze wegańskim przy ulicy Dietla (który serwował niezawodne, podobne menu przez wiele lat). Sama wracałam na koniec miasta i sama chodziłam do kina, nawet w rozgadanym, pieszym, królewskim Krakowie. Nie jestem przekonana do teorii, że raz wyrobione zwyczaje zostają z nami na całe życie, wierzę raczej w błogosławieństwo zapominania i odzwyczajania, a jednak tutaj coś powraca do mnie jak ustawienia fabryczne.

Ktoś zapewne powie: kup sobie samochód. Oczywiście, to wiele ułatwia. Bardzo lubię samochody. Również dlatego, że pozwalają się jeszcze bardziej, niemal bez limitu zwcześniać. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

eprasa.pl 188c212f72

ROZMOWA

CZY NARÓD MOŻE BYĆ DUMNY

ANDRZEJ LEDER, FILOZOF:

W wielu społeczeństwach emancypacja do statusu obywatelskiego czy wręcz ludzkiego odbywała się przez unarodowienie. Lewica tego nie doceniła.



eprasa.pl 188c212f72

JUSTYNA DĄBROWSKA: Z czego byłeś ostatnio dumny?

ANDRZEJ LEDER: To nie jest łatwe pytanie. Najwięcej uświadomionych uczuć dumy wiąże się z moimi bliskimi. Kiedy mojej córce czy żonie coś się uda, jestem dumny. Czy jestem dumny, kiedy mnie się coś uda? Raczej tak tego nie przeżywam.

Mam podobnie, trudno mi sobie przypomnieć, żebym była dumna z siebie. Może czasem czuję satysfakcję...

Satysfakcja to dobre określenie, czyli: coś, co powinno zostać uznane, zostało uznane. Mniej chodzi o to: o, jaki jestem wspaniały.

Ten wymieniony wyżej sposób rozumienia dumy od razu nas naprowadza na jej związek z pychą. Chyba obydwoje mamy wdrukowane, że duma to nie tyle uczucie, ile pewna cecha niebezpiecznie zbliżająca się do pychy i w związku z tym nie jesteśmy skłonni, żeby ją w sobie odnajdywać.

Czy przeciwieństwem dumy jest wstyd?

Raczej pokora. Ale kiedy rozwijam tę myśl, to widzę, że wszystko zależy od tego, czy o dumie mówimy jako o cesze charakteru, wtedy jej przeciwieństwem jest pokora, czy o stanie afektywnym, wtedy w opozycji sytuuje się wstyd. A także upokorzenie.

Duma może być rewersem wstydu, bo wstyd też przychodzi z zewnątrz i potem jest uwewnętrzniany, a towarzyszą temu komunikaty wychowawcze, dyscyplinujące: „wstydź się!", „możesz być z siebie dumny!".

Tak, w ten sposób wpisuje się każdego w normę społeczną – albo nagradzając go, albo karząc.

Na ile duma jest uczuciem relacyjnym?

Hierarchia to też forma relacji. Z jednej strony relacji jest jakiś rodzaj poczucia wyższości, z drugiej – poczucie upokorzenia.

Dobrym przykładem jest duma szlachecka w Polsce. Te historie z Mazowsza, gdzie ludzie, którzy żyją zupełnie tak samo jak ich sąsiedzi z pobliskiej wioski – jedni i drudzy są rolnikami – „mają klejnot", czyli są pochodzenia szlacheckiego, z zaścianka, i z ogromną dumą patrzą na sąsiadów, którzy są „folwarczni".

Dlaczego mówisz o tym w czasie teraźniejszym?

Ci, którzy dobrze znają wieś, mówią, że to pokutuje do dziś. I że nadal, jeśli ktoś pochodzi z wioski szlacheckiej, a żeni się z kimś z wioski chłopskiej, zdarza się o nim mówić, że popełnił mezalians. Duma z pewnością jest związana z różnymi grami statusowymi, czyli ustalaniem hierarchii. I kiedy jest mocno uwewnętrzniona, kiedy dobrze odgrywa tę rolę, potrafi być niesłychanie skuteczna.

Jest taki piękny fragment w „Dziennikach" Korczaka, w którym on pisze, że w każdej szkolnej klasie będą dzieci, które mają w sobie poczucie dumy wynikające z wysokiej pozycji w hierarchii – to będą dzieci starostów czy ludzi zamożnych – i zawsze będą dzieci, które tej dumy nie mają. Te, które się wstydzą, zanim zaczną oddychać.

Duma pojawia się też jako temat w rodzinie, rodzic czasem mówi wprost: chcę być z ciebie dumny! Często też chcemy, żeby dzieci dokonały tego, czego sami nie zdołaliśmy dokonać.

Rodzice często patrzą na życie swoich dzieci jako na przedłużenie swojego. Ale to, co jest dla nich ważne, najczęściej jest też jakoś określone przez wartości społeczeństwa, w którym żyją. Czy może ich kręgu społecznego. W mojej rodzinie wartość zaangażowania, czyli tego, co dziś nazywamy aktywizmem, była zawsze wysoko wartościowana i chyba udało mi się ją „wprojektować" następnemu pokoleniu (*uśmiech*).

Ale chciałbym poruszyć jeszcze jeden aspekt tej sprawy – dumę traktowaną jako uczucie niedobre, formę pychy. Wiadomo, że szczególnie w różnych nurtach chrześcijaństwa i judaizmu jakiekolwiek przeżywanie dumy jest grzechem.

Pycha to jeden z siedmiu grzechów głównych.

W tym ujęciu życie emocjonalne w dużym stopniu ma polegać na praktykowaniu pokory. Tylko że wtedy praktykowanie pokory może stać się formą dumy, wręcz pychy...

„Nikt nie jest tak pokorny jak ja".

Najwięcej tekstów na ten temat spotkałem w literaturze buddyjskiej. Tam wraca przestroga, że trzeba uważać z poczuciem: „właściwie to ja jestem już oświecony"; może dlatego, że w gruncie rzeczy chodzi o to, żeby „ja" rozpłynęło się w ogóle. Żeby zniknęło ego indywidualne.

Jak się doświadcza dumy w ciele?

Moje pierwsze skojarzenie jest takie, że to jakiś rodzaj poczucia mocy – jestem większy, niż jestem: dumnie wzniesiona głowa, dumnie wyprostowane plecy, to wszystko są opisy, które wskazują, że ktoś patrzy raczej z góry na świat albo prosto w oczy różnym oponentom. Może być niewysoki, jak Napoleon, ale na świat patrzy z góry. W przeciwieństwie do pokory, kiedy nie chcę zajmować zbyt dużo miejsca w przestrzeni, nie chcę zwracać na siebie uwagi, jestem cichy. Jednym słowem – duma nas zwiększa, a pokora pomniejsza.

Co jeszcze duma z nami robi?

Myślę sobie, że poczucie dumy może być takim uczuciem, które jest wzmacniane i przechodzi w cechę charakteru. Jakby tężało w postaci struny grzbietowej, mocnego kręgosłupa. Ktoś może przeżywać swoją tożsamość w ten sposób, że to właśnie poczucie dumy go określa, a jeżeli przestaje go określać, to czuje się upokorzony i zawstydzony.

Podważanie dumy jest zresztą popularną grą społeczną. Na przykład w środowisku polskiej inteligencji: nie czytałeś tej najnowszej książki XYZ!? A jeśli pytany nie czytał, to czuje się przyłapany, czasem upokorzony.

Jest takie powiedzonko przypisywane – chyba fałszywie – francuskiemu XVII-wiecznemu pisarzowi François de la Rochefoucauld na temat polskiej szlachty: „dla dwóch Polaków otwarte drzwi są największą przeszkodą". Dlaczego? Staną bowiem przed nimi i będą rywalizować, kto drugiego przepuści – to waćpan powinien przejść pierwszy! Ależ nie, ja po waćpanie. Czyli kto grzeczniejszy jest, czyli godniejszy, bardziej dumny. I tak będą stać przed tymi drzwiami w nieskończoność... ↦

Pod Pałacem Prezydenckim, Warszawa, 24 listopada 2017 r.

DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 188c212f72

↦ **Duma może pełnić funkcję emancypacyjną. Pomyślałam teraz o *Pride*.**

Odzyskiwanie dumy to wielka tradycja emancypacyjna. W historii Europy zaczyna się od wojen chłopskich i rewolt ludowych późnego średniowiecza, kiedy za pomocą Biblii zbuntowani chłopi zaczęli w sobie budować właśnie poczucie uznania: „jesteśmy tak samo dziećmi Boga jak szlachta i w związku z tym mamy prawo do swojej dumy".

W rewolucyjnych ruchach robotniczych była duma klasowa: „my pracujemy, my tworzymy to, co jest potrzebne do funkcjonowania cywilizacji, wszystkie inne klasy żyją z wyzysku". A Marks dołożył do tego mesjańskie poczucie dumy proletariatu jako zbawiciela ludzkości. W XX w. mamy odzyskiwanie kobiecej dumy w ruchach feministycznych.

No i wreszcie to, o czym mówisz, ponieważ ruchy LGBTQ+ doskonale diagnozowały, że hierarchia społeczna opiera się na zawstydzeniu, odebraniu dumy. Dziś to jest obecne w ruchach antykolonialnych. Ale też skrajna prawica potrafiła świetnie zinstrumentalizować odzyskiwanie dumy narodowej; we wszystkich społeczeństwach globalnej Północy to się jej udaje.

O tym, co się dzieje, gdy ludziom się dumę odbiera, pisze ciekawie i mało optymistycznie Arlie Hochschild w „Skradzionej dumie".

Ona pisze o momencie, kiedy w Ameryce ludziom pracującym odebrano w wyniku dezindustrializacji godność pracy. W rezultacie poczuli się zawstydzeni i upokorzeni i zaczęli wspierać ruchy populistyczne, które im tę dumę, przede wszystkim jako dumę narodową, oddają.

Wielkim osiągnięciem końca XIX i pierwszej połowy XX w. było w większości krajów globalnej Północy to, że ludzie, którzy wcześniej nie byli traktowani jako część narodu obywatelskiego, przede wszystkim robotnicy fabryczni czy chłopi, zostali uobywatelnieni i uznani za ważny element społeczeństwa. To wynikało z wielu rzeczy, w USA akurat z faktu, że elity polityczne zdecydowały się uczestniczyć w dwóch europejskich wojnach. Skorzystał na tym amerykański przemysł, a wspomnianych ludzi potrzebowano jako żołnierzy i jako producentów. Zresztą był to też czynnik emancypujący kobiety, które musiały pójść do pracy, żeby zastąpić mężczyzn wysyłanych na front.

A potem, w okresie dezindustrializacji, owa podmiotowość wraz z przynależną dumą została tym ludziom odebrana.

Kiedy dokładnie?

W momencie, w którym produkcja została przeniesiona do krajów azjatyckich. Na przykład w Appalachach całe regiony się zapadły, bo huty stali przeniesiono do Indii i mieszkańcy tych regionów zaczęli żyć jako prekariat. To dotyczyło również przemysłu samochodowego. Warto czytać o Detroit, dawnym centrum produkcji aut, jako o mieście, które stało się zombie. New Haven, w którym jest Yale, jeden z najlepszych i najbogatszych uniwersytetów świata, było kiedyś centrum rybołówstwa i przemysłu przetwórczego. Ten przemysł upadł. Więc teraz miasto składa się z bogatej strefy uniwersyteckiej i skrajnie biednej dawnej strefy portowo-przemysłowej. Ludzie mieszkający w tej drugiej, w większości czarni, nie wiedzą, co mają ze sobą zrobić.

Stali się „zbędni".

A poczucie tego, że jest się zbędnym, że nie ma się wartości dla innych, jest czymś fundamentalnie naruszającym dumę i głęboko zawstydzającym.

Poczucie dumy wiąże się z poczuciem godności, prawda?

Jeśli wierzymy w deklarację praw człowieka, to uznamy, że godność jest niezbywalnym atrybutem każdego człowieka. Ale poczucie godności ma też charakter uczucia, bo jej odebranie jest jednym z najbardziej raniących i bolesnych przeżyć, jakiego można doznać. Uruchamia silne emocje – gniew, złość, upokorzenie, wstyd, czasami rezygnację.

Dlaczego prawicowe narracje są skuteczniejsze w przywracaniu dumy niż opowieści lewicowe? Dlaczego lewica o dumie nie chce mówić?

W czasach wielkich ruchów emancypacyjnych XIX i XX w. lewica mówiła o dumie bardzo głośno. I to było skuteczne, mobilizujące. Ale rzeczywiście, współcześnie ma z tym problem.

Zbiegły się tu różne procesy, powiem o dwóch. Tradycyjna duma etniczna leczyła społeczne rany przez poczucie dumy z przynależności do narodu. Można było czuć godność zwycięzców spod Wiednia, jeśli było się Polakiem, albo z pokonania Rzymian w Lesie Teutoburskim, jeśli było się Niemcem. Ale po II wojnie światowej, szczególnie w latach 60., ten rodzaj dumy został głęboko naruszony przez świadomość zbrodni dokonywanych w imię nacjonalizmu. Szczególnie w takich krajach jak Niemcy, z ich „błogosławieństwem niewątpliwej winy"; jak Francja, z jej wojnami kolonialnymi; czy USA, z niewolnictwem.

Lewica wypracowała wtedy nowy rodzaj dumy – z odwagi pozwalającej uznać winy ojców. Do Polski przyszło to w okresie transformacji, w imię tej normy przepraszaliśmy za pogrom w Jedwabnem. Ale żeby mieć w sobie taki rodzaj dumy, trzeba czuć się w miarę pewnie, nie mieć w sobie strachu, upokorzenia, poczucia krzywdy. Ci, którzy przeżywają takie uczucia, potrzebują przykryć je poczuciem, że przynależą do narodu husarzy i powstańców, i odrzucają agendę „przepraszania za wszystko".

Na dodatek to eksponowanie winy – i tu jest druga sprawa – w ogromnym stopniu skupiało się na skrzywdzonych grupach mniejszościowych – choćby LGBT+ – ale zapomniano o ważnej grupie większościowej, która właśnie traciła pracę i godność. Upraszczając można powiedzieć, że przez długi czas lewica skupiała się na atakowaniu białych mężczyzn, tracąc z oczu to, że są oni ofiarami kapitalizmu. Skupiano się na tym, że biali heteroseksualni mężczyźni są nośnikami patriarchatu, nośnikami przemocy, a wszystkie słabsze grupy cierpią z ich powodu. To wręcz było naturalizowane, mogliśmy usłyszeć, że wszystko przez testosteron. Biali mężczyźni rzeczywiście często są przemocowi. Ale to skutek, a nie przyczyna problemów.

I jakie są konsekwencje takiego biegu spraw?

To powodowało narastanie w tej grupie gniewu, frustracji, poczucia krzywdy, co prawica znakomicie wychwyciła. Potrafiła nadać temu formy, odwołując się do jakiejś wyimaginowanej przeszłości. I potrafiła przywrócić język dumy – masz prawo być dumny z tego, że jesteś białym mężczyzną. Nie masz się czego wstydzić.

To odzyskiwanie dumy rozwinęło się w kierunku, który staje się rasistowski,

eprasa.pl 188c212f72

mściwy i coraz groźniejszy. W kierunku tworzenia tego, co Margaret Atwood nazwała Gileadem, i absolutnej afirmacji patriarchatu. Ale nie zmienia to faktu, że źródłem tych reakcji były autentyczne problemy społeczne wynikające z neoliberalnej globalizacji.

Powiedz teraz o dumie narodowej.

No właśnie. To temat w Polsce bardzo ważny. Lewica zupełnie nie doceniła faktu, że w wielu społeczeństwach emancypacja do statusu obywatelskiego czy wręcz ludzkiego odbywała się przez unarodowienie.

Co to znaczy?

W Polsce do drugiej połowy XIX w. bycie Polakiem zarezerwowane było dla szlachty – ziemiaństwa i inteligencji. Chłopi stanowiący ponad 70 proc. społeczeństwa, nie dość, że byli upodleni poddaństwem, to jeszcze nie byli „narodem". Więc kiedy na początku XX w. ruchy narodowe zaprosiły większość do przynależności do „narodu politycznego" i bycia Polakami, miało to charakter na swój sposób emancypacyjny.

Uważam zresztą, że w Polsce ten proces się nie zakończył, bo dla wielu ludzi posiadanie dumy narodowej jest jedynym sposobem, żeby móc poczuć się jakkolwiek dumnym ze swojej tożsamości. Ludzie, którzy są słabo wykształceni, słabo funkcjonują w hierarchii społecznej, bardzo mało zarabiają, mogą czerpać dumę jedynie z tego, że są członkami wspólnoty narodowej. I jak nasza drużyna piłkarska cokolwiek wygra, mają poczucie uniesienia.

Innymi słowy, wspólnota etniczna jest większa niż słabe „ja", daje uznanie prawie za darmo.

Czy myślisz, że Polacy mają w tej sprawie jakąś specyfikę? Czy jest tu inaczej niż w krajach, które znasz?

Kraje, które przeprowadziły wcześniej operację uobywatelnienia, czyli wprowadzenia większości społeczeństwa do wspólnoty społecznej, są mniej skupione na tożsamościowym elemencie tego uczucia, na egzekwowaniu od innych szacunku. Ale mimo to dużych różnic nie widzę. Może tylko tyle, że nasza wspólnota ma charakter raczej mityczny, a mniej polityczny. Czyli jesteśmy ze sobą bardziej związani opowieściami o naszej historii, o wspaniałościach, które uczyniliśmy, i o krzywdach, które nam wyrządzono, a mniej poczuciem, że wspólnie działamy i że mamy takie same prawa i obowiązki.



PIOTR KAMIONKA / REPORTER

PROF. ANDRZEJ LEDER jest filozofem, psychiatrą i psychoterapeutą. Wśród jego książek są m.in. „Prześniona rewolucja. Ćwiczenie z logiki historycznej" oraz „Ekonomia to stan umysłu. Ćwiczenie z semantyki języków ekonomicznych". Wykłada w Szkole Nauk Społecznych (GSSR) IFiS PAN i na Sorbonie. Powyższa rozmowa to skrócony i zredagowany fragment książki „Emocje. Atlas przepływów, mielizn i głębin", która ukaże się w połowie listopada w Wydawnictwie Agora.

Ale współcześnie to nie dotyczy tylko Polski, jest powszechne, co wiąże się z załamaniem struktury społecznej, która określiła nowożytne społeczeństwa. I dlatego ten element mitycznego uzasadnienia wspólnoty zaczął odgrywać istotną rolę.

Kiedy myślałam o skradzionej dumie w polskim kontekście, przyszła mi do głowy transformacja i jej skutki.

Ale to dotyczy wszystkich społeczeństw globalnej Północy! To właśnie nazywam załamaniem się dotychczasowego modelu społeczeństwa przemysłowego. U nas transformacji towarzyszyło zamykanie zakładów pracy, ale dokładnie to samo działo się we Francji, gdzie dawne regiony przemysłowe zostały zdewastowane i teraz głosują na radykalne partie prawicowe. Podobnie w USA, o czym już mówiliśmy.

Prekursorką była tu Margaret Thatcher, której walka z górnikami w północnej Anglii zdewastowała te społeczności tak, że do dziś się nie pozbierały. A pomógł jej w tym Jaruzelski, sprzedając bardzo tanio polski węgiel.

Niemal całe Niemcy wschodnie głosują na skrajnie prawicową AfD.

Myślę, że zjednoczenie Niemiec było tak naprawdę skolonizowaniem wschodnich Niemiec przez zachodnie – wschodni Niemcy zostali wyznaczeni na tych gorszych. To głęboko zraniło ich dumę. Ale tutaj jest jeszcze aspekt dotyczący dumy płynącej z odwagi wzięcia na siebie winy. Niemcy Zachodnie głęboko przerobiły lekcję hitleryzmu i nacjonalizmu niemieckiego. Bunt lat 60., kiedy młodzież...

...zaczęła poważnie rozmawiać ze swoimi rodzicami, stawiać im pytania.

Ta młodzież raczej nie rozmawiała, tylko wrzeszczała i przeżywała różne straszne uczucia w związku z zaangażowaniem rodziców i dziadków w hitleryzm. Część z nich po prostu zaczęła strzelać do tych „dziadków", jak mordercze dzieci z RAF do Hansa Martina Schleyera, szefa federalnego związku przemysłowców, byłego członka SS. Pisała o tym Hanna Krall w reportażu „Dno oka", opowiadającym o terroryście z RAF, polskiego pochodzenia zresztą. Różne drogi prowadzą do odzyskiwania dumy. I to wspomniane już przeze mnie błogosławieństwo niewątpliwej winy, której nie dało się zakwestionować, spowodowało, że w Niemczech pojawiła się duża grupa dumna z tego, że winę potrafiła wziąć na siebie.

Jak mówiliśmy, to było szczególne źródło dumy – odwaga do tego, żeby powiedzieć: tak, mimo że wina to sprawa indywidualna, my jako społeczeństwo potrafimy przyjąć również piętno winy naszych ojców i dziadków. To bardzo rzadkie, większość europejskich społeczeństw tego nie potrafiła zrobić. W Polsce to się zdarzyło krótko po tym, jak wyszła książka „Sąsiedzi". Dotyczyło stosunkowo wąskich kręgów, ale zdarzyło się i nie ma co tego negować.

W kontekście dumy przychodzi mi do głowy „Lalka".

Mamy tam w żaden sposób niezasłużoną dumę Izabeli i pragnienie dumy ↦

eprasa.pl 188c212f72

↦ u Wokulskiego, który wstydzi się swoich czerwonych rąk. To gra, która w całej Europie XIX w. rozegrała się między mieszczaństwem aspirującym do dumy a arystokracją starającą się wszelkimi sposobami nie dopuścić do tego, żeby mieszczaństwo mogło tę dumę przeżywać. Ostatecznie w Europie mieszczaństwo wygrało, ale nie w Polsce. W każdym razie do dzisiaj.

Relacja między Izabelą Łęcką a Wokulskim jest specyficzna. Wszyscy znamy historię upokorzenia Wokulskiego, ale nic nie wiemy o tym, w jaki sposób zdobywał majątek, jakie miał przygody, jakie odbywał podróże, z kim pił wódkę i jadł kawior, jakim musiał być odważnym i przedsiębiorczym człowiekiem, żeby do tego wszystkiego dojść. W polskiej pamięci tkwi obraz Wokulskiego poniżonego, a nie Wokulskiego odważnego, awanturniczego, przedsiębiorczego i przekraczającego granice. Jak tu być z niego dumnym?

Połączyło mi się to z obecnym dziś zwrotem ludowym i z tym, że „Chłopki" Joanny Kuciel-Frydryszak naprawdę trafiły pod strzechy, a jej spotkania autorskie ciągną się godzinami, bo czytelniczki chcą się dzielić historiami swoich babek. „Przepraszam za brzydkie pismo" Antoniny Tosiek wciąż zbiera znakomite recenzje. O czym to jest?

Dotykasz czegoś ważnego, bo rzeczywiście w Polsce, od czasów Reymonta do czasów Tosiek, mamy do czynienia z konfliktem dotyczącym chłopskiej dumy. Z jednej strony jest aspiracja chłopów do dumy, a z drugiej strony mamy ogromny opór przeciwko temu. Dawniej był to opór klasowy, a mniej więcej od lat 50., czyli od końca stalinizmu w Polsce, to jest przede wszystkim opór inteligencki wyrażający się w zawstydzaniu, że „brak manier", że „brak wykształcenia". No i dziś to jest stopniowo przełamywane. Pojawia się element dumy z faktu bycia chłopem czy chłopką. Może nawet bardziej chłopką.

Polacy są ze sobą związani bardziej opowieściami o wspaniałościach, które uczynili, i o krzywdach, które im wyrządzono, a mniej poczuciem, **że wspólnie działają i że mają takie same prawa i obowiązki.**

Czy to też jest duma narodowa?

Może to raczej spór o to, kto jest narodem. Ta fala zwrotu ludowego mówi: to my, chłopi i ludzie pochodzący ze wsi, jesteśmy narodem. To my jesteśmy solą ziemi. Myślę, że to bardzo ważne zjawisko społeczne, za którym idzie głęboka zmiana. Przy wszystkich jego wadach już nigdy polska tożsamość nie będzie taka, jak była przed zwrotem ludowym.

© Rozmawiała JUSTYNA DĄBROWSKA

REKLAMA

MAZOWIECKI INSTYTUT KULTURY



ORGANIZATORZY:
Studnia O
Mazowiecki Instytut Kultury
Jednostka Organizacyjna Samorządu Województwa Mazowieckiego
Mazowsze.

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
projekt współfinansuje miasto stołeczne Warszawa

Zadanie współfinansowane ze środków miasta stołecznego Warszawy oraz środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.

PARTNERZY:
한국문화원 Centrum Kultury Korei
WIWPL
Instytut Różnorodności Językowej Rzeczypospolitej
PIĘĆ SMAKÓW Festiwal Filmów Azjatyckich
Muzeum Azji i Pacyfiku

PATRONAT:
Wydział Nauk Humanistycznych w Warszawie Uniwersytet SWPS
Uniwersytet Warszawski Instytut Kultury Polskiej

PATRONAT MEDIALNY:
dwójka Polskie Radio
Radiowe Centrum Kultury Ludowej Polskie Radio
e-teatr.pl

epresa.pl 188c212f72

B( )NUS
TYGODNIK POWSZECHNY

Dla tych, którzy łączą, nie dzielą

Nagrody BONUS rozdane! 7 listopada po raz drugi wyróżniliśmy osoby, które wzmacniają dialog, budują zaufanie, są aktywne ponad podziałami, nie ulegając logice polaryzacji, uproszczeń i sensacji. Działalność naszych Laureatów realnie wpływa na życie społeczne, kulturę i jakość debaty publicznej. Im więcej niepokoju dookoła, tym bardziej ich potrzebujemy.

Relacja z rozdania nagród i rozmowy z Laureatami w kolejnym numerze „Tygodnika Powszechnego”.

LAUREACI NAGRODY BONUS 2026



ARCHIWUM PRYWATNE

KULTURA | JURIJ ZAWADSKI

Za budowanie mostów między polską i ukraińską kulturą – jako wydawca, tłumacz, animator i autor piszący po polsku – oraz za to, że wszędzie, gdzie się pojawia, kultura zaczyna żyć spotkaniami.



FOT. MACIEJ ZIENKIEWICZ

MEDIA | ZBIGNIEW NOSOWSKI

Za kierowanie „Więzią” i za to, w ilu środowiskach jest autorytetem, pomagającym zrozumieć złożone problemy społeczne i religijne.



FOT. JACEK TARAN

DZIAŁALNOŚĆ SPOŁECZNA | MARINA HULIA

Za „Dzieci z Dworca Brześć” i wieloletnią pracę na rzecz wykluczonych społecznie, zmieniającą dotychczasowe miejsca marginalizacji w przestrzenie godności.



ARCHIWUM PRYWATNE

TECHNOLOGIA | JAN SZUSTER, TOTUPOINT

Za wynalazek, dzięki któremu budynki i przestrzeń publiczna zaczynają mówić, pomagając osobom niewidomym poruszać się po tysiącach miejsc w całej Polsce.



ARCHIWUM PRYWATNE

MECENAT | WOJCIECH PAWŁOWSKI

Za budowanie polskiej gospodarki z klasą, odpowiedzialnością i wyobraźnią – takie, w którym sukces rynkowy konsekwentnie idzie w parze z zaangażowaniem w rozwój społeczeństwa obywatelskiego oraz z wieloletnim, hojnym wspieraniem polskiej kultury.

Więcej informacji: **bonus.tygodnikpowszechny.pl**

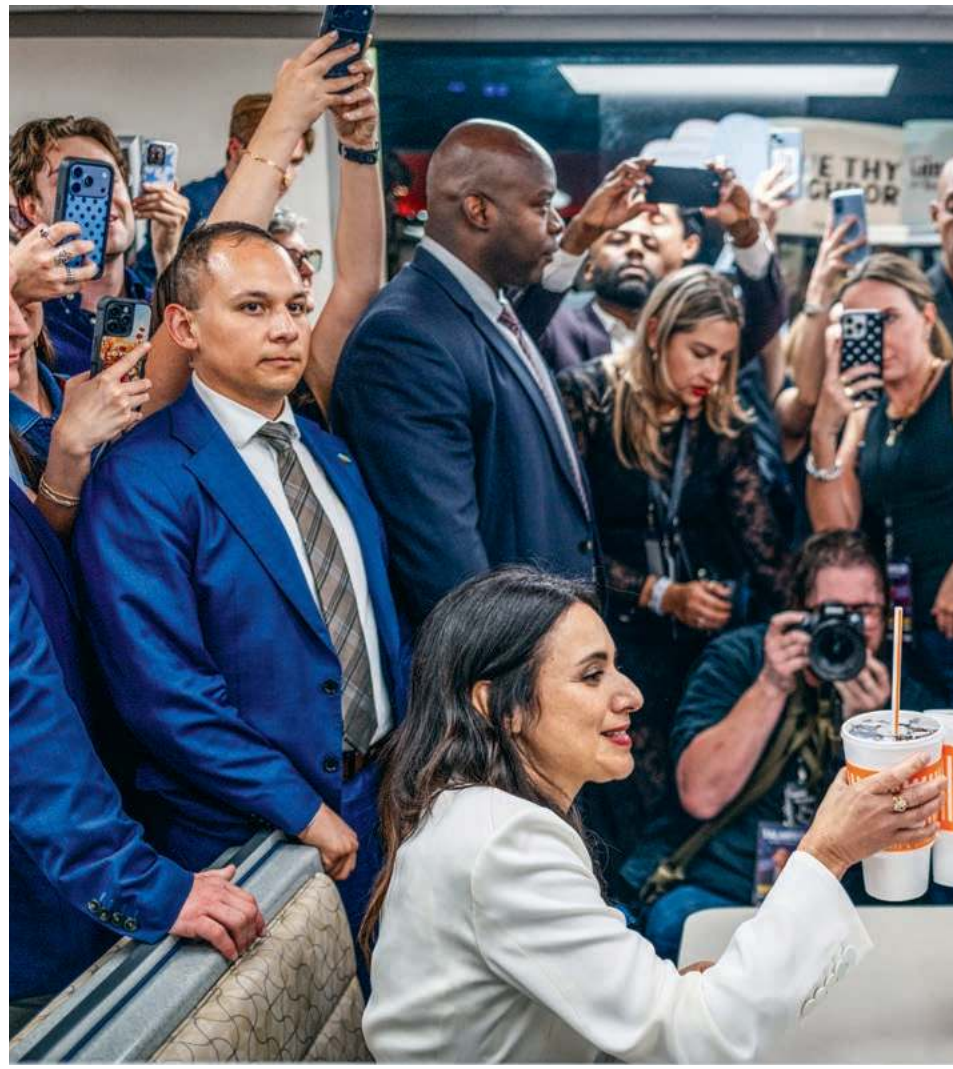
OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 188c212f72

WYBORY TESTOWE

Demokraci odrobili lekcję sprzed dwóch lat i zmiażdżyli Republikanów w wyborach połówkowych. Ale to nie znaczy, że mają formułę na odbicie Białego Domu w 2028 r., nie mówiąc o okiełznaniu Trumpa.

MARTA ZDZIEBORSKA



Na ostatniej prostej przed wyborami do Kongresu taką wiadomość dostałam od Katey Morse, znajomej wyborczyni z Michigan: „Skala pieniędzy zalewających naszą politykę jest skandaliczna. Często zastanawiam się, jak można by spożytkować te środki na pomoc ludziom, którzy jej potrzebują. Nie wiem, czy ta sytuacja kiedykolwiek ulegnie poprawie".

Katey pisała to w chwili, gdy oba obozy bombardowały wyborców obrzydliwie drogimi spotami. Według szacunków firmy AdImpact z finiszu kampanii wydatki na reklamy wyniosły co najmniej 4 mld dolarów. Jedną czwartą „przepalono" w Teksasie, Ohio i Michigan, gdzie toczył się zażarty bój o Senat.

Większość pieniędzy na reklamy pochodziła z tzw. komitetów Super PAC, które mogą przyjmować darowizny bez ograniczeń. W efekcie każde wybory w USA są finansowym wyścigiem zbrojeń, kończącym się zdobyciem tytułu najdroższej kampanii w historii. Tak jest i tym razem: wybory połówkowe – nie tylko wyścig o Kongres, ale też pojedynki stanowe i lokalne – pochłonęły niemal 12 mld dolarów. Największy darczyńca indywidualny, Elon Musk, wpompował prawie pół miliarda.

MIDWEST TEŻ CIERPI | Mówimy o astronomicznych kwotach w momencie, gdy tak wielu Amerykanów przygniecionych jest drożyzną w sklepach i na stacjach paliw. Niektórzy, by spiąć domowy budżet, imają się dodatkowych prac lub płacą za wszystko kartą kredytową, próbując nie myśleć, jak uregulują potem ten dług.

Ten problem dotyczy całej Ameryki, także głęboko republikańskich stanów w Midwest (Środkowym Zachodzie), gdzie od powrotu Trumpa do Białego Domu po kieszeni dostali zwłaszcza rolnicy i ranczerzy. Nie tylko z uwagi na ceny paliw, windowane przez wojnę z Iranem, ale też jego szarże celne. Rolnicy ponieśli straty np. wtedy, gdy Chiny w odwecie za cła Trumpa wstrzymały zakup soi z USA.

Na wynikające z geopolityki problemy nakładają się kwestie systemowe: coraz wyższe koszty opieki zdrowotnej, wyśrubowane ceny nieruchomości i finansowa kula u nogi, jaką ciągną za sobą ludzie, którzy uwierzyli, że przepustką do *American Dream* jest zadłużenie się, by skończyć studia.

NIEBIESKA FALA | Gniew tym spowodowany napędził Demokratom największe zwycięstwo w wyborach połówkowych od 1974 r. Wtedy kraj zmagał się z wysoką inflacją (wyśrubowaną przez globalny kryzys naftowy) i lizał rany po aferze Watergate – w jej wyniku z urzędu zrezygnował republikański prezydent Nixon.

W tegorocznych wyborach Demokraci uzyskali miażdżącą przewagę w Izbie Reprezentantów i wygrali bój o Senat – coś, co przed atakiem USA i Izraela na Iran jawiło się jako *political fiction*. Droga do

eprasa.pl 188c212f72



BRANDON BELL / GETTY IMAGES

W Teksasie, stanie uważanym za republikański, Demokraci zdobyli nie tylko miejsce w Senacie, ale też urząd gubernatora. Na zdjęciu: przyszły senator James Talarico i przyszła gubernatorka Gina Hinojosa wznoszą toast w miejscowej restauracji. Austin, 3 listopada 2026 r.

odbicia Senatu wiodła bowiem przez republikańskie stany, gdzie dwa lata temu Trump wygrał z dwucyfrową przewagą. To także miejsca, gdzie żaden Demokrata od dekad nie zdobył miejsca w Senacie. Np. Kansas wyśle do Waszyngtonu senatora Demokratę po raz pierwszy od niemal stu lat, a Teksas od 38 lat.

Gdy idzie o Izbę Reprezentantów, „niebiescy", czyli Demokraci, wygrywali nawet w okręgach tak rozrysowanych przez władze republikańskich stanów, by ułatwić zwycięstwo swojej partii. Strategia prawicy zawiodła np. w południowym Teksasie, gdzie konserwatywni Latynosi poczuli się oszukani przez Trumpa. Dwa lata temu poparli go, wierząc, że rozprawi się z inflacją i napływem nielegalnych imigrantów. Dziś widzą rachunki za paliwo i łapanki ICE, które wymknęły się spod kontroli. W miejscowościach wzdłuż granicy z Meksykiem trudno znaleźć kogoś do pracy na budowie, bo ludzie boją się łapanek.

SWING VOTERS | Wybory połówkowe to kolejny wyścig, który pokazał, że dla Latynosów, szczególnie tych urodzonych już w USA, liczy się głównie silna gospodarka, a to, która partia zapewni im lepsze warunki życia, jest sprawą drugorzędną. Dlatego Latynosi jako tzw. *swing voters* (wyborcy niezdecydowani) odgrywają coraz bardziej istotną rolę w polityce w USA.

Po przegranej w wyborach prezydenckich w 2024 r. Demokraci odrobili tę lekcję i dziś wzięli szturmem niektóre okręgi z dużą populacją latynoską. Kluczowy był nie tylko program ekonomiczny (momentami, przyznajmy, populistyczny), ale też dobór kandydatów. W jednym z okręgów w południowym Teksasie wygrał Bobby Pulido, gwiazdor muzyki *tejano* (to gatunek tworzony przez społeczność meksykańsko-amerykańską), mający na koncie statuetkę Grammy.

Przyszły kongresmen prowadził kampanię na koncertach i weselach, powtarzając: „Nie jestem w czerwonej drużynie ani niebieskiej. Jestem w waszej drużynie". Podkreślał tym dystans wobec duopolu Demokraci vs Republikanie, którym Ameryka jest zmęczona.

PASTOR Z TEKSASU | W całym kraju Demokraci stawiali na ludzi o życiorysie nietypowym dla establishmentowych polityków: na pastorów, weteranów, lekarzy, przedsiębiorców. Ta formuła sprawdziła się we wspomnianych Kansas i Teksasie, gdzie bój o Senat wygrali Adam Hamilton (pastor Zjednoczonego Kościoła Metodystycznego) i James Talarico, kongresmen stanowy i prezbiteriański seminarzysta. Ich postaci dobrze rezonowały w tych głęboko republikańskich stanach.

Inna sprawa, że Demokraci być może nie wygraliby boju w Teksasie, gdyby Talarico nie miał za rywala Kena Paxtona. To idol ruchu MAGA i stanowy prokurator, uwikłany w skandale korupcyjne. Odpowiedzialność za start Paxtona ponosi Trump: namaścił go w prawyborach.

W Teksasie Demokraci wygrali też walkę o fotel gubernatora, odbili Republikanom dwa mandaty w Izbie Reprezentantów i po raz pierwszy od ponad 20 lat zdobyli większość w izbie niższej parlamentu stanowego.

KAZUS MICHIGAN | Niebieskie tsunami w Teksasie budzi nadzieje na odbicie tego stanu Republikanom w prezydenckim wyścigu w 2028 r. Patrząc w przód, partia zapewne będzie też uważnie analizować przypadek Michigan: stanu wahającego się, gdzie bój o Senat wygrał Abdul El-Sayed, 42-letni epidemiolog i syn egipskich imigrantów.

Wbrew obawom partyjnego establishmentu, El-Sayed pokonał republikańskiego rywala, opierając kampanię na postulatach powszechnej opieki zdrowotnej i odcięcia brudnej pępowiny, jaka łączy ogromne pieniądze i politykę. Na marginesie, właśnie ten wyścig był jednym z najdroższych w boju o Senat. ↦

eprasa.pl 188c212f72

↦ Lewicowe skrzydło Demokratów zapewne będzie przekonywać establishment, że progresywni kandydaci na prezydenta mogą wygrywać w stanach niebędących pewnym „niebieskim" terytorium. Ale to teza ryzykowna w kraju, gdzie wciąż łatwo odstraszyć wyborców umiarkowanych rozbudowanymi postulatami socjalnymi („bo przecież rząd federalny nie powinien się w to mieszać").

KRUCHY LÓD | Strategię na rok 2028 wypracować muszą też Republikanie. Oni mają inną trudność: jak zdystansować się od Trumpa, a jednocześnie nie zrazić do siebie ruchu MAGA. Pierwsze próby wykonali już J.D. Vance, senator Ted Cruz i gubernator Florydy Ron DeSantis: wszyscy trzej oświadczyli, że Republikanie przegrali przez wojnę z Iranem. Niby truizm, ale w partii Trumpa to ryzykowne.

Możliwe scenariusze dotyczące strategii Republikanów kreśli w rozmowie z „Tygodnikiem" Paul Teller. To mocno osadzony w Partii Republikańskiej konsultant polityczny, który w pierwszej administracji Trumpa odpowiadał za przepychanie jego agendy przez Kongres.

– Ktokolwiek zamierza ubiegać się o Biały Dom, nie może powiedzieć wyborcom: głosujcie na mnie, a dostaniecie trzecią kadencję Trumpa – ocenia Teller. – Potrzebny jest pewien dystans, ale trudno mówić o całkowitym odcięciu, bo Trump zapewne będzie dalej popularny wśród swoich zwolenników, a w szczególności tych głosujących w prawyborach.

Teller nawiązuje tu do faktu, że zwolennicy ruchu MAGA to wyborcy najbardziej zaangażowani, chętnie idący do urn w prawyborach. Nasz rozmówca uważa też, że hamulcem dla rozwodu Republikanów z Trumpem jest okoliczność, iż potrzebują go do blokowania reform Demokratów w Kongresie.

Na razie prawica skupia gniew głównie na sekretarzu obrony: Pete Hegseth jest jedną z twarzy niepopularnej wojny z Iranem. Jeśli w najbliższych dniach Trump go nie zdymisjonuje, na stole jest próba wszczęcia wobec niego procedury impeachmentu. Rezolucję w tej sprawie przygotował Thomas Massie, republikański kongresmen, który zadarł z Trumpem.

TRUMP VS KONGRES | Od początku stycznia, gdy zbierze się nowy Kongres, w Waszyngtonie może być jeszcze bardziej burzliwie. Trump straci „maszynkę" do zatwierdzania swoich projektów i będzie musiał układać się z Demokratami, m.in. przy uchwalaniu budżetu na obronność, jeśli ten nie zostanie przyjęty do końca roku (co jest raczej mało prawdopodobne).

Demokraci będą mieli też ostatnie słowo przy zatwierdzaniu nominacji Trumpa na stanowiska w sądownictwie i władzy wykonawczej. Będą mogli również odmówić zgody na ratyfikację traktatów międzynarodowych zawieranych przez rząd Trumpa.

Jeśli chodzi o politykę zagraniczną, prezydent ma jednak w dużej mierze wolną rękę – może dalej nakładać cła czy zarządzać redukcję wojsk za granicą. Nawet jeśli Demokraci uchwalą przepisy narzucające na niego jakieś restrykcje (np. w sprawie wojny z Iranem), może taką ustawę zawetować, a do obalenia weta potrzeba aż dwóch trzecich głosów w obu izbach.

POKUSA IMPEACHMENTU | Na amerykańskim podwórku prezydent zapewne będzie przepychać swoje pomysły za pomocą dekretów i prawnych wybiegów. Np. gdy za jego pierwszej kadencji Demokraci w Kongresie nie chcieli dać mu więcej pieniędzy na budowę muru na granicy z Meksykiem, ogłosił stan wyjątkowy, by samodzielnie przekierować środki z innych źródeł.

Wreszcie, nowy rozkład sił w Kongresie oznacza zapewne start całej serii komisji śledczych dotyczących działań Trumpa, „deali" biznesowych jego rodziny i współpracowników. Na stole jest też wszczęcie wobec niego kolejnej procedury impeachmentu. Choć tu Demokraci są podzieleni. Postawienie go w stan oskarżenia znów zrobiłoby z niego ofiarę, co mogłoby mobilizować prawicowy elektorat przed wyścigiem o Biały Dom.

Na sytuację w Waszyngtonie z nadzieją patrzy dziś Katey, która ma dar do trafnych stwierdzeń: – Liczę, że Demokraci poświęcą najbliższe dwa lata na wprowadzanie znaczących reform, a nie na podsycanie zamieszania wokół Trumpa. To nie powinno być ich głównym zajęciem.

Kwestia podstawowa dla wyborców w USA jest więc taka: kiedy i czy doczekają się realizacji obietnic wyborczych.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press" i byłą korespondentką w USA. Stale współpracuje z „TP".

REKLAMA





eprasa.pl 1866212f72

Co czeka Polskę?

MATTHEW BOYSE, BYŁY DYPLOMATA I EKSPERT DS. EUROPY ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ:

Nie sądzę, by nowy układ sił w Kongresie zmienił coś w kwestii stałej bazy USA w Polsce. Argumenty „za" są przekonujące.

MARTA ZDZIEBORSKA: Czy Trump, osłabiony w domu, pójdzie teraz bardziej na zwarcie z Europą, atakując kraje NATO i grożąc nowymi cłami?

MATTHEW BOYSE: Nie sądzę, chyba że sojusznicy z NATO w bezpośredni sposób sprzeciwią się interesom USA. Administracja docenia wysiłki sojuszników na rzecz zwiększenia ich zdolności obronnych, ale będzie dbać, by nie uległy spowolnieniu ani nie ustały, jak to często miało miejsce w przeszłości.

Natomiast mogą pojawić się problemy w kwestii regulacji cyfrowych. UE wydała rozporządzenia lub uchwaliła przepisy, które amerykańskie firmy [tzw. Big Techy – red.] uznają za dyskryminujące. Jeśli Bruksela będzie kontynuować ten kurs, Trump może reagować. Nie musi jednak do tego dojść, jeśli w UE przeważą rozsądne i proatlantyckie głosy.



JAMES OGARA / HUDSON INSTITUTE

MATTHEW BOYSE jest ekspertem w Hudson Institute w Waszyngtonie i wykładowcą w Johns Hopkins School of Advanced International Studies. W przeszłości dyplomata, nadzorował politykę USA wobec Europy Środkowej.

Politico cytuje anonimowo dyplomatów kreślących czarne scenariusze, że Trump może ograniczyć amerykańskie wydatki na NATO lub wcisnąć hamulec w sprawie programu PURL, dzięki któremu kraje NATO kupują Ukrainie amerykańską broń.

To anonimowe wypowiedzi, niepoparte dowodami. Nie widzę żadnych sygnałów, że Pentagon planuje ograniczyć program PURL. Wiele osób w krajach sojuszniczych wciąż nie zdaje sobie sprawy, ile kosztuje naszych podatników wsparcie USA dla bezpieczeństwa Europy. Dług publiczny USA przekroczył już 40 bln dolarów i ludzie chcą ograniczenia wydatków. Zwłaszcza że kraje Europy są zamożne i mogą przejąć coraz większą odpowiedzialność za własną obronę.

Czy po zmianie układu sił w Kongresie zmaleją szanse na utworzenie stałej bazy USA w Polsce? Od stycznia 2027 r. Trump będzie musiał dogadać się z Demokratami w sprawie budżetu na obronność.

Nie sądzę, by nowy rozkład sił w Kongresie miał wpływ na tę kwestię. Argumenty strategiczne przemawiające za stałą bazą w Polsce są przekonujące, niezależnie od tego, kto zasiada w Białym Domu. Demokraci zazwyczaj przychylnie odnosili się do kwestii baz w Europie i mniej skupiali się na deficycie. Choć negocjacje z nowym Kongresem będą trudne, to w kwestii wydatków na obronę poglądy obu partii są bardziej zbieżne niż np. w sprawie programów socjalnych.

Według doniesień NBC News, Pentagon mógłby wycofać z Europy 25 tys. żołnierzy, czyli prawie jedną trzecią obecnych tu sił. Kongres już rok temu wprowadził przepisy uniemożliwiające wycofanie wojsk na tak dużą skalę bez oficjalnego uzasadnienia Pentagonu i oceny wpływu tego ruchu na bezpieczeństwo USA. Takie zastrzeżenie znalazło się też w projekcie ustawy o wydatkach na obronność na 2027 r. Czy to może zablokować administrację?

Kongres sięga po różne mechanizmy utrudniające wykorzystanie funduszy federalnych na ograniczanie zaangażowania Stanów w NATO. W ciągu kolejnych dwóch lat też będzie z nich korzystać.

Ale czy mogą one skłonić administrację do korekty działań, czy tylko je utrudnią?

Raczej to drugie. Myślę, że najlepszym sposobem na przekonanie Białego Domu i amerykańskich podatników do utrzymania znacznej obecności wojskowej USA w Europie jest dalsze wzmacnianie potencjału NATO, zapewnienie gotowości bojowej sił zbrojnych i demonstrowanie solidarności sojuszniczej, zamiast krytykowania, jak niektórzy mówią, „wiarygodności USA". Nie jest to pomocne w świetle tego, co Amerykanie zrobili przez dziesięciolecia i nadal robią, by zapewnić bezpieczeństwo Europy.

Jaki wpływ na przegląd sił USA ma Elbridge A. Colby, który od lat przekonuje, że Stany muszą skupić się na rywalizacji z Chinami, kosztem zaangażowania w Europie?

Colby ma ogromne wpływy jako trzeci rangą urzędnik w Pentagonie i jeden z głównych autorów koncepcji „NATO 3.0". Wyniki wyborów nie zmienią jego pozycji w administracji, zapewne doprowadzą jedynie do zwiększenia nadzoru ze strony Kongresu i sprzeciwu wobec niektórych jego działań. Prawdopodobnie będzie musiał poświęcić więcej czasu na wyjaśnianie ich przed Kongresem, ale Kongres nie może go odwołać.

Choć Bridge [zdrobnienie od Elbridge – red.] jest skupiony na problemie komunistycznych Chin, to bynajmniej nie jest nastawiony nieprzychylnie do Europy. Jak mantrę powtarza jednak, że europejscy sojusznicy muszą wziąć główną odpowiedzialność za swoją obronę konwencjonalną. Uważa, że Stany nie powinny troszczyć się o bezpieczeństwo Europy bardziej niż sami Europejczycy. To rozsądne stanowisko.

© Rozmawiała MARTA ZDZIEBORSKA

eprasa.pl 188c212f72



MAXYM MARUSENKO / NURPHOTO / AFP / EAST NEWS

Poprzednia zima była ciężka, nadchodząca może być gorsza. Na zdjęciu: wolontariusze pomagają mieszkańcom Kijowa, pozbawionym prądu i ogrzewania. Luty 2026 r.

Święty Eliasz i rosyjska zima

ANDRIJ LUBKA ZE WSCHODNIEJ UKRAINY

WOJNA | Zima w tym roku zaczęła się u nas w sierpniu, ponownie potwierdzając, że najmądrzejszym człowiekiem w mojej rodzinie był dziadek Stepan.

To on, dziadek Stepan, uczył mnie, że lato kończy się 2 sierpnia, w dniu świętego Eliasza według starego kalendarza cerkiewnego. Z jego nauk dowiedziałem się, że po tym dniu lepiej już nie kąpać się w rzekach i jeziorach, bo woda w podwodnych nurtach staje się lodowata. „Ilja nasikał do wody" – głosi ukraińskie przysłowie ludowe. Od dzieciństwa Eliasz był dla mnie kimś wyjątkowym, bo przecież trzeba być naprawdę świętym, żeby sikać na zimno.

Są jednak także plusy: z powodu chłodu węże zagrzebują się w ziemi, by zapaść powoli w sen zimowy, dzięki czemu bezpieczniej jest chodzić na grzyby. W donbaskich „posadkach", lokalnych zadrzewieniach, gdzie rosną nie tylko akacje, jesiony i zdziczałe morele, lecz także rozłożyste dęby, moja karpacka natura przez całe minione lato kazała mi zaglądać pod liście w poszukiwaniu grzybów. Jedna z opowieści naszych wojennych czasów głosi, że ludzie pochodzący z leśnych regionów szybciej wypatrzą w poszyciu miny i „rozciągi" [pułapki, gdzie mina połączona jest z potykaczem z drutu, wyzwalającym eksplozję – red.], gdyż mają wyćwiczone oko.

OGIEŃ ZAMIAST DESZCZU | Jednak tego lata w przyfrontowych „posadkach" nie było grzybów, gdyż panowała niespotykana susza. Brakowało nie tylko deszczu, ale nawet rosy, która zwykle zjawia się tuż przed świtem. W ciągu dnia nawet w cieniu było tak gorąco, że kręciło się w głowie. Pod mundurem i kamizelką kuloodporną ciało nagrzewało się i ciągle chciało się spać. Grzybów nie było, za to dokuczały szerszenie. Ich gniazd lepiej wystrzegać się nie mniej niż wroga.

„Posadki", te wąskie pasy zadrzewienia pośród pól, są jednym ze znaków rozpoznawczych Donbasu. Masowo sadzono je po II wojnie światowej, by chronić grunty orne przed „suchowiejami" (suchymi, gorącymi wiatrami) i erozją. Kilka rzędów drzew, szerokości zwykle kilkunastu metrów, miało zmienić naturę stepu. Po 2014 r. zmieniły też naturę wojny: stały się linią obrony, schronieniem, miejscem, gdzie korony drzew dają szansę na przetrwanie ostrzału.

Eliasz dobrze pasuje do tegorocznej suszy, która tak mocno dawała się we znaki całej Europie i tak bardzo wyczerpała ukraińskich żołnierzy na wschodzie. Według Biblii prorok żył na pustyni i żywił się tym, co przynosiły mu kruki. Wypełniwszy polecenia Boga, modlił się o deszcz i w końcu rozpętała się ulewa z grzmotami i błyskawicami. We wschodnim chrześcijaństwie Eliasz znany jest jako gromowładny, który przemierza niebo na rydwanie i ciska ogniste strzały. Choć w Donbasie brakło deszczu, ogień z nieba lał się bez przerwy.

WOJNA I POGODA | To zdumiewające, jak ta wojna, najbardziej zaawansowana technologicznie we współczesnym świecie, zależy w istocie od natury. Każdy dron, mały

eprasa.pl 188c212f72

czy duży, jest jak ptak, który podlega prawom aerodynamiki i wiatru. Jeśli wiatr jest zbyt porywisty, dron traci skuteczność albo w ogóle nie może latać. Każde wyjście na frontowe pozycje zaczyna się od sprawdzenia prognozy pogody: nie wystarczy zmoczyć palec śliną i sprawdzić kierunek wiatru, trzeba znać jego prędkość na wysokości stu metrów i wyżej.

Gdy jest pochmurno, skuteczność rozpoznania z powietrza spada, dzięki czemu na ziemi można poczuć się swobodniej. Z kolei zalegająca nisko mgła staje się zasłoną dla wrogiej piechoty, kiedy próbuje ona przenikać przez nasze pozycje, ale pozwala też nam sprawniej ewakuować rannych. Błoto pod nogami uniemożliwia ruch ciężkiego sprzętu, a mróz krytycznie wpływa na czas pracy baterii drona. Jego kamera może mieć wysoką czułość, ale może zwyczajnie zaparować wskutek różnicy temperatur. Jego śmigła, pokryte wilgocią z mgły, mogą pokryć się lodem na wysokości.

W RYTMIE NATURY | Kiedyś, po wojnie, każdy ukraiński żołnierz mógłby zostać znakomitym wykładowcą geografii politycznej. Głębokie zrozumienie wpływu, jaki krajobraz i klimat mają na przebieg działań wojennych, pozwala bowiem wyraźnie dostrzec, dlaczego i w jaki sposób przez stulecia zmieniały się europejskie granice. Spójrzmy na mapę: jak wiele z nich do dziś biegnie wzdłuż rzek i pasm górskich, tych naturalnych rubieży obronnych, za którymi grupowały się nie tylko wojska, lecz i całe narody.

Mamy drony, łączność satelitarną, transmisje wideo na żywo i sztuczną inteligencję, a mimo to wojna wciąż sprowadza się do rytmu naturalnych cykli. Pełnoskalowa inwazja zaczęła się właśnie 24 lutego z dwóch powodów: zaraz po zakończeniu Zimowej Olimpiady w Pekinie (by nie drażnić Chin) oraz po to, by zdążyć przed wiosenną odwilżą. Ciężki sprzęt, który za sprawą swojej nieskuteczności stał się symbolem wojny z przeszłości, potrzebował gruntu twardego, zamarzniętego.

CHŁÓD I CIEMNOŚĆ | Dziś, w przeddzień kolejnej wojennej zimy, wszystkie najnowocześniejsze rozwiązania i najbardziej śmiercionośna broń znów mają na celu to, by wzmocnić działanie przyrody. Na froncie pogoda może być sojusznikiem lub wrogiem, okolicznością, którą trzeba brać pod uwagę. Za to na tyłach, w głębi Ukrainy, Rosja próbuje uczynić z niej element swojej strategii.

Gdy rakiety i drony celowo niszczą infrastrukturę energetyczną, mróz staje się przedłużeniem uderzenia, które nie kończy się wraz z ich eksplozją. Pozostaje w domach, szpitalach i mieszkaniach, gdzie ludzie próbują ogrzać swoje dzieci. To sposób, by udręczonych cywilów skłonić do kapitulacji, skoro żołnierze na froncie się nie poddają.

Rosja zawsze kojarzyła mi się podświadomie z zimą, śniegiem i chłodem. Zima to broń Rosji, a chłód to jej, Rosji, nieodłączna natura. Nie odnosząc sukcesów na froncie, Putin dąży do tego, by zamienić całą Ukrainę w przerażające zimowe pustkowie. Wyłączyć światło, wodę i ogrzewanie, aby choć w taki diabelski sposób w ciągu najbliższych miesięcy zamienić nasz kraj w syberyjską tajgę. W rękach tego szatana zima to narzędzie wojny.

TERROR I „DEALE” | Bo jak wygląda zima w mieście, które jest codziennie bombardowane, a elektrownie, wodociągi i sieci ciepłownicze z premedytacją są niszczone? Mieszkanie zamienia się wtedy w jaskinię Lascaux. Bez prądu i gazu można je ogrzać chyba tylko rozpalając ognisko na środku pokoju. Bez wody na dwunastym piętrze nie da się nie tylko umyć, lecz także skorzystać z toalety. Wyobraźcie sobie takie życie, zwłaszcza dla dzieci i osób starszych.

Terror wymierzony w ludność ukraińskich miast jest tak oczywistą zbrodnią wojenną Putina, że robi się wstyd za tych, którzy w tym samym czasie gotowi są podawać mu rękę, znosić sankcje, robić z nim „deale”.

Nie chodzi tylko o deweloperów-biznesmenów zza oceanu. Także w Europie są ludzie gotowi ustawić się do Putina w kolejce, z wyciągniętą ręką. Każda kolejna zbrodnia wojenna wzmacnia ich pozycję polityczną, gdyż wzbudza w wyborcach strach i pragnienie ucieczki od tej rzeczywistości, nawet gdyby miało to oznaczać schronienie się za kłamliwymi populistycznymi hasłami.

CELE PUTINA | Dość! To słowo, którym kończy się lato i zaczyna zwrot ku zimie. Dość ruchu, dość pracy w polu, wracaj do ciepłej chaty i zapadnij powoli w sen zimowy – to mówi nam przyroda. Putin uważnie jej słucha, odbierając ludziom ciepło i światło. Chce, aby wyczerpany i pozbawiony nadziei człowiek w końcu powiedział: dość już, poddajmy się, nie mamy więcej sił, by znosić te nieustanne doświadczenia.

Kolejna zima wielkiej wojny w Europie znów stawia przed nami to samo pytanie. Nie mając rozstrzygających sukcesów na froncie, Rosja próbuje sprawić, aby jej bronią stało się to, co składa się na zwykłe codzienne życie: ciepło, woda, światło, możliwość ogrzania dziecka i doczekania poranka we własnym mieszkaniu.

Kreml liczy na to, że chłód uczyni Ukraińców bardziej skłonnymi do ustępstw, a Europejczyków przekona, że pokój za wszelką cenę jest lepszy niż opór. Że ciemność w naszych miastach stanie się ciemnością w europejskiej polityce, a zmęczenie wojną przerodzi się w zgodę na rosyjskie żądania.

WYTRZYMACIE? | Dlatego dziś pytanie nie dotyczy wyłącznie tego, czy Ukraina przetrwa kolejną zimę. Pytanie brzmi, czy Europa wytrzyma próbę własnych wartości. Czy wystarczy jej determinacji, by nie nagradzać agresora za cierpienia, które zadaje ludności cywilnej.

Teraz, gdy zima jest za progiem, a w wielu ukraińskich domach nie ma już prądu ani ciepła, znów przypominam sobie mojego dziadka i jego mądrość. Wiedział, że po drugim sierpnia święty Eliasz zwija lato i chowa je do spiżarni. Wiedział, że odtąd woda stygnie, węże kryją się w ziemi, a ludzie stopniowo przenoszą się do ciepłych chat.

Wiedział jednak również, że każda pora roku kiedyś się kończy.

Tak, Rosja może uczynić z zimy swoją broń. Nie może jednak sprawić, aby trwała ona wiecznie. ©



ARCHIWUM PRYWATNE

Autor (ur. 1987) jest poetą i prozaikiem. W Polsce ukazały się jego tomy poezji, kilka powieści i opowiadania. Jest też tłumaczem z serbskiego, chorwackiego, angielskiego i polskiego. Wiosną 2026 r. poszedł na ochotnika do wojska, a „Tygodnik” opublikował jego esej „Dlaczego się zgłosiłem”.

eprasa.pl 188c212f72

Dziewczęca szkoła przetrwania



HAMZA MADHON x2

MIŁKA FIJAŁKOWSKA

STREFA GAZY | „Jedyne, co mam, to boks. Tylko on daje mi radość" – mówi 14-letnia Layan. Jest jedną z kilkudziesięciu dziewcząt z Khan Younis, dla których treningi sportowe to także terapia.

Z każdym kolejnym ciosem czują się silniejsze – tak to widzą. Choć trenują nie na ringu, a na piasku, nie w sali sportowej, a pod plastikową plandeką, bez butów. Ważne, że nie przestają. Tu liczy się inna wygrana, z własnym lękiem.

– Gdy boksuję, zapominam o strachu i wojnie – mówi 14-letnia Ghazal, szykując się do rozgrzewki. Pochodzi z miasta Gaza, a teraz mieszka w Al-Mawasi na południu Strefy. Boks zaczęła trenować prawie cztery lata temu. – Przychodzę na treningi, kiedy tylko mogę, w trakcie ćwiczeń uspokajam się. Boję się bombardowań, uciekaliśmy przed nimi dziesięć razy – mówi palestyńska nastolatka.

NA BOSAKA | UNICEF szacuje, że w Strefie Gazy 80-90 proc. dzieci potrzebuje pomocy psychologicznej z powodu traumy, depresji, stresu pourazowego (PTSD). Ale udzielanie jej jest utrudnione ze względu na restrykcje Izraela wobec organizacji humanitarnych. Żeby zdrowieć, dzieci potrzebują otoczenia, w którym mogą poczuć normalność, niezbędną dla odbudowania poczucia bezpieczeństwa. Tymczasem Gaza to dziś 60 mln ton gruzów – i namioty, w których żyją ludzie wygnani z domów.

Między takimi namiotami, w Khan Younis, namiastkę normalności stwarza podopiecznym Osama Ayoub, trener boksu. Trzy razy w tygodniu prowadzi trening. Dziś bierze w nim udział piętnaście dziewcząt. Niektóre boso – jedyne buty, jakie mają, to plastikowe klapki, a w nich trudno byłoby ćwiczyć.

Ghazal ma na sobie sportowy dres. To jej ulubiony strój, o który dba. Wydaje się pogodna. Trening wyzwala w niej emocje, których zwykle nie czuje: – Tęsknię za dawną szkołą i przyjaciółmi, a ćwiczenie razem z koleżankami dodaje sił, nie czuję się wtedy sama – tłumaczy, gdy rozmawiamy na odległość (od początku wojny Izrael nie wpuszcza zagranicznych dziennikarzy do Strefy).

Trening zaczyna się od rozgrzewki, potem są ćwiczenia sprawnościowe, np. bieg między pachołkami po piasku. Dziewczynki pilnie wykonują polecenia. – We wszystkich grupach mam pod opieką 60 dziewcząt i kobiet w różnym wieku, od 7 do 35 lat – mówi Osama.

JEDYNE, CO MAM | Tu nie chodzi tylko o trening. – Wojna mnie przeraża, a boks to jedyne, co mam. To nie tylko sport, to mój system wsparcia – mówi 16-letnia Sama, która dołączyła pięć miesięcy temu.

Przed wojną, czyli zanim 7 października 2023 r. Hamas zaatakował Izrael, a ten odpowiedział, w efekcie niszcząc Gazę, Sama była aktywna sportowo. Grała w piłkę ręczną i nożną, pływała. – Teraz nawet pływanie nie jest możliwe. A po treningu nie czuję tego ogromnego stresu, który na co dzień mi towarzyszy – mówi. Pochodzi z Khan Younis, jej rodzina była cztery razy zmuszana do opuszczenia miejsca zamieszkania.

– Dziewczęta mają ogromną determinację, choć warunków nie mamy tu żadnych – przyznaje Osama. Zamiast sportowej sali jest prowizoryczna konstrukcja z drewna, na którą naciągnęli plastikową plandekę, mającą chronić przed słońcem. Ale w upalne dni plastik się nagrzewa i jest pod nią gorącej. Za podłoże służy płachta imitująca ring.

Po rozgrzewce następuje to, na co dziewczęta najbardziej czekają: nauka techniki i trening jeden na jeden z Osamą, który ma na dłoniach tarcze trenerskie, zastępujące worek. – Mamy jedną parę rękawic na trzy, chciałabym mieć własny sprzęt – mówi Ghazal.

14-letnia Layan, która też pochodzi z Khan Younis, trenuje od 2,5 roku. Gdy opowiada o doświadczeniach ostatnich trzech lat, w jej oczach widzę przerażenie: – Uciekaliśmy przed bombardowaniami pięć razy. Bardzo się wtedy bałam, cały czas krzyczałam.

– Jedyne, co mam, to boks – Layan podziela odczucia Samy. – Każdą wolną chwilę wykorzystuję na treningi, tylko one dają mi radość.

SILNE I ODWAŻNE | Trenującym często towarzyszą latające na niebie izraelskie drony. Czasem, w oddali, także odgłosy bombardowań, które są kontynuowane mimo zawartego w październiku 2025 r. rozejmu. – Najważniejsze, by dziewczęta nie przestawały. Boksować można wszędzie, niezależnie od miejsca i okoliczności – mówi Osama.

– Trener podnosi nas na duchu. Powtarza, że jesteśmy silne i odważne. Najbardziej lubię moment, gdy wychodzę na ring, wtedy tak właśnie się czuję. To znaczy, nie mamy ringu, ale ja go sobie wyobrażam – mówi Layan. Uważa, że boks ją zmienił: – Przed dołączeniem do klubu byłam introwertyczką. Wyszłam z mojej skorupy, nawiązuję przyjaźnie z koleżankami z drużyny.

13-letnia Dunia przed wojną lubiła pływać. – Teraz mam tylko boks. Tęsknię za tamtym życiem, za krewnymi, za moim łóżkiem, ubraniami – opowiada. Mieszka w Al-Mawasi, jej rodzina była pięć razy zmuszana do opuszczenia kolejnych miejsc zamieszkania.

eprasa.pl 188c212f72





Od lewej: Trener Osama Ayoub i 13-letnia Dunia (w różowej chuście). Dziewczyna mówi, że tęskni za dawnym życiem, krewnymi, własnym łóżkiem. Oraz że treningi nauczyły ją wytrwałości. Khan Younis w Strefie Gazy, jesień 2026 r.

Dla nastolatek z Khan Younis boks to także terapia i sposób, aby na chwilę zapomnieć o wojnie.

Dunia mówi, że treningi nauczyły ją wytrwałości: – Pozwalają przetrwać. Podoba mi się ta moc, którą wkładam w moje ruchy.

TRENER | Taką moc chciał budować w podopiecznych Osama, gdy w 2020 r. zakładał klub w mieście Gaza. Dziś 41-letni, jest certyfikowanym trenerem Międzynarodowego Stowarzyszenia Bokserskiego.

Trenuje od prawie 20 lat. Wspomina, że gdy brał udział w zawodach w Egipcie i Libanie, zobaczył tam młode kobiety uprawiające boks: – To była iskra. Pomyślałem, dlaczego także dziewczęta w Gazie nie mogą uprawiać tego sportu, uznawanego tradycyjnie za męski.

Najpierw trenował na plażach, by zachęcać, budować świadomość. Potem założył Palestyńskie Centrum Boksu dla Kobiet, pierwsze takie miejsce w Strefie. – Miałem nadzieję, że pewnego dnia także one będą reprezentować Palestynę na arenie międzynarodowej – wspomina. Wtedy nie sądził, że boks stanie się formą przetrwania i ucieczki od koszmaru wojny.

TROCHĘ CHLEBA | – W 2024 r. klub został zniszczony przez izraelską armię – opowiada Osama. On także musiał uciekać z rodziną przed nalotami na południe Strefy, do Rafah: – Spaliśmy na ulicach na gołej ziemi, a potem w zniszczonych salach uniwersytetu.

Tam na południu spotkał podopieczne. Zapytały, czy mógłby znów je trenować. – Zgodziłem się, choć był to ciężki czas. Pierwszego dnia na treningu stawiło się kilkadziesiąt dziewcząt. Nie mieliśmy nic – wspomina. Wieść się rozeszła, otrzymał wsparcie od ludzi, także darczyńców z zagranicy. – Wysłali nam sprzęt sportowy, ale Izraelczycy zatrzymali go na granicy – twierdzi. Potem przeniósł się do Khan Younis: – Tu założyłem takie, można powiedzieć, centrum treningowe w obozie dla uchodźców.

Osama: – Głodowaliśmy. Staliśmy z moimi dziećmi w długich kolejkach po chleb, codziennie godzinami szukaliśmy jedzenia. Moje podopieczne też były głodne.

Zaczął organizować jedzenie także dla nich. – Czasem udało się zdobyć trochę chleba od organizacji charytatywnych – mówi. Gdy dostał wsparcie z zagranicy, starał się kupić ryż, fasolę i wraz z dziewczynkami przygotowywał posiłki, by je wzmocnić: – Nadal cierpią za sprawą niedoboru składników odżywczych, zwłaszcza białka, bo nie mamy dostępu do mięsa.

Ghazal: – Gdy byłam głodna, brakowało mi siły do treningów, ale i tak starałam się dać z siebie wszystko, bo w treningach znajdowałam siłę psychiczną.

RADOŚĆ I ŻAŁOBA | Mówią, że czują się więcej niż sportową drużyną. Osama: – Jesteśmy jak rodzina. Razem się smucimy, świętujemy, organizujemy urodziny dziewczynek.

Mało jest takich chwil radości. Trener opowiada: – Każda informacja o śmierci podopiecznych jest druzgocąca. Śmierć Malak Musleh, cudownej dziewczyny, obiecującej bokserki, którą trenowałem cztery lata. Marzyła, by zostać mistrzynią, zginęła w izraelskim nalocie. Siostry Razan i Nouran zostały zabite wraz z ojcem przez izraelskiego snajpera we własnym domu.

Gdy rozmawiałam z Osamą rok temu, po ogłoszeniu rozejmu, miał nadzieję, że sytuacja się poprawi. Ale naloty się nie skończyły, a codzienność to nadal walka o przetrwanie. Powiedział mi wtedy, że będzie kontynuować swoją pracę niezależnie od wszystkiego: – Pamiętam dziewczynkę, która była świadkiem śmierci rodziców. W jednej chwili straciła rodzinę. Ale była zdeterminowana, by kontynuować treningi. Nie tylko, by uporać się z żałobą, ale żeby uczcić pamięć taty. Powiedziała: „To dla niego, on zachęcał mnie do realizacji sportowych marzeń".

MARZENIA | Obecnie trwają prace nad otwarciem klubu z prawdziwego zdarzenia w mieście Gaza. W planach jest drugi klub, w Khan Younis. Osama Ayoub mówi: – Straciłem wielu przyjaciół-sportowców. Fakt, że przeżyłem, zobowiązuje. Boks to moja pasja i misja, chcę pokazać, że palestyńscy sportowcy się nie poddadzą.

A jakie marzenia mają dziewczęta? – Dzięki treningom skupiam się na przyszłości. I pilnie uczę w szkole, choć jest daleko i droga do niej jest męcząca. Ale trener Osama pokazał nam, że dzięki ciężkiej pracy możemy pokonać trudności – mówi Ghazal.

Dunia chce w przyszłości być trenerką kung-fu i szkolić inne dziewczęta. Layan chciałaby trenować boks zawodowo (i „kiedyś ponieść flagę Palestyny na międzynarodowych zawodach"). Sama chciałaby zostać mistrzynią bokserską: – Chcę pokazać światu, że my, dziewczyny z Gazy, jesteśmy zdolne do wielkich rzeczy.

© Współpraca: HAMZA MADHON (Strefa Gazy) i HAMED SBEATA

eprasa.pl 188c212f72

Trochę braterstwa

PATRYCJA BUKALSKA Z WIELKIEJ BRYTANII

PAMIĘĆ | Poległy w czasie I wojny światowej kapelan Willie Doyle może zostać świętym. Byłaby to pierwsza kanonizacja w Irlandii od ponad 50 lat.

Willie Doyle nie ma własnego grobu. Podobnie jak tysiące poległych na frontach tamtej wojny, zakończonej 108 lat temu, których nigdy nie odnaleziono lub nie zidentyfikowano.

Służył jako kapelan na froncie zachodnim, przy batalionie irlandzkiej piechoty (Royal Irish Fusiliers) w szeregach armii brytyjskiej. Zginął 16 sierpnia 1917 r. koło miejscowości Langemarck, podczas krwawej kampanii, którą zapamiętano jako bitwę pod Passchendaele.

Tamtego dnia próbował pomóc dwóm rannym protestanckim żołnierzom z północnej Irlandii. Wcześniej nieraz przedzierał się pod ostrzałem do rannych i umierających, bez względu na ich wyznanie i narodowość. Tym razem mu się nie udało.

Jeden z generałów miał powiedzieć, że Doyle był jednym z najodważniejszych ludzi, jacy tam służyli. Świadectw jego odwagi i prawości nie brakuje, a Kościół katolicki w Irlandii uważa go za „ekumenicznego męczennika miłości bliźniego".

SŁUGA POKOJU | W połowie października biskup Tom Deenihan ogłosił zakończenie diecezjalnego etapu procesu beatyfikacyjnego, rozpoczętego w 2022 r. Do Watykanu trafiły zaplombowane paczki z kilkoma tysiącami zebranych dokumentów, mających świadczyć o świętości Doyle'a.

Są tu wyniki pracy komisji teologicznej i historycznej, a także świadectwa ludzi, którzy wierzą, że doświadczyli wstawiennictwa ojca Doyle'a. To pierwszy z etapów długiego procesu, który ma prowadzić do beatyfikacji, a potem kanonizacji. Jeśli się powiedzie, Doyle, obecnie noszący miano sługi Bożego, byłby pierwszym irlandzkim świętym od 1975 r., kiedy to uznano świętość Olivera Plunketta, ofiary prześladowań antykatolickich w XVII stuleciu.



FATHER WILLIE DOYLE ASSOCIATION

Willie Doyle (1873-1917), irlandzki jezuita

Doyle to „sługa pokoju i pojednania oraz wzór prawdziwego ekumenizmu – mówił diecezjalny postulator procesu beatyfikacyjnego, ks. John Hogan. – Pod wieloma względami jego życie i świadectwo są dla nas dziś bardziej znaczące niż sto lat temu". Hogan zwraca uwagę, że Doyle, który w młodości doświadczył kryzysu psychicznego, może być duchowym przewodnikiem dla osób zmagających się z takimi problemami.

ZA ODWAGĘ | William (Willie) Doyle, urodzony w Dublinie w 1873 r. – w czasach, gdy cała Irlandia wchodziła w skład brytyjskiego imperium – pochodził z głęboko religijnej rodziny. Wstąpił do zakonu jezuitów, przyjął święcenia w 1907 r. i początkowo pracował w jezuickich misjach w Irlandii, choć marzyła mu się Afryka.

Gdy wybuchła I wojna światowa, zgłosił się na ochotnika jako kapelan i towarzyszył żołnierzom w okopach frontu zachodniego. Za udział w tej roli w bitwie nad Sommą otrzymał Krzyż Wojskowy (Military Cross). Można spotkać się z opinią, że gdyby nie był katolikiem i Irlandczykiem, przyznano by mu zapewne Krzyż Wiktorii, najwyższe odznaczenie w brytyjskiej armii. Choć dla niego raczej nie miało to znaczenia – wiadomo, że uważał, iż kapelanów nie należy honorować w ten sposób, bo nie dla medali pełnią swą służbę.

POLOWY OŁTARZ | Doyle pozostawił po sobie liczne listy i zapiski. Chciał, by w razie jego śmierci zostały spalone, ale tak się nie stało. Teraz zajmować będzie się nimi watykańska komisja, oceniająca heroiczność cnót irlandzkiego księdza.

Zapiski Doyle'a to także niezwykłe historyczne źródło informacji o sytuacji żołnierzy-Irlandczyków podczas tamtej wojny, poddanych Albionu. Oraz wstrząsający, realistyczny opis wojny: okopów pełnych błota i ciał poległych, marszu po tychże ciałach, skutków użycia gazów bojowych, udzielania ostatniego namaszczenia potwornie okaleczonym ludziom, mszy świętej, gdzie ołtarzem było blaszane pudełko po herbatnikach oparte na dwóch bagnetach. A także chwil poświęcenia, braterstwa i altruizmu.

BEZ GROBU | 14 sierpnia 1917 r. Doyle napisał list do ojca. Starając się go uspokoić, pisał, że wkrótce dostanie przepustkę i się zobaczą. Dwa dni później zginął. Ostatni dzień spędził na błotnistym polu bitwy, biegnąc lub czołgając się od jednego do drugiego rannego i umierającego. „Wydawało się, że nie zna zmęczenia i nie czuje strachu" – napisał później gen. William Hickie, dowódca 16. Dywizji (Irlandzkiej), w której służył Doyle.

Towarzyszył żołnierzom wszędzie i do ostatniej ich chwili. Tym, którzy konali, udzielał wiatyku. Dbał też o godny pochówek tych, których udało się ściągnąć z pola bitwy. Sam tego ostatniego nie miał; nie wiadomo, co stało się z jego ciałem. Prawdopodobnie został pochowany w prowizorycznej zbiorowej mogile na polu bitwy, a później, po wojnie, gdy szczątki ekshumowano i przenoszono na cmentarze, ciała już nie zidentyfikowano.

W pewien sposób pozostał ze swoimi żołnierzami, „na polach Flandrii". ©℗

eprasa.pl 188c212f72

WOJCIECH

Bonowicz: *Cienka tkanina*



Subtelność – następne pojęcie, za obronę którego bym się wziął. Ale tak subtelnie, dyskretnie. Bo subtelność to jest skromność, dyskrecja, a zarazem wyrafinowanie. Cieniusieńka tkanina, całun, co ledwie okrywa i ledwie go widać – ale jest.

Subtelność jest przeciwieństwem buty, to po pierwsze. Wrzasku, wyzwisk, wyśmiewania – całego tego arsenału środków, których do niedawna jeszcze używać wypadało co najwyżej pokątnie. A dziś nie. Dziś wyzywanie kogoś, warczenie na niego, łajanie i poniżanie w obecności kamer to są w polityce chwyty dozwolone, a nawet punktowane. Zada ci dziennikarka niewygodne pytanie? Odpowiedz, że jest gruba albo się prostytuuje. Może spotka cię za to jakaś kara? Środowiskowy bojkot? Dobrze wiesz – zawczasu wiedziałeś – że żadnej kary nie będzie.

Przeciwnie, filmik z tego zdarzenia będzie krążył w sieci i będzie miał setki tysięcy wyświetleń. Pomyślą o tobie, żeś cham? Ci, co tak pomyślą, i tak na ciebie nie głosowali. A ci, co głosowali, na pewno ci przytakną. Jeśliby jakiś „nie swój" tak zrobił – o, wtedy podniesie się krzyk: „Patrzcie, co za chamidło!". Ale „swojego" nikt nie skrzywdzi, bo to tak, jakby we własne gniazdo, za przeproszeniem, narobić. A narobić, owszem, można, i nawet na wycieraczkę – ale wyłącznie „tamtym".

Napisałem, że „do niedawna używać wypadało pokątnie" i tak się zastanawiam: kiedy to „niedawno" właściwie było? Kiedy prymitywizm zaczął być nagradzany przy urnach wyborczych?

Człowiek subtelny, kiedy się nawet zapędzi, coś głupiego wypali, to przeprosi. I to nie przeprosi w formule: „Jeśli kogoś obraziłem...". Człowiekowi, który ceni delikatność, dowcip, puszczenie oka, przeprosiny nie przynoszą ujmy. „Byczek" przepraszać nie ma zamiaru. Wszystko, co robi, jest przecież najlepsze, najsłuszniejsze. A niechby ktoś z otoczenia spróbował nie przytaknąć, już go nie ma.

Dlatego wszyscy przytakują, a najbardziej prymitywny żart przyjmowany jest zgodnym rechotem. „Byczek" przyszedł na ten świat, żeby się rozpychać, a nie dać się zapędzić do rogu. Jak go zapędzą do rogu, wiadomo, co mu mogą zrobić. Więc nawet kiedy jest w rogu, będzie się darł, że nieprawda, że stoi pośrodku areny. Jak ten tonący ze starego dowcipu: „– Panie, łap się pan tego kija, bo przecież zaraz pójdziesz pan na dno!!! – Ależ skąd, tylko skarpetki mam mokre". Subtelność to jest, w oczach wielu, wada, nie zaleta. „Pani tu takie subtelne wywody przedstawiła, nie sądzę, żeby ktoś coś z tego zrozumiał". To dotyczy nie tylko polityki, w wielu publicznych sporach, żeby zaistnieć, trzeba walić na odlew. Nie jakieś tam zwody, podchody, aluzje, ale – blacha w czoło! Prosto i dobitnie, tak żeby nie trzeba było poprawiać.

Owszem, subtelność idzie w parze z prostotą, ale jest to prostota szczególnego rodzaju. Żeby powiedzieć coś subtelnie i jednocześnie dobitnie, nie wystarczy mieć poukładane w głowie, trzeba jeszcze nauczyć się ten wewnętrzny porządek przenosić na zewnątrz. A to wcale nie jest takie łatwe.

Człowiek subtelny musi się zastanowić, rozważyć. A w świecie, w którym ludzie nieustannie się nawzajem poganiają, zastanawianie się jest dowodem bezsilności. Człowiek subtelny nie chce użyć wytartych, gładkich formuł, chciałby dać rzeczy słowo odpowiednie. Więc szuka. A niesubtelnemu wszystko jedno, byle pozwolić mu mówić. No to kto ma przewagę?

Subtelny humor z kolei charakteryzuje się tym, że nie ma w nim pogardy. Jest za to wynalazczość, inwencja językowa. Nie po linii najmniejszego oporu, ale bardziej naokoło, gdzie opór bywa większy. Subtelny humor bywa w związku z tym wieloznaczny, a to kolejna wada w naszej nieszczęśliwej epoce dosłowności. Powiesz coś tak, a zrozumieją na opak. Żart ma podwójne dno? Cóż z tego, skoro nawet pierwszego dna nikt nie sięgnął.

Ryknęliby śmiechem, gdybyś poleciał grubo i wprost, a tak śmiali się, ale jakby półgębkiem. Owszem, ciepły uśmiech, życzliwa ironia to coś, za czym wielu z nas tęskni. Ale w przestrzeni publicznej, medialnej miejsca na nie zbyt wiele nie ma. Wszystko jakby rysowane mazakiem, gdzie by tam ktoś się męczył piórkiem i węglem. Wyobraźmy sobie świat pozbawiony półtonów. Świat, w którym każde nieco bardziej wyrafinowane sformułowanie skazywane jest na banicję, a każda próba subtelniejszej analizy zostaje wyśmiana. A może wcale nie musimy sobie tego wyobrażać? Może już żyjemy w takim świecie?

Jeszcze jedno słowo trzeba by tu przywołać: wdzięk. Ale nad tym to już nie będę się rozwodził. Może innym razem. Pamiętam, co o bezczelności pisał Stanisław Tym. A pamiętam, bo mam ten cytat przed sobą. I zacytuję. „Bezczelność jest nawet do przyjęcia, jeżeli jest to bezczelność z wdziękiem. Było to dawno temu. Kelner w restauracji stawia przede mną dwa kieliszki wódki (już czwarta kolejka) i ja czuję, że coś ta wódka jakby chrzczona, więc mówię: – Proszę pana, ta wódka jest słaba! A kelner na to: – Ależ skąd, to po prostu szanowny pan jest mocny". ©

Wojciech Bonowicz jest poetą i społecznikiem. Autor biografii, rozmów rzek oraz „Dziennika pocieszenia".

eprasa.pl 188c212f72

WIARA

KOŚCIÓŁ W LICZBIE MNOGIEJ

Od prawie szesnastu lat żyję w Boliwii i gdy ktoś mnie pyta, jaki jest katolicyzm Ameryki Łacińskiej, odpowiadam pytaniem: który? Program papieskiej wizyty dobrze to pokazuje.

O. KASPER MARIUSZ KAPROŃ OFM

Leon XIV udaje się do Ameryki Południowej. Od 6 do 17 listopada odwiedzi Urugwaj, Argentynę i Peru. W Montevideo pojedzie do ubogiej dzielnicy Casavalle, spotka się także ze środowiskiem katolickiego uniwersytetu. W Argentynie odwiedzi m.in. więzienie i sanktuarium w Luján. W Peru wróci do Chiclayo, gdzie przez lata był biskupem, pojedzie też do Cusco (spotka się tam z przedstawicielami pobożności ludowej świata andyjskiego) i Pucallpy (spotkanie z misjonarzami i przedstawicielami ludów Amazonii).

Już sam program podróży pokazuje, jak mylące bywa mówienie o „Kościele Ameryki Łacińskiej". Jestem tu od prawie szesnastu lat (jako misjonarz w Boliwii) i widzę raczej wiele Kościołów, które czasem więcej dzieli, niż łączy – choć wszystkie należą do tej samej katolickiej historii.

Oczywiście łączy je wspólne doświadczenie kolonizacji, religijność ludowa, sanktuaria maryjne, nierówności społeczne, czas dyktatur i demokratyzacji. A także CELAM (Rada Episkopatów Ameryki Łacińskiej) oraz świadomość przynależności do wspólnej przestrzeni kulturowej. Tyle że bardzo łatwo zrobić z tego intelektualny skrót, który często więcej zasłania, niż wyjaśnia.

Nawet tu, w Boliwii, mówienie o jednej religijności prowadzi na manowce. Czym innym jest świat andyjski, z kulturami keczua i ajmara, gdzie katolicyzm od stuleci spotyka się z przedchrześcijańskimi sposobami rozumienia świata, czym innym boliwijskie Oriente – Santa Cruz lub moje Guarayos w Amazonii. Jeszcze inaczej przeżywa się wiarę na południu, w okolicach Tarija, gdzie krajobraz, klimat, wino i temperament ludzi przywołują na myśl Andaluzję. A przecież to tylko jeden kraj.

Dlatego kiedy ktoś pyta mnie, jaki jest Kościół Ameryki Łacińskiej, sam odpowiadam pytaniem: który? Tej różnorodności warto się przyjrzeć. Sięgając nawet dalej niż zasięg papieskiej pielgrzymki.

Nie tylko katolicy

Urugwaj jest interesujący właśnie dlatego, że burzy europejskie wyobrażenie o Ameryce Łacińskiej jako naturalnie katolickiej. To jedno z najbardziej zsekularyzowanych państw regionu; katolicy stanowią tam około jednej trzeciej społeczeństwa. Jest to zatem Kościół, któremu niemal obca jest „pobożność ludowa", z którą zwykle utożsamiamy Amerykę Południową. W Urugwaju Kościół uczy się żyć w społeczeństwie, które nie traktuje już katolicyzmu jako oczywistego języka kultury.

Program wizyty pokazuje jednak, że sekularyzacja nie musi oznaczać zaniku Kościoła. Leon XIV odwiedzi Casavalle, jeden z uboższych rejonów Montevideo, spotka się ze środowiskiem akademickim na Uniwersytecie Katolickim, a we Floridzie odprawi mszę w narodowym sanktuarium Virgen de los Treinta y Tres. W mocno zsekularyzowanym kraju nadal istnieją parafie na peryferiach, katolicki uniwersytet, sanktuarium i ludzie, dla których wiara pozostaje językiem życia.

Dobrze, że papieska podróż zaczyna się tutaj: od Kościoła, który nie może już liczyć na siłę przyzwyczajenia.

Teologia ludu

Argentyna pokazuje z kolei, jak niewiele wyjaśnia prosty podział na katolicyzm „postępowy" i „konserwatywny". Jedną z najbardziej wpływowych postaci współczesnego Kościoła argentyńskiego jest kard. Víctor Manuel Fernández, bliski współpracownik Franciszka, mianowany przez niego na prefekta Dykasterii Nauki Wiary (funkcję tę nadal pełni). Fernández mocno podkreśla znaczenie kontekstu, inkulturacji i pobożności ludowej.

Ale Argentyna wydała także ks. Javiera Oliverę Ravasiego, popularnego w konserwatywnych mediach społecznościowych i określającego własną działalność mianem katolickiej „kontrrewolucji kulturowej".

W 2024 r. Ravasi znalazł się w centrum kontrowersji, organizując spotkanie prawicowych posłów ze skazanymi za zbrodnie popełnione podczas dyktatury. Po tych wydarzeniach diecezja Zárate-Campana cofnęła mu pozwolenie na pobyt i posługę na swoim terenie.

eprasa.pl 188c212f72



Mural w Buenos Aires, 3 listopada 2026 r.

LUIS ROBAYO / AFP / EAST NEWS

Nie przywołuję tych dwóch postaci dlatego, że jedna albo druga z nich „reprezentuje" argentyński Kościół. Interesujące jest właśnie to, że obie wywodzą się z tego samego – katolickiego – środowiska.

Argentyna to ojczyzna Franciszka (który jako papież nigdy jej nie odwiedził) i teologii ludu. Księży pracujących w *villas miseria*, ale także silnych środowisk tradycjonalistycznych. Kościoła robotniczych przedmieść Buenos Aires i Kościoła elit. Jest więc kilka katolickich Argentyn żyjących obok siebie, a czasem przeciwko sobie.

Argentyński etap zakończy się mszą w Luján – sanktuarium, którego nie da się oddzielić od religijnej wyobraźni tego narodu. Pobożność ludowa była jednym z kluczy do rozumienia Kościoła przez Franciszka. Leon XIV odwiedza więc nie tylko kraj swojego poprzednika, ale również religijny świat, z którego wyrastała jego teologia.

Teologia wyzwolenia i Opus Dei

Przybywając do Peru, papież Leon XIV wraca do swojej drugiej ojczyzny. Przyjechał tu jako misjonarz, był biskupem Chiclayo i przyjął peruwiańskie obywatelstwo.

Patrząc na program jego wizyty, trudno oprzeć się wrażeniu, że chodzi właśnie o pokazanie różnych twarzy peruwiańskiego katolicyzmu. Jest Lima – wielka metropolia i centrum instytucjonalnego Kościoła. Jest Chiclayo – Kościół, w którym Robert Prevost przestał być amerykańskim misjonarzem przybyłym do Peru, a stał się jednym z jego pasterzy. Jest Cusco, gdzie w Saqsaywaman papież spotka się z przedstawicielami pobożności ludowej, w miejscu, gdzie chrześcijaństwo od pięciu stuleci spotyka się ze światem andyjskim. I jest Pucallpa, gdzie Leon XIV spotka misjonarzy oraz reprezentantów ludów amazońskich.

Jeszcze wyraźniej widać różnorodność, gdy spojrzymy na ostatnie pół ↦

eprasa.pl 188c212f72

↦ wieku Kościoła w Peru. Tu działał Gustavo Gutiérrez, zmarły w 2024 r. dominikanin i jeden z ojców teologii wyzwolenia. Bez względu na spory wokół tego kierunku teologii, nie da się zrozumieć współczesnego katolicyzmu latynoamerykańskiego bez pytań, które postawiło środowisko Gutiérreza: o ubogich, strukturalną niesprawiedliwość, miejsce człowieka z peryferii i o to, czy ubogi jest jedynie odbiorcą dobroczynności, czy również podmiotem życia Kościoła.

Ale Peru Gutiérreza było równocześnie Peru kard. Juana Luisa Cipriani z Opus Dei, który kierował archidiecezją Limy do 2019 r. Pamiętam Limę z jego czasów: kleryków i księży w sutannach i sztywnych koloratkach, kościelną dyscyplinę i styl, który trudno było nie zauważyć przyjezdnemu z innych części Ameryki Łacińskiej. Historia jego posługi miała przykry epilog. W 2025 r. Stolica Apostolska potwierdziła – po doniesieniach medialnych – że już sześć lat wcześniej nałożyła na kardynała środki dyscyplinarne w związku z oskarżeniami o wykorzystywanie seksualne – w 1983 r. – osoby nieletniej (sam kardynał odrzuca te oskarżenia).

W 2019 r. następcą Ciprianiego został Carlos Castillo Mattasoglio, dziś również kardynał, ale reprezentujący inny styl kościelny i teologiczny. Wieloletni profesor Papieskiego Uniwersytetu Katolickiego w Peru, związany z latynoamerykańską teologią wyzwolenia, mocno akcentuje Kościół ubogich, potrzebę słuchania, dialog i społeczną odpowiedzialność chrześcijaństwa.

Zmianę stylu dobrze pokazał głośny spór z 2025 r. wokół przygotowywanego na katolickim uniwersytecie spektaklu „María Maricón” (co można przetłumaczyć jako „Maryja Lesbijka”), podejmującego temat religii i osób LGBT. Protesty części katolików doprowadziły do odroczenia przedstawienia, ale Castillo, jako wielki kanclerz uczelni, nie używał w dyskusji języka potępienia. Mówił o potrzebie dialogu, rozeznania i poszanowania katolickiej tożsamości uniwersytetu, podkreślając, że decyzja o wstrzymaniu spektaklu nie jest aktem cenzury.

Kraina kontrastów

Odchodząc od listy krajów, które odwiedzi Leon XIV, spójrzmy na sytuację Kościoła jeszcze w trzech innych, bez których nie sposób pisać o katolicyzmie latynoamerykańskim. Pominę Brazylię i Meksyk – ze względu na ich wielkość i specyfikę należałoby poświęcić im więcej miejsca, co pewnie uda się w przyszłości (zwłaszcza że ten drugi kraj znalazł się już w planach papieskich podróży, choć jeszcze bez wyznaczonej daty).

Pytanie, czy biskup albo ksiądz jest „konserwatywny” czy „progresywny”, ma w Ameryce Łacińskiej znaczenie drugorzędne. **Lepiej pytać, jak traktuje innych.**

Zacznijmy od Kolumbii. Choćby dlatego, że w Bogocie znajduje się siedziba CELAM – instytucji, która od dziesięcioleci jest jednym z najważniejszych miejsc myślenia o Kościele na tym kontynencie.

CELAM jest ciekawym doświadczeniem. Człowiek przyjeżdża tam rozmawiać o ubogich, peryferiach, ludach tubylczych, sprawiedliwości społecznej i Kościele synodalnym, po czym wieczorem zapraszany jest na kolację do dobrej i drogiej restauracji w Bogocie.

Pamiętam ten kontrast. Widzę w nim napięcie wpisane w katolicyzm kontynentu.

Kolumbia jest krajem wielkich fortun i dzielnic nędzy, elit i społeczności żyjących na marginesie państwa, przemocy i niezwykłej solidarności. Przez lata świat patrzył na nią przede wszystkim przez historię Pabla Escobara, twórcy narkotykowego imperium, odpowiedzialnego za terror i śmierć tysięcy ludzi, które jednocześnie rzuciło wyzwanie samemu państwu, finansując mieszkania i boiska w ubogich dzielnicach. Jego historia to opowieść o przemocy, słabości państwa i ogromnych nierównościach społecznych, które splatają się z lojalnością lokalnych społeczności.

Kościół jest częścią tej rzeczywistości. Spotykają się w nim teologowie mówiący językiem społecznego zaangażowania, księża pracujący w miejscach naznaczonych przemocą partyzantki i karteli, a równocześnie potężne instytucje i uniwersytety dysponujące znacznymi środkami.

Wyczerpany kredyt

Chile znam przede wszystkim przez ludzi: franciszkańskich współbraci, ale także przez przyjaźń z Victorią, franciszkańską tercjarką mocno zaangażowaną w życie Kościoła, która otwarcie mówi o tym, że jest lesbijką. Jej historia pozwoliła mi zobaczyć chilijski katolicyzm od strony mniej widocznej w oficjalnych dokumentach: ludzi głęboko związanych z Kościołem, a jednocześnie zmagających się z pytaniem o własne miejsce w jego wspólnocie.

Trudno jednak mówić o współczesnym Kościele w Chile bez wspomnienia kryzysu, który głęboko podważył jego społeczną wiarygodność. Skandale związane z wykorzystywaniem seksualnym oraz sposobem reagowania na nie przez hierarchię doprowadziły w 2018 r. do sytuacji bez precedensu: po spotkaniu z Franciszkiem w Rzymie wszyscy chilijscy biskupi złożyli swoje urzędy do dyspozycji papieża.

Chile pozostaje pod tym względem ważnym doświadczeniem nie tylko dla Ameryki Łacińskiej. Kościół może posiadać długą historię, szkoły, uniwersytety, seminaria i rozbudowane struktury, a mimo to w krótkim czasie utracić coś znacznie trudniejszego do odbudowania niż instytucje: zaufanie ludzi.

Boliwijskie światy

O Kościele boliwijskim piszę najmniej, paradoksalnie dlatego, że znam go najlepiej. Żyję wewnątrz jego sporów, znam ludzi, zależności i historie, których nie da się uczciwie streścić w kilku akapitach.

Boliwia nauczyła mnie jednak czegoś, co później odnajdywałem w innych krajach: geografia kraju potrafi być również geografią Kościoła. Inaczej wygląda katolicyzm wysoko w Andach, inaczej w szybko rozwijającym się Santa Cruz, jeszcze inaczej w moim Guarayos i Amazonii. Nie wystarczy zmienić diecezję. Czasem trzeba zmienić język, sposób myślenia, duszpasterskie przyzwyczajenia i własne wyobrażenie o tym, co jest „normalnym” katolicyzmem. Z czasem przestaje się ufać prostym etykietom.

Poza prawicą i lewicą

Europejczycy często próbują patrzeć na Kościół Ameryki Łacińskiej według dobrze znanego sobie schematu:

eprasa.pl 188c212f72

konserwatyści kontra progresiści. Ta oś istnieje, ale zdecydowanie nie wystarcza, aby zrozumieć tutejszą rzeczywistość.

Można spotkać biskupa bardzo konserwatywnego doktrynalnie, który całe życie poświęca ubogim i ludom tubylczym. Można natrafić na księdza mówiącego językiem teologii wyzwolenia, którego sposób sprawowania władzy we własnej wspólnocie jest daleki od wyzwalającego. Można też znaleźć tradycyjną pobożność maryjną połączoną z ogromnym zaangażowaniem społecznym.

Pytanie, czy biskup, ksiądz albo świecki katolik jest „konserwatywny" czy „progresywny", ma w tej rzeczywistości całkowicie drugorzędne znaczenie. Bardziej warto pytać, jak ta osoba traktuje innych – ubogich, wykluczonych, imigrantów. Jak sprawuje władzę. Czy potrafi słuchać. Czy żyje tym, co głosi.

Być może dlatego Ameryka Łacińska jest tak fascynującym laboratorium katolicyzmu XXI wieku.

Powrót do korzeni

Dla mnie osobiście listopadowa podróż Leona XIV będzie miała szczególny charakter także ze względu na wizytę papieża w Pucallpie, gdzie spotka się z misjonarzami i przedstawicielami ludów amazońskich.

Przez stulecia przyzwyczailiśmy się w Europie do myślenia, że centrum Kościoła znajduje się u nas, a reszta świata jest terenem misyjnym. To my wysyłaliśmy księży, pieniądze i modele duszpasterskie. Ten sposób myślenia o misjach już się kończy. Dawne Kościoły misyjne coraz częściej same wysyłają misjonarzy, także do Europy. Amazonia nie jest już jedynie egzotycznym tłem papieskiej podróży, lecz jednym z podmiotów Kościoła.

Nie oznacza to, że Ameryka Łacińska jest katolickim rajem, który uratuje stary kontynent. Także tutaj występują kryzys powołań, skandale, rozwój wspólnot pentekostalnych, odpływ wiernych i utrata zaufania do instytucji. Kościół bywa uwikłany w politykę, pieniądze i lokalne układy nie mniej niż w Europie.

Po prawie szesnastu latach w Boliwii coraz trudniej jest mi jednak mówić o jednym Kościele Ameryki Łacińskiej. Widzę tutaj Indianina w Andach przynoszącego na święto patronalne to, co jego przodkowie ofiarowywali lokalnemu bóstwu, księdza w koloratce w Limie i sanktuaria pełne pielgrzymów obok wielkich miast, w których kolejne pokolenia młodych ludzi nie zaprzątają sobie głowy uczestnictwem w niedzielnej mszy.

Wszystko to jest Ameryką Łacińską. Przyjeżdżając tu, Leon XIV będzie przechodził przez kilka różnych światów katolicyzmu. Choć – wiadomo – w Peru powróci do jednego z tych, który jest mu najbliższy.

© KASPER MARIUSZ KAPROŃ OFM

Autor jest franciszkaninem, misjonarzem w boliwijskiej Amazonii (od 2011 r.), doktorem liturgiki. Wykładał na Katolickim Uniwersytecie w Cochabamba w Boliwii. W latach 2012-15 był proboszczem parafii Urubichá w boliwijskim tropiku.

REKLAMA



eprasa.pl 188c212f72

Modlitwa pozytywisty



MAGDALENA KOSTRZEWA-SMRECZAK / MAŁOLIPNICKA RODZINA KOLPINGA

Podczas spotkania Rodzin Kolpinga w Lipnicy Małej

MARCIN TUSIŃSKI

WSPÓLNOTY | Modlitwą nie nakarmisz głodnego – mawiał Adolf Kolping. Dlatego postawił na działalność wspierającą szkolenia zawodowe i samopomoc. Dziś Rodzina Kolpingowska to spora katolicka wspólnota, w której wcale nie trzeba być katolikiem.

Budynek dworca kolejowego w Makowie Podhalańskim pamięta czasy Franciszka Józefa. Bożena Wojdyła wita mnie w jego progach i zdecydowanym gestem zaprasza do biura. Podając szklankę wody, od razu skraca dystans. Dowiaduję się, że ma ponad czterdzieści lat małżeńskiego stażu, sześcioro dzieci, dziesięcioro wnuków, kilka dekad pracy w księgowości i kilkanaście lat w Rodzinie Kolpinga – tu, w Makowie Podhalańskim, i w krakowskiej centrali.

Opowieść kończy, prowadząc mnie do dużej, jasnej sali pełnej ludzi pochylonych nad książkami do kolorowania. Atmosfera jak na towarzyskim spotkaniu: flirty, śmiechy, gwar. A warunki jak w sanatorium: – Przychodzą tu osoby starsze, samotne, chore – tłumaczy.

Świetlica na dworcu

Pan Józef ceni świetlicę za przytulność. Lubi przychodzić, by poczytać. Panie Wanda i Czesława miło wspominają niedawną wycieczkę do Zakopanego i ubiegłoroczną „Senioriadę” – jednodniowe wydarzenie integracyjno-profilaktyczne pod egidą Rady Seniorów, gminy Maków i Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Co roku w listopadzie przyciąga kilkaset osób w podeszłym wieku. – To jest ich wielkie święto, a nasz mały sukces – mówi pani Bożena.

Wojdyła chciała realizować swoją wiarę w inny sposób niż tylko poprzez modlitwę. Gdy w 1994 r. ks. Kazimierz Hoła założył w Makowie Rodzinę Kolpinga, od razu dołączyła. Dziś jest skarbniczką Zarządu Stowarzyszenia w Polsce.

– Ksiądz Hoła msze miał raczej nudne, ale za to potrafił nas przekonać do działania – wspomina pani Bożena. Od tamtej pory w Makowie powstały: Klub Seniora, świetlica środowiskowa dla dzieci i Kolpingowska Droga Refleksji. Kamienne tablice z cytatami duchowych przewodników ruchu rozsypane są po całym miasteczku: „Od rodziny przyjdzie odnowienie świata”, „Na wierze w Boga opiera się nasze życie”, „Modlił się pracą – pracował modlitwą”.

– Był trochę jak Stach Wokulski – dodaje Wojdyła, nawiązując do niedawnej wycieczki z Klubem Seniora do kina na „Lalkę”. Praca u podstaw, sprawczość, kształcenie – to z pewnością wartości, pod którymi podpisaliby się i Prus, i Kolping.

Wikary z Elberfeldu

Pomysł na tworzenie niezależnych stowarzyszeń działających na rzecz społeczności lokalnych zrodził się w pierwszej połowie XIX w. w Elberfeld w północno-zachodnich Niemczech. Ksiądz Adolf Kolping pracował tam jako wikariusz. Sam wyrósł z biedy, dlatego był wyjątkowo wrażliwy na los rzemieślników dotkniętych skutkami industrializacji.

– Doskonale rozumiał, jak trudne dla ludzi, którzy w wieku 15, 16 lat zmuszeni są rozpoczynać życie na własną rękę, jest wyjście z domu, często w bezdomność i na granicę ubóstwa – mówi Monika Dąbrowska, specjalistka ds. komunikacji i promocji Kolping Polska, współtwórczyni Rodziny Kolpinga „Jeden Świat” w Krakowie. – Ksiądz Kolping tworzył ośrodki, w których młodzi mogli zaznać ciepła rodzinnego. Pomagał im w przekwalifikowaniu, wykształceniu i znajdowaniu pracy. Pomagał młodym rzemieślnikom, ale też formował ich duchowo – tłumaczy Dąbrowska.

Konglomerat Gesellenvereine, czyli stowarzyszeń młodych czeladników, z których zrodziły się dzisiejsze Rodziny Kolpinga, rozprzestrzeniał się pod ręką duchownego w szybkim tempie. Do śmierci założyciela w 1865 r. powstało w Niemczech 418 wspólnot. Śmierci przedwczesnej – dodajmy – bo zmarł w wieku zaledwie 51 lat. Opłakiwało go ponad 25 tys. beneficjentów jego dzieła.

Weź dziecko do lasu

Na polanie Lasu Wolskiego w Krakowie stoi grupka ludzi: kobiety z dziećmi, paru mężczyzn. Pod stopami miękkie runo, wokół zapach jesieni i cisza. Wszyscy w skupieniu „wdychają las”.

eprasa.pl 188c212f72

Dzieło Kolpinga

obejmuje działalnością ponad 60 krajów w Europie, Azji, Afryce i obu Amerykach, tworząc sieć ponad 9 tys. grup, nazywanych Rodzinami, które zrzeszają niemal pół miliona osób. Działalność organizacji skupia się na projektach społecznych: pomocy w zdobywaniu kwalifikacji zawodowych (jak u zarania ruchu), szkoleniu dla rolników, budowie studni w Tanzanii, udzielaniu mikrokredytów na start dla małych biznesów w krajach rozwijających się (w jednej tylko Argentynie Dzieło udzieliło już 35 tys. mikrokredytów). Wskaźnik spłat przy tego rodzaju pomocy wynosi 98 proc. W Polsce idea ks. Adolfa Kolpinga była znana już przed wojną (realizowały ją Towarzystwa Czeladników Katolickich), ale ich działalność nie przetrwała czasów komunizmu. W 1990 r. ks. prof. Kazimierz Hoła reaktywował Rodziny Kolpinga w Stanisławiu Dolnym koło Kalwarii Zebrzydowskiej. Związek Centralny Dzieła Kolpinga stworzono w 1996 r. Trzydziestolecie jego istnienia świętuje w naszym kraju blisko czterdzieści wspólnot.



PATRYCJA KWAPIK / RODZINA KOLPINGA „JEDEN ŚWIAT"

Jesienna kąpiel leśna dla rodzin z nastolatkami organizowana przez Rodzinę Kolpinga „Jeden Świat"



JÓZEF SIKORSKI / KOLPING POLSKA

Wolontariusze KOLPING Polska podczas przygotowania transportu z pomocą humanitarną na Ukrainę

– Antoś reguluje podczas tych spacerów emocje, uspokaja się – mówi Agata Markowicz, pedagożka specjalna i nauczycielka wspomagająca, matka samotnie wychowująca syna ze spektrum autyzmu. – To taka nasza wspólna naturoterapia. Nikt go tu nie ocenia, nie mówi, że ma siedzieć w miejscu i nie zadawać pytań. Ja też przy tym odpoczywam – opowiada.

Kampania społeczna „Weź dziecko do lasu", rodzinne spacery i warsztaty uważności w naturze to dzieło krakowskiej Rodziny Kolpinga o nazwie „Jeden Świat". Jej powstanie zainicjowały trzy przyjaciółki – Magdalena Szczudło, Monika Dąbrowska i Patrycja Kwapik, które wraz z kilkoma innymi osobami postanowiły zrobić coś dla młodych.

– Widzimy, że ludzie czują się dziś samotni nawet we własnych rodzinach. Problemy psychiczne pogłębiają się już wśród dzieci i nastolatków. Dlatego zabieramy rodziców z pociechami na zajęcia w naturze, po których wszyscy wychodzą bardziej uważni na siebie – mówi Dąbrowska. – Ja sama przeszłam raka, jestem po leczeniu onkologicznym. Spacery do lasu pomagały mi w procesie leczenia, żeby się nie załamać – kończy.

Trzy dekady bez narzekania

Każde kolpingowskie stowarzyszenie prowadzi działania niezależnie od centrali. Prezesem zawsze jest duchowny, który pilnuje, by działania organizacji były zgodne z katolicką nauką społeczną i ideami założyciela, a także sprawuje opiekę duszpasterską nad wspólnotą. Za bieżącą, praktyczną i administracyjną działalność stowarzyszenia, w tym zarządzanie projektami, odpowiada przewodniczący, który jest zawsze osobą świecką.

Wyobrażam sobie, że trzy dekady działalności rodzin kolpingowskich w Polsce nie były łatwe. Ale kiedy pytam o to moje rozmówczynie, żadna się nie skarży, choć domyślam się, że utarczki z lokalnymi samorządami, walka o fundusze na utrzymanie świetlic środowiskowych, pisanie w nieskończoność wniosków o granty – to wszystko musi je wiele kosztować. Mówią, że to po prostu ich codzienność. I śmieją się, że najwięcej energii kosztuje ich przekonywanie ludzi do niemieckiej organizacji założonej przez księdza, który miał na imię Adolf.

Jak pomóc samopomocy

Kolping stawiał nie tyle na dobroczynność, co na kształcenie, formację i samodzielność. Ta zasada obowiązuje też w samym stowarzyszeniu: centrala z Niemiec wspiera oddolne inicjatywy, ↦

eprasa.pl 188c212f72

↦ ale tylko przez pewien czas. Forma wsparcia ustalana jest indywidualnie. Po kilku latach nowo powstałe wspólnoty muszą radzić sobie same.

Profile działalności stowarzyszeń bardzo się różnią. Od grup modlitewnych, przez pomoc dla imigrantów i wspieranie społeczności krajów rozwijających się, po pracę z seniorami czy aktywizację zawodową zagrożonych wykluczeniem społecznym – projekty powstają w odpowiedzi na potrzeby danej społeczności.

Patrycja Kwapik, przewodnicząca Kolping Europa, wspiera działania Rodziny w dwudziestu krajach na naszym kontynencie.

– Mam przyjaciół w Ukrainie. Bardzo bliskich, takich, że sprawdzam w nocy, czy wszystko u nich w porządku – mówi Patrycja. Ukraiński Kolping pod wodzą Wasyla Sawki prowadzi m.in. kuchnię społeczną w Czerniowcach, centrum dla osób z niepełnosprawnościami w Szarogrodzie i kursy dla specjalistów w zakresie terapii traumy. Pomaga im polski Kolping – transport darów koordynują ludzie z krakowskiego „Jednego Świata".

Ale jeżdżą nie tylko do Ukrainy. Także do Serbii, odwiedzić prowadzone przez Rodzinę Kolpinga hodowle pszczół. Potem gościli serbskich pszczelarzy w Krakowie, pokazywali im miejskie pasieki. W Rumunii przedstawiciele Kolping Polska uczestniczyli w seminariach o ochronie dzikiej przyrody. – To jest odpowiedź na maksymę naszego założyciela: „czasy wam pokażą, co należy czynić" – tłumaczy Kwapik.

Połączenia neuronowe

Dom Kolpinga w Krakowie mieści się w niepozornej kamienicy przy ul. Żuławskiej 51 w dzielnicy Prądnik Czerwony. Są tu pokoje na wynajem oraz mnóstwo biur, gabinetów i sal zajęciowych. Karyna Worona wita mnie ubrana w luźny dres i buty do biegania. Prowadzi przez labirynty korytarzy. Po drodze spotykamy same kobiety. Karyna tłumaczy, że aż do połowy XX w. Kolping był męską organizacją. Dziś kobiet jest dużo więcej niż mężczyzn. Także w zarządzie.

Karyna pochodzi z Chersonia. Przyjechała do Polski w 2018 r. studiować matematykę na Politechnice Krakowskiej. Z początkiem wojny ściągnęła tu rodzinę. Po stażu w Kolpingu zaczęła pracę jako tłumaczka oraz w projektach wspierających aktywizację zawodową. – Pomagamy imigrantom, osobom wykluczonym czy z niepełnosprawnościami poprzez szkolenia zawodowe i organizację staży w polskich firmach – mówi Monika Dąbrowska. – Staramy się zagwarantować im trwałe zatrudnienie po ukończeniu nauki – dodaje. Niektórzy z beneficjentów szkoleń pomagają później następnym uczestnikom.

BOŻENA WOJDYŁA:

Kościół nie rozumiał, że wiernym często bardziej niż modlitwa potrzebny był chleb. Część duchowieństwa stała i wciąż stoi obok problemów zwykłych ludzi. Kolping zaczął je rozwiązywać.

Tak jak Reisa Kieryłowska z Mołdawii. Spotkałem ją na warsztatach rysunku, które prowadzi. W jasnej sali, przy wielkim stole gromadka kobiet, głównie z Ukrainy, szkicuje drzewa i kręgi. Pachnie kawą, na stole porozrzucane kredki. Poprzez ćwiczenia rysunkowe, których uczy Reisa, uczestniczki i uczestnicy projektu trenują mózg w tworzeniu nowych połączeń neuronowych. Przysiadłem się do nich i dobrą godzinę bazgrałem po kartce. Nie wiem, czy wytworzyły mi się nowe połączenia neuronowe, ale na pewno zrozumiałem, jak bardzo takie chwile beztroski potrzebne są osobom w trudnej życiowo sytuacji: w nowym kraju, w obliczu samotności i lęku o to, co tutaj, i o bliskich, którzy zostali tam.

Modlitwa pracą

Ks. Jan Nowakowski z Bochni opowiada mi o działalności tamtejszej Rodziny. – Najpierw prowadziliśmy bezpłatną poradnię prawną. Ściągali do nas ludzie z całego powiatu bocheńskiego. Uczyliśmy też starszych posługiwania się internetem. Teraz prowadzimy Kluby Seniora. Realizujemy to, co o Kolpingu powiedział Jan Paweł II: modlimy się pracą, pracujemy modlitwą – tłumaczy.

Dzieło Kolpinga jest organizacją katolicką, ale nie trzeba być katolikiem, żeby do niej przystąpić. Trudno zresztą wyczuć, ile jest w tym religii, a ile społecznikostwa. Każda moja rozmowa szybko schodzi na działalność społeczną, nawet gdy zaczynam pytać o wartości i praktyki duchowe.

Za to też spotyka ich krytyka, choć trzeba przyznać, że nie ma jej wiele. Najsurowszą, z jaką się spotkałem, sformułował Eugen Abler, wieloletni przewodniczący Dzieła Kolpinga w diecezji Rottenburg-Stuttgart, który kilka lat temu skrytykował Zgromadzenie Federalne Kolpingwerk Deutschland za liberalizację programu. Na łamach „Christliches Forum" zarzucał organizacji, że „otwiera się na niechrześcijan" i „poszerza obraz rodziny", uznając i szanując „każdy rodzaj formy życia i modelu rodziny". Odnosząc się do związków osób tej samej płci, napisał: „Pochwalając takie postępowanie, Kolpingwerk akceptuje grzech". Zmiany w programie wprowadzono, ale Abler nie odszedł z organizacji, której poświęcił ponad pół wieku pracy. „Ksiądz Kolping jest nadal moim wzorem" – powiedział.

Wyrwać z bezczynności

Założyciel nauczał niemieckich czeladników, że nie da się rozwiązywać ich problemów poprzez niechęć do fabrykantów, która z czasem rośnie w nienawiść, lecz poprzez branie odpowiedzialności za własną sytuację. – Wyraźnie odcinał się od polaryzacji i podkreślał najważniejszą prawdę Ewangelii, że miłość bliźniego prowadzi do zbawienia – tłumaczy ksiądz Nowakowski.

Bożena Wojdyła dodaje, że podczas beatyfikacji w 1991 r. Jan Paweł II nazwał Kolpinga „prekursorem i poprzednikiem wielkich papieskich encyklik społecznych", który „próbował wyrwać chrześcijan z bezczynności i przypomnieć im o odpowiedzialności za świat".

– Kościół nie rozumiał, że wiernym często bardziej niż modlitwa potrzebny był chleb. Część duchowieństwa stała i wciąż stoi obok problemów zwykłych ludzi. Kolping zaczął rozwiązywać ich faktyczne problemy – mówi Wojdyła. I dodaje, że praca w Kolpingu nie przynosi specjalnych profitów. – Ale za to mamy z niej wewnętrzną satysfakcję. I radość – dodaje. – Gdyby wiara nie sprawiała radości, nie miałaby sensu – kończy z uśmiechem.

© MARCIN TUSIŃSKI

eprasa.pl 188c212f72

Kartka w podszewce

WOJCIECH ZALEWSKI

FILOZOFIA | Dlaczego jeden z największych umysłów XVII wieku przyznał rację sercu, a nie rozumowi? I co mógłby nam dziś powiedzieć o sztucznej inteligencji?

Przez osiem lat, aż do śmierci, nosił zaszytą w podszewce płaszcza kartkę. Zapisał na niej słowa: „OGIEŃ / Bóg Abrahama, Bóg Izaaka, Bóg Jakuba / A nie filozofów i uczonych / Pewność. Pewność. Uczucie. Radość. Pokój". Uczynił to w nocy z 23 na 24 listopada 1654 r.

Blaise Pascal. W dyskusjach nad przyszłością sztucznej inteligencji, jej ograniczeniami, oczekiwaniami i nadziejami warto do niego wrócić. Pewnie nie należałby do grona jej entuzjastów. Widzę go raczej jako punkt oparcia dla umiarkowanego entuzjazmu, jeśli nie sceptycyzmu, wobec zjawiska, które rodzi się na naszych oczach.

Pascal nie był wrogiem liczenia. Aż do pamiętnej nocy pokładał całą nadzieję w matematyce. Należał do najwybitniejszych w tamtym czasie jej przedstawicieli. Był też konstruktorem pierwszej maszyny liczącej. Dlatego dobrze wiedział, jakie ona ma ograniczenia. Prawdziwe myślenie zaczynało się dla niego dokładnie w miejscu, w którym kończą się kompetencje zmatematyzowanego rozumu.



MARY EVANS PICTURE LIBRARY / EAST NEWS

12-letni Blaise Pascal rozwiązujący działania matematyczne (rycina z XIX w.)

Zderzenie ze śmiercią

Wyższa matematyka, fizyka, zagadnienia inżynieryjne i wszystko, co związane ze skomplikowanymi problemami nauki, były jego chlebem powszednim. Sformułował prawo fizyczne, noszące dziś jego imię, przedstawił też teoretyczną koncepcję prasy hydraulicznej, a także położył podstawy pod rachunek prawdopodobieństwa. Krótko mówiąc, był kochającym naukę racjonalistą. Od młodości zmagał się z chorobami, które towarzyszyły mu do końca niespełna czterdziestoletniego życia. Kruchość ciała, fizyczne bóle, ograniczenia z nimi związane sprawiły, że nie tyle żył w czymś, co można nazwać głębokim, religijnym przejęciem, ale – by tak to ująć – zaczął dostrzegać, że ten wymiar istnieje i jest dla człowieka ważny, nieobojętny. W praktyce codzienności jednak nienajważniejszy; taka myśl pojawi się w jego głowie nieco później. Tymczasem życie upływało mu na twórczej pracy i względnej beztrosce.

Gdy miał dwadzieścia osiem lat, wszystko uległo zmianie; wówczas umarł mu ukochany ojciec – przyjaciel i mentor, od wczesnej młodości wprowadzający go w świat nauki. To wtedy opuściła go radość tworzenia, na jej miejsce pojawił się smutek i żal, jeśli nie rozpacz i depresja. Nie radząc sobie z żałobą, Pascal szukał przez jakiś czas pociechy w rozrywce.

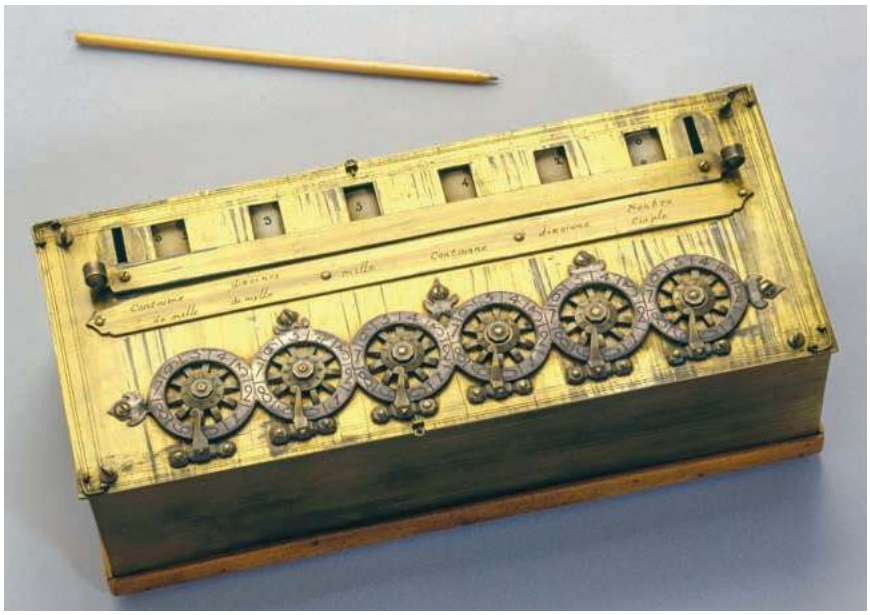
Trzy lata po śmierci rodzica sam otarł się o śmierć: kareta, którą jechał, miała podobno przewrócić się na moście, tuż nad przepaścią. Z wypadku wyszedł bez szwanku. Przynajmniej fizycznie, bo psychicznie był zdruzgotany.

Noc ognia

W nocy z 23 na 24 listopada 1654 r., mając trzydzieści jeden lat, zanotował na kartce wspomniane powyżej słowa, owoc niemal mistycznego przeżycia. Tej właśnie nocy umarł w nim naukowiec, a narodził się myśliciel.

Nie porzucił jednak rozumu, co często zdarza się ludziom o neofickim zapale. Przeciwnie, jego pasja poznawcza, dotychczas z takim powodzeniem realizowana na gruncie „twardej" nauki, przeszła w inny, egzystencjalnie pogłębiony wymiar. Owocem tego drugiego okresu jego życia jest arcydzieło filozoficzno-literackie, przybliżone polskim odbiorcom przez Tadeusza Boya-Żeleńskiego pod wymownym tytułem „Myśli". ↦

eprasa.pl 188c212f72



SSPL / GETTY IMAGES

Replika maszyny liczącej, którą 19-letni Pascal skonstruował dla swego ojca w 1642 r.

↦ To na kartach tej książki pojawiła się oryginalna koncepcja człowieka jako istoty wewnętrznie rozdartej, zawierającej w sobie sprzeczne nurty i pragnienia. Istoty dostrzegającej w życiu raczej chaos niż porządek, nieustannie rozważającej owe „z jednej strony" i „z drugiej strony". I jeszcze z czwartej, piątej – w nieskończoność... I, co najważniejsze, mającej przy tym świadomość braku syntezy, ugrzeczniającego wyjaśnienia, jednoznacznej konkluzji.

W takim obrazie świata pojawia się możliwość wiary. Lecz uwaga: autor „Myśli" zdawał sobie sprawę, że nie jest ona prostym remedium na strach przed śmiercią, łagodnym okładem uśmierzającym ból straty; bynajmniej nie czyni to z niej zarazem aktu bezrozumnego szaleństwa. Przeciwnie, wiara w jego pojęciu otwiera myślenie na szersze horyzonty, stanowiąc wyzwanie dla rozumu, nie zaś jego negację.

W istocie, rozum zostaje przez wiarę wyzwolony, wyswobodzony spod dyktatu konieczności. Jej symbolem jest nie co innego jak pozostająca szkieletem AI matematyka, to znaczy „żelazność" najszerzej pojmowanych relacji dodawania, odejmowania, mnożenia, dzielenia; swoista obsesja ilości i ścisłości. Czy mamy zatem matematykę, tak symbolicznie rozumianą, odrzucić w imię jakiegoś tajemniczego „wyższego pojęcia" rozumu?

Serce i geometria

Pascal rozróżniał dwa style myślenia: ducha geometrii i ducha subtelności. Pierwszy wyprowadza wnioski z jasno określonych zasad. Drugi ogarnia rzecz całą naraz i nie rozkłada jej na kolejne czynniki. Ten drugi styl to nieredukowalna do relacji liczbowych intuicja, przebłysk pewności rodzący się w człowieku w chwili pochłaniającego go, nierozwiązywalnego splotu okoliczności. Swoiście „wlana" wiedza, wynikająca z doświadczenia troskliwej bliskości drugiej osoby. Czy nie doświadcza czegoś takiego ktoś zakochany? Albo odkrywający w drugim przyjaciela? Lub dostrzegający we własnym dziecku samego siebie, a jednocześnie odrębnego, wolnego człowieka? Takich wydarzeń nie da się rozebrać na czynniki pierwsze w toku zdystansowanej analizy.

Myślenie to znacznie więcej niż rachowanie i moc obliczeniowa. Wyrasta z zachwytu i zadziwienia, obejmuje całego człowieka, nie tylko jego mózg, ale o ileż bardziej wolę, jego „chcenie" i „niechcenie". Jak zauważa filozof: „serce ma swoje racje, których rozum nie zna". Sercu, najgłębiej rozumianemu uczuciu, została udzielona prawda życia. Ono jest pierwsze. Ono, według Pascala, poznaje zasady, od których rozum dopiero może zacząć rozumować. Dla niego nie ma rzeczy niemożliwych – z jego perspektywy nawet śmierć nie może być końcem.

Tu rozpoczyna się wiara rehabilitująca to, co z perspektywy „czystego rozumu" pozostaje dziecinadą. Dostrzega ona w Bogu jedyną poważną odpowiedź na poczucie braku i egzystencjalnego bezsensu. Czy mamy więc odrzucić matematykę? Oczywiście nie. Ale winniśmy nadać jej i wszystkiemu, co z nią związane, miarę niepodlegającą ścisłym rygorom.

Śmiech, płacz, radość, współczucie należą do człowieka, są przez niego myślane i rozważane, ale nie podług zasad algorytmiki. Dlaczego? Bo chodzi o życie, jego uzasadnienie i, mówiąc patetycznie, ocalenie przed nicością. O odpowiedź na zło, cierpienie, stratę. Sztuczna inteligencja nic o tym jednak nie wie, bo niby skąd?

Człowiek wobec maszyn

Pascal, jako zwolennik rozwoju i rzetelnej wiedzy, ceniłby zapewne sztuczną inteligencję jako pomoc i usprawnienie. Nie zgodziłby się jednak, by miała nas wyręczać w rozstrzyganiu dylematów czy wyznaczaniu życiowych celów. I dzisiaj, śmiem twierdzić, ten wielki umysł przestrzega nas, byśmy nie pokładali zbyt wielkich oczekiwań w nauce, którą skądinąd kochał i rozumiał. Gdy ta staje się dla nas wyrocznią i redukujemy całą prawdę o życiu do jej wyników, wpadamy w powierzchowność. Coraz rzadziej sięgamy do poezji, literatury, sztuki, tracąc do nich zaufanie jako pełnoprawnych głosów w debacie intelektualnej. Czyż nie tracimy przez to najważniejszego?

Pascal pokazał, że egzystencjalne dylematy, w tym wiara religijna, nie są wyjęte spod krytyki i jak wszystko muszą liczyć się z logiką. Ale taką, która nie jest beznamiętnym przerzucaniem znaków i twierdzeń. Logiką serca, która mówi: osoba jest ważniejsza niż rzecz, człowiek niż maszyna. To nie sucha teoria, a przeciwnie, żywa myśl głosząca, że ostatecznie liczy się tylko jedno: odporne na stratę bycie jeden przy drugim; dobroć, w rozpoznaniu Pascala tożsama z wiarą w Boga-człowieka, Chrystusa.

A bezkrytycznie traktowana, huraoptymistycznie przyjmowana sztuczna inteligencja? Czy nie definiuje nas czasem odwrotnie? Pascal z miłości do ojca zbudował maszynę liczącą. A potem zrozumiał, że nie ona, ale właśnie miłość rozstrzyga, co w życiu tak naprawdę się liczy.

© WOJCIECH ZALEWSKI

Autor jest filozofem, eseistą, doktorem nauk humanistycznych. Absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego, obecnie związany z VIII Prywatnym Akademickim Liceum Ogólnokształcącym w Krakowie. Wydał książki „Eseje filozoficzne" (2023) oraz „Na przekór wszystkiemu. O nadziei na radykalną wolność" (2026).

eprasa.pl 188c212f72

O. WACŁAW

Oszajca: *Wzór dla Kościoła*



„Kto znajdzie dzielną kobietę?”. Takim pytaniem rozpoczyna się lektura mszalna przedostatniej niedzieli roku liturgicznego. Odpowiedź narzuca się sama – Maryja, matka Jezusa i żona Józefa, mieszkanka Nazaretu. Jak wyglądało ich życie, możemy łatwo sobie wyobrazić dzięki wykopaliskom archeologicznym. Dzisiaj też w niektórych regionach świata ludzie żyją w podobnych warunkach. Jezus, Maryja i Józef najprawdopodobniej żyli w pomieszczeniach składających się z części wyżłobionej w zboczu wzgórza i drugiej, dobudowanej na zewnątrz. Żadna sielanka, twarda powszedniość. Piękno? W nich, w ich codziennym zmaganiu się o to samo, o co również dzisiaj zmagają się wszyscy sprawiedliwi ludzie. Żadnych cudów, których pełno w apokryfach, w realu sześć dni pracy i jeden szabat.

Dlatego możemy do Maryi, ale i do Józefa i Jezusa, odnieść wspomnianą lekcję z Księgi Przysłów, której autor tak charakteryzuje ową dzielną kobietę: „Gdy jeszcze jest noc, ona już wstaje, rozdziela żywność swym domownikom i to, co się należy służącym”. Oczywiście Maryja służących nie miała. Jeśli już, to sama robiła za służącą, pomagając krewniaczce w ostatnich tygodniach ciąży. Chcąc w porę nakarmić domowników, musiała wstać z łóżka grubo przed nimi i kłaść się później od nich. A gdy Syn i mąż już do roboty poszli – żeby żyć, musieli zarobić – ona nie oddaje się wyrafinowanym medytacjom, dalekim od codziennych obowiązków, ale „czuwa nad swym domem [i] nie jada chleba lenistwa (...) swoją dłoń wyciąga do ubogiego, i biedakowi podaje rękę”. W ten sposób Maryja „chodzi drogami, które Bóg wskazuje”, czyli „cześć Mu oddaje”.

Dlatego, co prawda od niedawna, Matkę Chrystusa nazywamy pierwszą chrześcijanką, uczennicą Jezusa, upostaciowaniem Kościoła. A to znaczy, że styl życia Maryi powinien być stylem życia Kościoła. Czym się ten sposób myślenia i działania charakteryzuje, mówi Paweł Apostoł: „Nauczyłem się zadowalać tym, co mam. Umiem żyć biednie i bogato. Potrafię dostosować się do każdej sytuacji: i jeść do syta, i głodować, i żyć bogato, i żyć ubogo”. Czyli nie unikać ani Kany Galilejskiej, ani Golgoty. Słowem nie czekać na lepsze czasy, lecz żyć po ludzku tym, co tu i teraz się dzieje, jako że „wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia”. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś: *Odchody*



„To wszystko, co było dla mnie zyskiem, ze względu na Chrystusa uznałem za stratę. I owszem, nawet wszystko uznaję za stratę ze względu na najwyższą wartość poznania Chrystusa Jezusa, mojego Pana” – mówił do nas św. Paweł w liturgii minionego tygodnia (zob. Flp 3, 3-8a). Szkoda, że lekcjonarz ucina jego wypowiedź w tym miejscu. Warto ją przedłużyć choćby o jeden werset, który brzmi: „Dla Niego wyzułem się ze wszystkiego i uznaję to za śmieci, bylebym pozyskał Chrystusa” (w. 8b). To bardzo radykalny tekst. Radykalizm wpisany jest w słownictwo – o wiele mocniejsze niż polskie tłumaczenie. Zwłaszcza „śmieci”: w greckim tekście mamy tu słowo *skybala*, jego łaciński odpowiednik brzmi *stercora*, a jedno i drugie znaczy tyle, co „łajno” i „odchody”. Również greckie *dzemia* (oddane polskim słowem „strata”) może być tłumaczone znacznie mocniej – jako „szkoda” albo nawet „klęska”.

Nie sposób nie zapytać: cóż takiego Apostoł Narodów uznaje w swoim dotychczasowym życiu za „klęskę” i „łajno”? Na myśl i do ust ciśnie się nam natychmiast prosta i pod każdym względem „poprawna” odpowiedź: grzech. Czyż to nie grzech nas niszczy? Czy nie przez grzech czujemy się nieraz dotkliwie pobici? Czy to nie grzech jest w naszym życiu taką rzeczywistością, której chcielibyśmy się z całą ulgą pozbyć (wydalić z siebie – jak „odchody”) i już nigdy do niej nie wracać? Z całą pewnością tak. Ale nie o tym Paweł mówi!

Paweł nie mówi o grzechu, lecz o wielu dobrych rzeczach, które ma potrzebę odrzucić z racji na Jezusa. Pisze o „tym wszystkim”, co do tej pory uważał za „zysk”: o swoim pochodzeniu – z rodu Izraela, z pokolenia Beniamina; o obrzezaniu – a więc o znaku Przymierza, wprowadzającym go do wspólnoty Ludu Boga; pisze o przynależności do faryzeuszy, z którą przecież wiązała się także znajomość Pisma i Jego wykładu; pisze wreszcie o swojej gorliwości w przestrzeganiu przykazań (zob. w. 5-6). Wszystko to są rzeczy dobre i wielkie wartości. Szaweł/Paweł porzuca je nie dlatego, żeby były złe... Odrzuca je w imię fundamentalnego odkrycia, że w wierze najpierw chodzi o spotkanie z Osobą! Nie o rzeczy i wartości, które bez „znajomości” Jezusa nie mają sensu. Koncentracja na nich, wyjętych z kontekstu komunii z żyjącym Bogiem, przynosi człowiekowi stratę, nie zysk! ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

eprasa.pl 188c212f72

ESEJ

DUCE, CZYLI ZAGADKA

Jeden z najbardziej imponujących projektów literackich ostatnich lat – dwa i pół tysiąca stron powieści, po której przyszedł świetny serial – to zarazem ostrzeżenie. Dyktatura zawsze może czaić się za rogiem.

ŁUKASZ NAJDER

Faszyzm jest piękny. Apele, uniformy, rytuały, napuszone gesty, marsze w kolumnach, okrzyk bojowy, *eja eja alalà!*, rakiety sygnalizacyjne przeszywające mrok i serca tych, którzy stoją w mroku, pod kaskadami ognia, pod obudzonym niebem.

Faszyzm jest też przygodą, afektem, samowolą i podbojem. To naruszanie i przekraczanie granic – wszelkich.

Faszyzm to brawura. I bandyterka. To wywrócenie mieszczańskich norm, głośne zaprzeczanie hipokryzji rządzących, ucieczka od marazmu domu, szkoły, uczelni i pracy. To negacja tego, co jest, i afirmowanie tego, co ma być – i będzie.

Faszyzm to ulica i teatr, wiersz futurystyczny i konwencjonalna drewniana pała. Faszyzm jest słowem, porywającą oracją wodza, dopingującą logoreą propagandy, opowieścią, która spaja, ale i czynem. To bezceremonialne akcje wymierzone w paplaninę humanistów i demokratów, w asekuranckie smęcenie monarchy, teoretyzowanie socjalistów, monologi posłów. „Słowa to piękna rzecz, ale karabiny, ręczne i maszynowe, okręty, samoloty, armaty to rzecz jeszcze piękniejsza” (Paolo Monelli „Mussolini”, przeł. Zofia Ernstowa).

Faszyzm jest przyszłością, lecz nie zapomina o umarłych. Faszyzm to kult padłych bohaterów i zachwyt nad rozpędzonym automobilem, Imperium Romanum i superfunkcjonalnymi miastami jutra. To nowoczesność i pochwała siewu, żęcia, zbioru. To braterstwo, męska sztama. To nowa religia – z nowym kalendarzem, świętami, ekstazą i apoteozą.

„Mam przed sobą pierwszą linię frontu, awangardę naszych czasów, szaleńców i awanturników, to, co pozostało w bruzdach na polu przeoranym kulami armatnimi – wylicza Antonio Scurati (przeł. Alina Pawłowska-Zampino). – Mam przed sobą gnuśnych geniuszy, dziwaków i obwiesi, małomiasteczkowych kozaków i ludzi zagubionych, schizofreników i nocne ptaki, skazańców, anarchistów, syndykalistów, podpalaczy i zdesperowanych pismaków. Polityczną cyganerię utworzoną z weteranów wojennych”.

Faszyzm jest szansą dla takich jak oni.

Ten-Który-Ma-Zawsze-Rację

Jest więc faszyzm zaprowadzaniem nowego porządku i obalaniem dawnego. Sławienie własnej idei jednak mu nie wystarcza. Faszyzm to przemoc. Zarazem dzika i zaplanowana, punktowa. Podpalenia siedzib wrogich partii, demolowanie redakcji, pobicia, siłowe pojenie rycyną, morderstwa. Credo faszyzmu to „Me ne frego” (Mam wszystko gdzieś). Oraz – „żądamy” i „dla naszej chwały”.

Faszyzm jest doktrynalny i synkretyczny. Faszyści – pisze Monelli – „zapożyczyli od ochotników z Fiume żargon i maniery, od najemników rolnych z Romanii i Emilii – czarne koszule robocze, a od żołnierzy oddziałów szturmowych – proporczyk z trupią czaszką”. Faszyzm to brak lęku u siebie i wywoływanie strachu u innych, utwierdzanie w przerażeniu tym, co nadchodzi, kryje się, czai za plecami. To innowacyjna polityka zaprowadzania grozy.

„W 1919 r. Benito Mussolini założył Związki Bojowe, bo przeczuł jako pierwszy, że w epoce mas (...) dominować będzie siła polityczna potężniejsza od nadziei – strach. Złapał się jej i po niej wspiął się do władzy” – pisze Scurati. Ów strach przyniosły „zagubienie, rozczarowanie, zniechęcenie, poczucie porażki, poniżenia i zdrady. Z nich zaś wyrosła nienawiść i mściwy gniew. Z dnia na dzień na ulice, oprócz kobiet i mężczyzn domagających się transformacji społecznej i politycznej, zaczęli wychodzić ludzie pełni lęku”.

Tym, który wtedy skwapliwie nadstawił uszu, dzięki czemu usłyszał i zrozumiał, czego pragnie włoskie społeczeństwo, kogo chce ujrzeć na swoim czele, do kogo modlić, był on, Benito Amilcare Andrea Mussolini, syn kowala i wiejskiej nauczycielki, masywny, niski mężczyzna rozlicznych talentów i przywar, dziennikarz, autor powieści, tłumacz, weteran, były socjalista, niegdysiejszy antyklerykał, faszysta, polityk (zapowiadający uprawianie antypolityki), kameleon, buc, kunktator, tchórz, seksoholik, tytan pracy, wulkan energii, agitator, pyszałek, oportunista („Ja jestem człowiekiem następstw...”), zręczny strateg partyjny i fatalny wódz naczelny, wirtuoz uniku, cwany korektor własnego życiorysu, barbarzyńca we fraku, skrzypek ↦

eprasa.pl 188c212f72



STEFANO BIANCHETTI / CORBIS / GETTY IMAGES

Benito Mussolini podczas przejazdu ulicami Turynu, 14 listopada 1932 r.

eprasa.pl 188c212f72

↦ amator, zawodowy eksplorator cudzych pomysłów, mniemany władca basenu Morza Śródziemnego i połowy Afryki, Ten-Który-Ma-Zawsze-Rację, nowy cezar, kondotier, Duce, bóg.

Między śmierciami

O nim to właśnie – i epoce, w której żył i którą tworzył – opowiada jeden z najbardziej imponujących i niezwykłych projektów literackich ostatnich lat, owoc dekady kwerend i pisania, mianowicie licząca w polskim wydaniu dwa i pół tysiąca stron pentalogia „M" pióra wspomnianego już Antonio Scuratiego. Pierwszy tom „M", „Syn stulecia", został wyróżniony Premio Strega, włoskim odpowiednikiem Bookera tudzież Nike, i sfilmowany jako (znakomity) serial w reżyserii Joego Wrighta, z brawurowym Luką Marinellim w roli Mussoliniego.

Epoka opisywana przez Scuratiego to moment rozpięty między śmierciami. To wiosna 1919 r., gdy fetor poległych, spalonych, rozszarpanych i zatrutych wciąż jeszcze ciągnie znad Isonzo i Verdun, znad Półwyspu Jutlandzkiego i Brzezin, ci zaś, którzy cudem przetrwali ogień tysięcy armat, chmury gazowe i nieustającą kanonadę cekaemów, a prócz tego – błoto i szaleństwo, powtarzają gorzko „my jesteśmy trupami". I brutalna wiosna 1945 r., kiedy następuje chwila rozliczeń – pospiesznych sądów i rozwałek, likwidacji zdrajców.

Duce dynda na stacji benzynowej na Piazzale Loreto w Mediolanie. To w tym mieście zaczął się włoski faszyzm – i skończył. Aczkolwiek niekoniecznie. „Trup powróci. Ja wrócę, bo zmarli nie są tylko ciężarem dla pamięci, zmarli nadal żyją" („M. Koniec i początek"). Pomiędzy owymi wiosnami, przez ćwierćwiecze, huczy nieokiełznany, kapryśny i monumentalny żywioł: polityki, historii, losu – losu całego narodu i tego narodu wybrańca i zbawcy.

Wiwisekcja i fresk

Czy „M" to biografia Mussoliniego, czy bardziej portret epoki? Jedno nie istnieje bez drugiego. Duce zaprowadził w swojej ojczyźnie faszyzm, przez co unieszkodliwił socjalistów i zneutralizował króla Wiktora Emanuela III, do osiągnięcia czego wykorzystał mechanizmy demokracji, które następnie rozmontował i wysłał na szrot.

W ramach zaprowadzonej dyktatury i państwowej idolatrii był wszechobecny – słyszalny, widzialny i odczuwalny. Pilnujący każdego, mający wpływ na wszystkich. Odmieniał trwale oblicze Włoch dzięki architekturze i reformie obyczajów, militaryzacji i unifikacji. Jego rodacy zwracali się do siebie per „wy", a nie jak dotychczas, „pan" i „pani", bo on tego chciał. Zlikwidował uścisk dłoni na powitanie i narzucił salut rzymski. Wszczął kampanię przeciwko nazbyt szczupłym kobietom. Ówczesne Włochy to jego uzewnętrznione wnętrze. Dlatego „M" to naraz wiwisekcja i fresk.

Cykl powieściowy Scuratiego nie jest postmodernistyczną grą z historią ani też kolekcją rozpisanych wariantów przeszłości, rymkiewiczowskim nurzaniem się w tym, co być mogło, byłoby, nie było, lecz dzisiaj będzie, choć tylko na stronach książki. „M" ma zabezpieczenia przed insynuacją bądź wątpliwościami, czy wszystko jest tu prawdą.

Autor bowiem na początku II tomu, zatytułowanego „Mąż opatrznościowy", deklaruje, że jego zamierzeniem było napisanie „»powieści dokumentalnej«, której podstawową cechą powinna być absolutna wierność udokumentowanym faktom". Stąd konieczność poinformowania nas, że w ledwie kilku miejscach dopuścił się „pewnych minimalnych przesunięć w czasie, a także do użycia własnej wyobraźni; oczywiście tylko w sytuacjach, gdy w niczym nie zmieniało to obrazu epoki ani postaci występujących w książce". W książce kolejnej, „Ostatnich dniach Europy" doprecyzował, że „nie ma w niej fikcji, nie jest zapisem sfabularyzowanym, właściwie gdyby nie sposób prowadzenia narracji, można by powiedzieć, że jest w niej niewiele z powieści".

Co więcej, Scurati rozdziały powieściowe kontrapunktuje przytaczaniem dokumentów. Ów ciąg świadectw współtworzy narrację „M", a jednocześnie może być czytany jako coś na kształt, powiedzmy, osobnej powieści biurokracyjnej. Na dodatek – polifonicznej, bo nie mamy tu do czynienia z okazywaniem zawartości pojedynczego zbioru akt bądź teczki osobowej, ale z wielogłosem źródeł, liczonych w setkach o najróżniejszej formie i treści, niemilknącym chórem archiwum.

Są więc raporty bezpieki (tej inwigilującej Mussoliniego i tej, która inwigilowała masowo za jego rządów), tajne okólniki faszystowskiej władzy, relacje z wydarzeń, komunikaty agencyjne, anonse, fragmenty artykułów prasowych, wyimki z dzienników i listów, z mów Duce i odezw generałów, telegramy, zapisy podsłuchów, wspomnienia i pamiętniki, memoranda, ulotki, dowcipy, anonimy, depesze służb wywiadowczych, orędzia D'Annunzia, wieszcza narodowego i zdobywcy Fiume, fonogram Hitlera „wysłany z Berlina do Rzymu" w dniu napaści Niemiec na Polskę itd.

Gwóźdź do trumny

Mussolini w „M" to nie czarno-biała sylweta z kartonu i nie obiekt łatwych połajanek, szyderstw, odruchowych abominacji. Nie oznacza to jednak prób wybielania bądź gloryfikacji. Scurati po prostu zna dobrze naturę ludzką i wie, że nawet jawny megaloman i dyktator jest do pewnego stopnia zagadką – istotą złożoną.

Zwłaszcza gdy mowa o kimś, kto został bożyszczem czterdziestomilionowego kraju europejskiego, choć zaczynał od przewodzenia kilkudziesięcioosobowej zgrai wyrzutków i kombatantów. Kimś, o kim w superlatywach wypowiadali się Churchill, Edison czy Gandhi, a z poniżającej śmierci kogo cieszył się później cały świat. Za swojego idola uważał go Hitler – w latach 20. wnosił nawet błagalnie o zdjęcie i autograf Mussoliniego (załatwione odmownie) – i kogo ten sam Hitler musiał ratować za pomocą swoich spadochroniarzy, gdy jego mistrz, druh, sojusznik był już tylko przegranym klaunem i „zdechłym lwem".

Mussolini w „M" jest człowiekiem nie w rozumieniu *ecce homo*, ale w o wiele bardziej przyziemnym – utalentowany demagog i nikt z Romanii, „dzikus" na salonach, którego zaślepił ogrom tego, co osiągnął. Buta była jego atutem, gdy zdobywał władzę i uwielbienie rodaków, ale z czasem okazała się gwoździem do trumny.

Bo jak twierdzą badacze *ventennio fascista*, gdyby Mussoliniego nie ogarnęła imperialna szajba, mógłby trwać latami niczym generał Franco w Hiszpanii. Ale nim jednak powodowała ochota na restytucję Rzymu i rywalizacja z błyskawicznymi i rozległymi ekspansjami Hitlera. Najwyraźniej Duce nie mógł się pogodzić, że Führer, którego u zarania nazizmu miał za „wariata" i „błazna", zawłaszcza dla siebie Europę. Dlatego słał armię wło-

eprasa.pl 188c212f72

ską na wsze strony – do ogarniętej wojną domową Hiszpanii, Rosji, Afryki, na Bałkany – i najczęściej ponosił klęskę za klęską, a jeśli wygrywał (jak w Etiopii), to dzięki zbrodniczym postępkom, od egzekucji przez bombardowanie ludności cywilnej po użycie gazu.

„M" Scuratiego jest zatem również i kroniką wojen europejskich i afrykańskich, jakie przetoczyły się przez te kontynenty w latach 20. i 30. XX wieku. To przejmujące zobrazowanie destrukcji totalnej, buńczuczna ideologia zmaterializowana nie w dumę i dobrobyt, ale w cierpienie, śmierć i ludobójstwo.

Faszyzm i populistyczna ewangelia

Niemało wskazuje na to, że „M" jest dla Scuratiego nie tylko literaturą, ale czymś więcej – literaturą, która ostrzega, parenetycznym, beletrystyczno-dokumentalnym komentarzem do współczesności. Oczywiście wyrafinowanym, misternym i nie wprost.

Warto zwrócić uwagę na dedykacje, jakimi poprzedza autor niektóre z tomów. „Wszystkim, którzy jeszcze wierzą w demokrację. Niech się przygotują do walki", brzmi ta z ostatniego, wydanego u nas w 2026 r. „Końca i początku". „Czas przeznaczenia" adresuje matce, „która przyszła na świat pod bombami", i córkom – „żeby nigdy takiego świata nie poznały". Z kolei „Ostatnie dni Europy", które ukazały się w roku napaści Rosji na Ukrainę, otwierają słowa: „Ta książka opowiada o tym, jak rodzi się wojna. Wyniszczająca, krwawa wojna w samym sercu Europy, rozpętana celowo, z żądzy podboju sąsiednich oraz dalszych krajów, prowadzona z bezgraniczną brutalnością".

W 2023 r. Scurati opublikował ponadto książeczkę-esej, „Faszyzm i populizm. Mussolini dzisiaj", którego zaczynem było wystąpienie na „konferencji Rencontres Internationales de Genève, zorganizowanej po raz pierwszy po wojnie (...) z inicjatywy grupy pisarzy i intelektualistów, którzy uznali, że dla utrzymania pokoju konieczne jest wznowienie dialogu kulturowego między narodami". Sumiennie wylicza tam różnice pomiędzy faszyzmem i populizmem, obwinia rodaków o to, że nigdy nie rozliczyli się z epoką Duce, bo taki dogłębny obrachunek wymagałby przyznania, że miliony z nich było szczerymi faszystami, namaszcza Mussoliniego na pierwszego populistę – „pomysłodawcę tej odmiany polityki, retoryki, komunikacji i przywództwa politycznego" – i z goryczą konstatuje, że demokracja nie jest czymś stałym, jak wielu z nas myślało, ale cudem wyszarpanym przez naszych przodków.

Scurati pisze o niezwykłej intuicji Duce, który, choć prostacki w obejściu i nierzadko toporny w działaniach, jako jeden z pierwszych zrozumiał, czym będzie nowoczesna polityka. Język dosadny, agresja użytkowa, lider, który nie kroczy już na czele tłumów, ale steruje nimi zza ich pleców, strach jako podstawowa emocja ludzka – nie obiecywać szklanych domów, lecz wskazać, czego powinniśmy i mamy się bać – „upraszczanie złożoności", bo człowiek współczesny jest w tejże współczesności kompletnie zagubiony, ciało wodza ostentacyjnie wystawione na widok, do utożsamiania się i podziwu.



STEFANO BIANCHETTI / CORBIS / GETTY IMAGES

Choć prostacki w obejściu i nierzadko toporny w działaniach, Mussolini jako jeden z pierwszych zrozumiał, **czym będzie nowoczesna polityka.**

„Populistyczna ewangelia zachęcała do przejścia od postawy biernej, wycofanej, depresyjnej, która towarzyszy zwykle uczuciu strachu, do nienawiści – aktywnej, ekspansywnej, wywołującej euforię. Czy kiedykolwiek doświadczyliście uczucia nienawiści? Kiedy kogoś nienawidzisz, czujesz, że żyjesz" – czytamy.

To nie jest agitka

Bez obaw – „M" nie jest prodemokratyczną agitką. To epickie, artystyczne dopełnienie poglądów Scuratiego, ewentualnie – poglądy te, analizy, tezy, mementa dla współczesnych, są jedynie glosą na marginesie imponującego dzieła. „M" pozostaje literaturą.

Powieści, które układają się w cykl o Mussolinim i faszystowskich Włoszech, są przykładem wciągającego i efektownego pisania, którego z lekka podniosły ton, ważki temat związany z narodem, historią i zstępowaniem epok mogą kojarzyć się z „W stalowych burzach" Jüngera, twardochowym „Drachem" lub „Pokorą" czy też „Presentes" Paca Cerdy, niezwykłej rzeczy o Hiszpanii u kresu 1939 r., przez którą sunie dostojnie kondukt żałobny ze szczątkami José Antonio Primo de Rivery, ideologa tamtejszego faszyzmu, założyciela Falangi, rozstrzelanego przez republikanów.

Morał Scuratiego – jak dla mnie – wybrzmiewa już w I tomie „M", czyli w „Synu stulecia". Bo tymi, którzy na samym początku skupili się wokół Mussoliniego, i dzięki którym zdemolował on władzę we Włoszech lat 20., nie byli syci, rzutcy intelektualiści, zawodowi politycy czy reprezentanci biznesu, ale „drugi sort" społeczeństwa – kombatanci, „zdegradowani z dnia na dzień z pozycji bohaterów narodowych od pozycji pariasów", najróżniejsi zmarginalizowani i rozgoryczeni, ci przekonani o tym, że ojczyzna wykorzystała ich i porzuciła, albo nigdy o nich nie zadbała.

Dlatego więc zamiast szumnych haseł o demokracji i bicia w bęben paniki – albo daremnego załamywania rąk, kiedy dzieje się najgorsze – więcej troski o słabych i wykluczonych, rozumne i sprawiedliwe zagospodarowywanie gleby społecznej, na którą padają ziarna faszyzmu czy populizmu. Wtedy być może kolejne dwa i pół tysiąca stron o dyktaturze nie będą już potrzebne.

© ŁUKASZ NAJDER

Pięciotomowy cykl powieściowy Antonio Scuratiego o Benito Mussolinim, a także esej „Faszyzm i populizm. Mussolini dzisiaj" ukazały się nakładem wydawnictwa Sonia Draga w przekładzie Aliny Pawłowskiej-Zampino. Serial na ich podstawie dostępny jest na platformach SkyShowtime i Prime Video.

eprasa.pl 188c212f72



HISTORIA

ODRODZENI

Po II wojnie światowej półtora miliona polskich dzieci nie ma matki, ojca lub obojga rodziców. Ponad 250 z nich trafia do pałacu w Krzeszowicach koło Krakowa. To opowieść o nich.

JULIA KALĘBA-WYSOCKA

Zostały: wpis w pamiętniku, słowa powtarzane do roli w przedstawieniu, zdjęcie z podpisem: „Nie zapomnij Halszki". I pusty pałac na wzgórzu, otoczony parkiem.

Siatka, rozpięta na betonowych słupach, każe dziś oglądać budynek z dystansu. Dwa piętra i wieże, taras i pałacowe skrzydła pokrywa brudna żółć, która kruszy się i odsłania tynk. Okna przesłania dykta, kamień ustawiony na pamiątkę okrył mech. Jest rok 2026.

80 lat wcześniej, jesienią 1946 r., brukowaną ścieżką przez park idą: Marta (lat 21), która za oddalenie się od baraku na Syberii spędziła tydzień w karcerze. Anna (lat 16) i jej siostra Aleksandra (lat 15), które ocalały z pociągu bombardowanego przez Niemców; Ola idzie w czarnej sukience. Jan (lat 20), który stał nocą w śniegu, gotowy do ucieczki, słysząc ryk

eprasa.pl 188c212f72



ARCHIWUM PRYWATNE ALEKSANDRY WRÓBLEWSKIEJ

Grupa maturzystów pozuje do zdjęcia, maj 1950 r.; po lewej w jasnej sukience z koralami stoi Aleksandra Wróblewska, w przedostatnim rzędzie pierwszy od prawej – Jan Zaleski.

bydła i strzały z płonącego Korościatyna koło Buczacza. Janek (lat 10), który bawił się w podchody przy niemieckim poligonie pod Lwowem. Krystyna (lat 19), która po powrocie do domu we wsi na Wołyniu znalazła niedopitą herbatę. Pół roku później dołączy jej 11-letnia siostra Mirosława.

W pomieszczeniach dawnego pałacu Potockich w podkrakowskich Krzeszowicach zamieszkują osieroceni wygnańcy ze Wschodu, Warszawiacy z powstania, ocaleńcy ze spalonych wsi.

MARTA, KIEDYŚ | Jej pierwszy dom jest tam, gdzie z siostrą czekają, aż dojrzeją morele, które porastają mur. Za murem są pola, za nimi miasto Skała i Zbrucz, za rzeką Związek Sowiecki. Aż do 17 września 1939 r., gdy Armia Czerwona zajmuje Skałę. 10 lutego 1940 r. żołnierze NKWD dają im dwie godziny na spakowanie. Władysław Żurowski z żoną Janiną i córkami Jadwigą, Martą i Teresą opuszczają rodzinne Podole. Po dwóch tygodniach w pociągu Janina choruje. Ciało matki wynoszą z wagonu, pociąg rusza.

Ich domem jest odtąd barak w puszczy za Uralem. Obok są studnia, łaźnia, kuchnia i wartownia NKWD. Tutaj, na kołkach wbitych w drzewa, wieszają ceramiczne naczynia, a gdy z naciętej sosny naleje się żywica, przelewają ją do wiader. Na koniec dnia 15-letnia Marta musi unieść dwa wiadra, 40 kilo.

Zesłańcom przysługuje pół litra zupy i 40 deko chleba; na dziecko połowa z tego. Władysław uczy córki, jak rozpoznać jadalne grzyby i jagody. Las uczy je, że w chłodną noc do przykrycia są liście. Enkawudzista, że gdy nie ma pracy, ich świat kończy się kilka metrów od baraków. Za przekroczenie tej granicy Marta spędza tydzień w karcerze.

Jesienią 1940 r. NKWD zabiera Władysława. Marta biegnie za ciężarówką, na którą wsadzono ojca. Po roku siostry dostają wiadomość, że zmarł w więzieniu. Po kolejnym roku, że mogą stąd odejść. Zajmują się nimi sąsiedzi ze Skały, którzy też tu trafili. Razem z nimi w 1946 r. wsiadają do pociągu dla „repatriantów". Po sześciu tygodniach drogi, z tobołkiem w ręku, są w pojałtańskiej Polsce.

Tak kończy się wojna dla trzech sióstr Żurowskich ze Skały. Ciotka, odnaleziona w Krakowie, zapisuje je do szkół. Martę do placówki, która otworzyła się w Krzeszowicach.

MARTA, DZISIAJ | 80 lat później Marta Żurowska opowiada mi tę historię w swoim krakowskim mieszkaniu. Na filiżankach są pawie, na obrazach lasy. Wspomina: – Z Syberii przyjechałam do pałacu i raptem zamiast klitki w baraku trafiam do miejsca, gdzie jest mnóstwo pomieszczeń, wielkie salonowe przestrzenie. A potem to wrażenie, że jest się człowiekiem. Że ktoś na mnie patrzy, że mam własne miejsce przy stole, własną szklankę, łyżkę, widelec i nóż.

– Na początku dzika byłam, przyzwyczajona do lasu, nie do ludzi – opowiada. – Ale wszystko, co w sobie człowiek miał, wychodziło tam prędzej czy później. Opanowałam wspomnienia. Krzeszowice wróciły mi życie. Mimo że byliśmy tak różni, każdy miał prawo być sobą, rosnąć w tym kierunku, w jakim chciał. To był punkt zwrotny, na pewno.

ZAKŁAD | Wszystko zaczyna się od obietnicy. Gdy wybucha wojna, Stanisław Jedlewski ma 33 lata, rodzinę, dyplom studiów pedagogicznych i doktorat z polonistyki. Lekcję, którą prowadzi w lubelskim gimnazjum, przerywa gestapo. Trafia do więzienia na Zamku. Tam przyrzeka sobie: jeśli przeżyje, poświęci się osieroconej młodzieży.

Przeżyje. Po wojnie znajduje w prasie artykuł o dawnym uzdrowisku pod Krakowem, przy którym w połowie XIX w. stanął pałac. Wznieśli go Potoccy, zajmował Hans Frank, spustoszyła Armia Czerwona. Jedlewski przekonuje Ministerstwo Oświaty, że w pałacu powinna zamieszkać młodzież. Idea: połączenie domu, w którym będzie atmosfera rodziny, oraz szkół, które pozwolą nadrobić naukę oraz pomogą sierotom w odzyskaniu poczucia bezpieczeństwa, przygotują do życia.

Dostaje zgodę i pieniądze. W styczniu 1946 r. ogląda budynek. Rdzewiejąca brama, drzwi z dziurą po klamce, w pokojach słoma. W dawnej oranżerii nieruchomy chłopiec: młody bóg bez palca u lewej nogi, Merkury. Wiosną w pałacu zaczyna się wywożenie słomy, naprawa dachu, wstawianie szyb. Na pierwszych dokumentach pieczątka odbija nazwę: Państwowy Zakład Wychowawczo-Naukowy im. Tadeusza Kościuszki w Krzeszowicach.

Nie ma nauczycieli i wychowawców. Jedlewski szuka ich w pociągach z wygnańcami ze Wschodu, wśród znajomych, w prasie. Czeka na młodzież. We wrześniu zaczną rok szkolny.

MIROSŁAWA, DZIŚ | Mirosława Lombardo sunie palcem po zdjęciu pałacu. Na parterze: biblioteka, czytelnia, jadalnia, aula, oranżeria. Z dołu na górę schody idące łagodnym łukiem. Na górze sypialnie, za pałacem na tyłach parku szpitalik.

Wspomina: – Na schodach przed wejściem graliśmy spektakle. Teatr zaczął się w mojej głowie pojawiać w pałacu. W sali ↦

eprasa.pl 188c212f72

↦ balowej była scena z fortepianem, tam słuchaliśmy koncertów. Merkury stał na środku oranżerii, uczyły się przy nim starsze dziewczyny. Czuliśmy, że mamy swoje miejsce, że mamy przyjaciół. Nie pamiętam, żebym się z kimś kłóciła. Aby ktoś mnie potraktował źle. Punktualność, porządek, szacunek do innych i miejsca: to obowiązywało. Sypialnie miały być czyste, rzeczy poukładane.

Dalej: – Podobno w nocy krzyczałam. Miałam w sobie strach, ale to nie było to, co moja siostra. Ona jak się raz przestraszyła, tak do końca życia była zarażona lękiem.

MIRA, WTEDY | Wieś Dermań leży na łagodnych wzniesieniach Wołynia. W centrum monaster, cerkiew i szkoła. Władysław i Katarzyna Lombardo mieszkają dwa kilometry dalej, idąc przez pola i łąki, wraz z córkami Krystyną i Mirosławą. Ich dzieciństwo to ojciec przynoszący złowione ryby, dziadek, który dogląda sadu, wycieczki z mamą do sklepu po materiał na sukienki, w niedziele spacery po okolicy.

17 września 1939 r. na pobliską drogę wyjeżdża czołg. Wojna w Dermaniu to dalekie odgłosy wybuchów i poruszenie w domu. To wywózki ludzi na wschód, zachód i do lasu. Bracia matki trafiają do sowieckiego więzienia, Katarzyna z paczkami jedzenia stoi w tłumie kobiet. W ciągu dwóch lat zabije ją gruźlica.

Władysław słyszy, że zagrożenie idzie także ze środka. W okolicy działa UPA. Na Wielkanoc 1943 r. wywozi 15-letnią Krysię i 6-letnią Mirę do rodziny w pobliskim Ostrogu. Starszej dłuży się pobyt, wraca. 80 lat później Mirosława powie, że od tego dnia jej siostra już zawsze się bała.

Przed domem Krystyna spotyka sąsiada. Mówi, że wieczorem Ukraińcy zamordowali ojca i dziadka. Zaprowadza dziewczynę na skraj sadu. Tu, wskazuje, miejscowa ludność zakopała ciała. Noc Krystyna spędza w szkole, rankiem jeszcze raz idzie do domu. Znajduje martwego psa, kałużę krwi, czapkę ojca, niedopitą herbatę. Dzień później na dziedziniec kościoła zjeżdżają wozy z trumnami. Furmanek jest dużo, pogrzeby trwają cały dzień.

Wraz z rodziną z Ostroga siostry pakują garnki, pościel, ubrania. Za zamkniętymi drzwiami wagonów towarowych nie widzą, jak pociąg mija znajome wzniesienia. Trafiają do Krapkowic, potem Koszalina, na koniec Olkusza na Jurze. Stąd do Krzeszowic jest blisko. W 1947 r. do Zakładu trafia Krystyna, parę miesięcy później dołącza Mira. Ma 11 lat i teczkę spakowaną do szkoły. Zostanie tu do matury.

WIELKA RODZINA | Ktoś zapamięta pierwszy regulamin o łączeniu wychowanków w gromady. Ktoś apel, na którym dyrektor mówi, że to ich dom i wszyscy za niego odpowiadają. Inny uchwałę samorządu, że są rodziną.

Anna, Krystyna i Marta idą do Liceum Pedagogicznego, zorganizowanego w części pałacu i budynku u podnóża parku. Dyrektor założył je, by kształcić nauczycieli, których brakuje w odbudowującym się kraju.

20-letni Jan uczy się w skrzydle pałacu, w klasach, które w przyspieszonym tempie przygotowują do szkoły średniej. We wrześniu 1948 r. przejdzie do Liceum Ogólnokształcącego. Do tej szkoły aleją parkową chodzi też Aleksandra, potem Mirosława.

W pokoju nauczycielskim spotykają się miejscowi nauczyciele i kadra pałacu. W klasach – osierocona młodzież i dzieci mieszkańców Krzeszowic. Część wychowanków idzie do dawnej winiarni Potockich, gdzie powstała szkoła ogrodnicza. Po 1948 r. kolejna część do szkoły przemysłu drzewnego, założonej w dawnej stajni koni wyścigowych.

Ze szkół wracają na obiad, popołudniami znów otwierają książki. Między kolacją a apelem są koła naukowe i sekcje tematyczne. Rysują mapy, robią dekoracje, naprawiają buty, ćwiczą role teatralne. Jan gra księdza w sztuce Fredry, Mira – młodego Chopina.

PUSZKA CZEKOLADY | Wieczorny apel to czas podsumowań. Padają uwagi wychowawców: za niskie oceny, za niepozsprzątane pokoje, za przechodzenie przez płot do miasta. Rozdzielają dyżury na dzień kolejny. Kto wstanie nad ranem, by jechać po mleko, komu przypadnie sprzątanie, kto będzie obierać ziemniaki. Jeśli do wychowanków przychodzi poczta, kierownik wywołuje nazwiska adresatów. Mira w napięciu czeka na ten moment. Ale listy to rzadkość.

O godzinie 22 gaśnie światło, zaczyna się cisza nocna. Zdarza się, że sen przerywa czyjś płaczliwy krzyk. Zdarza się, że w sypialni dziewcząt łóżko Marty stoi puste: gdy nie może zasnąć, snuje się po pałacu, wchodzi do auli i gra na pianinie. Czasem po apelu zostaje w parku, spaceruje między drzewami.

W soboty młodzież sprząta wnętrza pałacu i bierze kąpiel w łaźni. W niedzielę idzie do kościoła, na wycieczki albo gry terenowe organizowane przez harcerskie hufce. Drużynę młodszych dziewcząt prowadzi Aleksandra.

W dni wolne jest też wspólny śpiew w auli. Co jakiś czas tańce w sali balowej, wyjazdy do teatru, zawody sportowe. Zwycięskie punkty dla krzeszowickiej drużyny koszykarskiej przynosi Janek spod Lwowa. Koledzy nazywają go „Gibon", bo wyłapuje wszystkie piłki.

Raz w roku w prezencie jest puszka z czekoladą z UNRRA, darów z Zachodu; choinka z błyszczącymi orzechami; spektakl na Wielkanoc. Obozy letnie i zimowiska. Uroczysty początek i koniec roku szkolnego.

ALEKSANDRA, DZIŚ | Maj 1950 r. Grupa maturzystów pozuje do zdjęcia. Po prawej, poza kadr, patrzy Jan. Ta z guzikami zapiętymi pod sam kołnierzyk – to Halszka. W środku Aleksandra, za nią Ryszard, jej przyszły mąż.

Biało-czarną fotografię Aleksandra Wróblewska widzi w kolorze. Patrzy na siebie sprzed 76 lat. Blondynka, założyła jasnoróżową sukienkę uszytą na komers. Garnitury chłopaków są popielate. Rozpoznaje kolejne twarze, przesuwając lupę nad zdjęciem.

Spotykamy się w jej mieszkaniu, parę minut spacerem od pałacu. To miejsce pomogło jej dwa razy: najpierw, gdy z siostrą zostały same. Po raz drugi dlatego, że przestała nosić czarną sukienkę, a zaczęła bladoróżową.

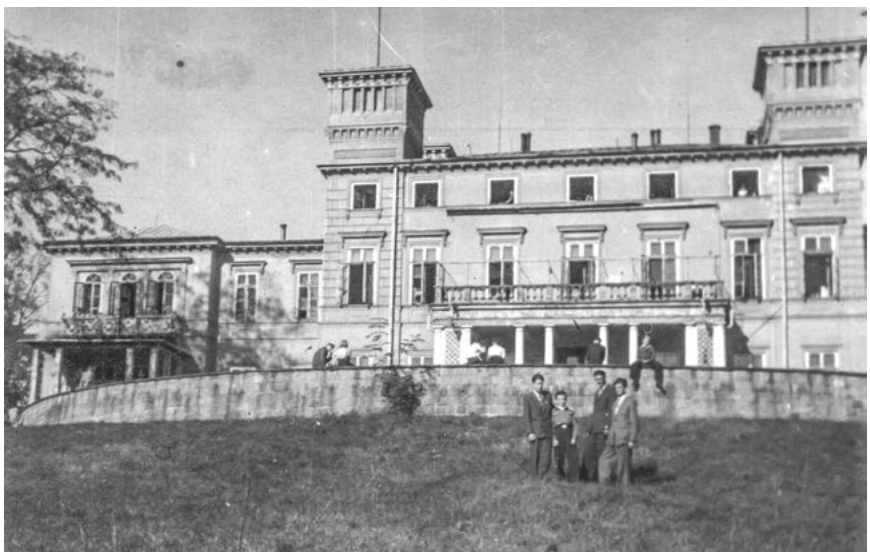
OLA, WTEDY | Aleksandra urodziła się w 1931 r., jako druga córka pracownika krakowskiego magistratu i nauczycielki. Franciszek ratował świat czynem, Stefania słowem, a córki milczeniem. Ta historia wydarzyła się w rodzinie Krudowskich, na osiedlu urzędników w Bieżanowie, drugi dom od stacji kolejowej w stronę Wieliczki.

Franciszek miał skończone 50 lat i nie musiał walczyć, ale uważał, że powinien. Wyruszyli w pierwszych dniach września 1939 r. na wschód, wszyscy, choć one

eprasa.pl 188c212f72



JULIA KALĘBA-WYSOCKA



ARCHIWUM PRYWATNE Z KOLEKCJI ANDRZEJ ZABOROWSKIEGO

Aleksandra Wróblewska (po prawej) i Janina Znamirowska przed pałacem w Krzeszowicach, gdzie zamieszkały w 1946 r. (zdjęcie z września 2026 r.)

Poniżej: wychowankowie PZWN przed pałacem, ok. 1948 r.

uciekały przed wojną, a on na nią jechał. W pociągu słyszeli samoloty, potem huk. Bomba rozdarła wagon za nimi.

Pożegnali się w przydrożnym gospodarstwie. Franciszek ruszył do pułku, Stefania z córkami po kilku tygodniach wróciła do Krakowa. Dowiedziała się, że mąż zachorował i zmarł. Potem, jeszcze przez chwilę, ich dom w Bieżanowie był pełen ludzi. Byli tam, nawet jeśli stwarzano pozory, że ich nie ma.

Siostry nie mogły opowiadać koleżankom, że sąsiadka, o której krążą plotki, że Niemcy wywieźli ją do getta, dalej mieszka na piętrze. Nie mówiło się o innych ludziach, którzy zostawali na parę dni i znikali. Milczenie dotyczyło też niektórych pytań. Gdzie wieczorami wychodzi mama. Dla kogo jest sweter. Stefania przyniosła wełnę i instruowała: musi być szeroki w ramionach i mieć, Olu, długie rękawy. Ola go dziergała, był ciężki i sięgał podłogi.

Skończyła się wojna, ale nie skończył zabijać tyfus. Po śmierci Stefanii córki dowiedziały się, że działała w AK.

Anna poszła do liceum z internatem w Krakowie, Ola zamieszkała u ciotki w Tarnowie. Po roku 15-latka spakowała walizkę i pojechała do szkoły starszej siostry. Wkrótce osierocone nastolatki liceum odesłało – do Krzeszowic.

DALEJ | Aleksandra Wróblewska: – Byliśmy braćmi i siostrami. Razem na wycieczkach, przy stole, w szkole. Zakład dawał atmosferę domu, przygotował do samodzielności. Dał szansę nowego życia.

Aleksandra skończyła geografię, po studiach wróciła do pałacu jako wychowawczyni. Mirosława Lombardo została aktorką teatralną i filmową. Ich siostry – nauczycielkami.

Jan Zaleski, który grał w sztuce Fredry, naukowo zajął się analizą językową jego utworów i badaniem nazw Podola, skąd pochodził. Zmarł w 1981 r. Pamięć o nim oraz o pomordowanych na Kresach podtrzymywał jego syn, ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski.

Martę Żurowską zafascynowało piękno dzieła sztuki, które można ocalić; została konserwatorką zabytków.

Jan Muszak, „Gibon", był koszykarzem. Powiedział mi: – Dla mnie trener to był ojciec, którego nie miałem. Cały mój sport był zasługą Krzeszowic. Tam się nauczyłem.

Stanisław Jedlewski w 1950 r. został przeniesiony do Warszawy. Był współautorem pierwszego podręcznika pedagogiki resocjalizacyjnej. Po jego odejściu Zakład przekształcił się w Dom Młodzieży. Poszczególne szkoły wyodrębniły się, sam ośrodek skupił się na funkcji wychowawczo-opiekuńczej, z czasem stając się tradycyjnym domem dziecka. W pałacu działał do 1976 r.

© JULIA KALĘBA-WYSOCKA

Autorka jest dziennikarką PAP.

Historia zakładu została odtworzona m.in. na podstawie publikacji „Mieliśmy kilkaset sióstr i braci" (1984). Pozostałe źródła: „Wspomnienia Wołynianki" Krystyny Pająk (w: „Polacy i Ukraińcy. Zabliźnić rany", 2001) i „Jan Zaleski. Kronika życia" w opracowaniu ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego (2010).

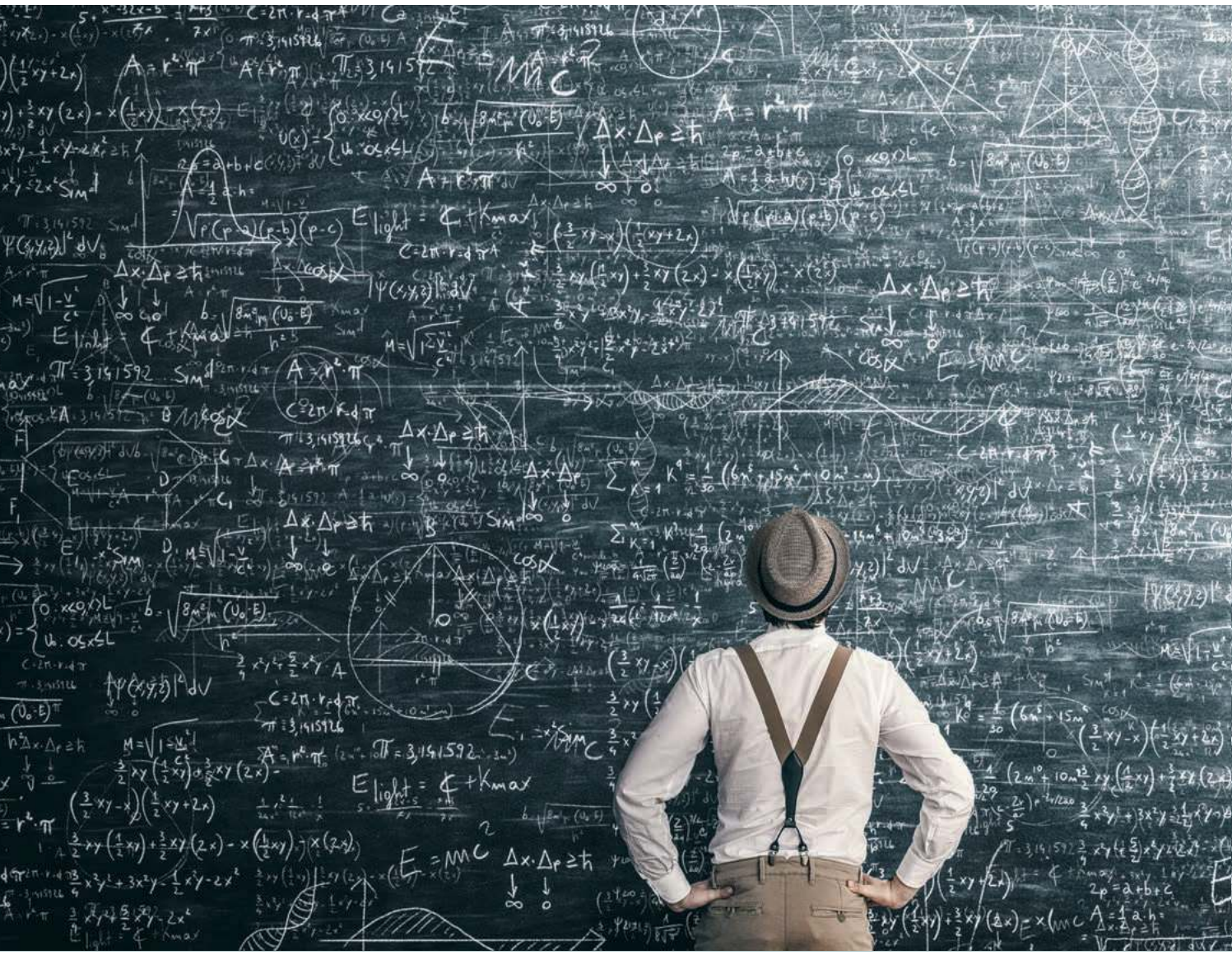
eprasa.pl 188c212f72

NAUKA

UTRACONA KRÓLOWA

Modele AI rozwiązały setki problemów matematycznych, z którymi zmagaliśmy się od dekad. Wchodzimy w erę, w której nauka może się rozwijać bez kluczowego wkładu człowieka.

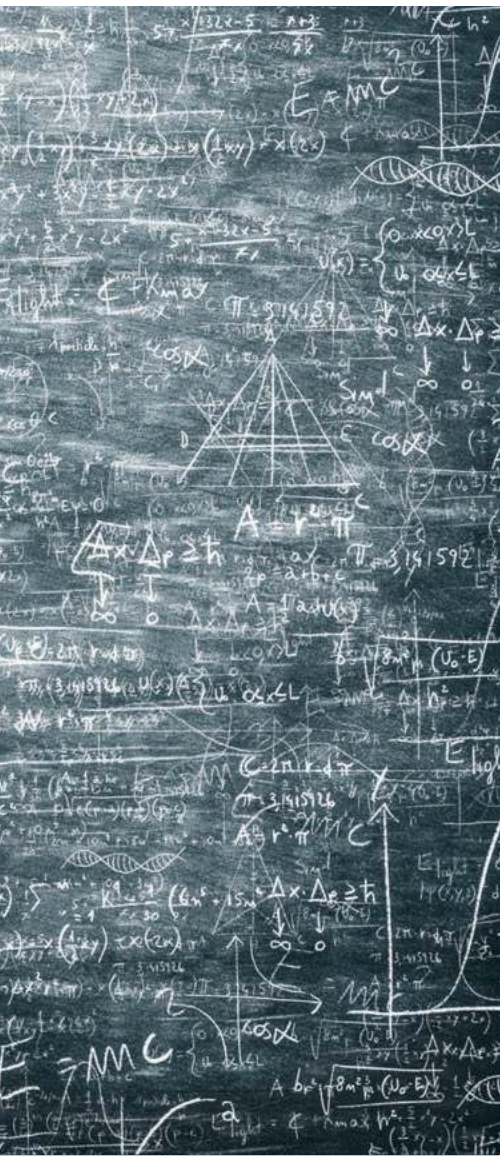
ŁUKASZ KWIATEK



eprasa.pl 188c212f72

Nie brakuje ludzi, którzy uważają, że matematyka istnieje w jakimś sensie niezależnie od nas. Nie chodzi im wyłącznie o to, że wykorzystujemy ją do opisywania i poznawania rzeczywistości (takie fizyczne obiekty jak czarne dziury czy kwarki najpierw przewidzieliśmy w matematycznych teoriach, a potem potwierdziliśmy ich istnienie obserwacyjnie), a więc przynajmniej niektóre struktury matematyczne manifestują się w otaczającym nas świecie.

Zwolennicy takiego poglądu – w filozofii nazywanego platonizmem matematycznym – mówią coś jeszcze głębszego. Ich zdaniem królestwo bytów matematycznych i łączących je relacji istniałoby nawet wtedy, gdyby nie istniał fizyczny wszechświat. Zgodnie z tym poglądem twierdzenie Pitagorasa nie potrzebowało ani Pitagorasa, ani nawet żadnej innej myślącej istoty, by być prawdziwe. Człowiek potrzebny jest jednak do tego, by tego rodzaju prawdy matematyczne odkrywać.



FRANKIE / SHUTTERSTOCK

To ostatnie zdanie nie budziło kontrowersji przez przeszło 2300 lat, od kiedy w podręczniku do geometrii Euklides pokazał, na czym polega uprawianie matematyki: wyciąganie wniosków z przyjętych założeń i dowodzenie twierdzeń. Ale dziś to zdanie wcale nie jest już oczywiste. Możemy się wręcz zastanawiać – a matematycy zaczęli to robić powszechnie – czy na świecie jest jeszcze miejsce dla rozwijających matematykę ludzi.

Wstrząs ostrzegawczy

Już pierwszy, ostrzegawczy wstrząs był bardzo silny. Na początku września OpenAI opublikowało rozwiązanie jednego z tzw. problemów milenijnych matematyki, dotyczącego równań Naviera–Stokesa, które w fizyce wykorzystywane są do opisania zachowania płynów. Rozwiązanie tego fundamentalnego problemu miał znaleźć wewnętrzny, jeszcze nieudostępniony publicznie model AI stworzony przez tę firmę.

Wówczas jeszcze wielu komentatorów skupiało się na kontrowersjach związanych z powstaniem tej publikacji, ponieważ równocześnie dwaj matematycy zmagali się z tym samym zagadnieniem z pomocą Chata GPT. Zastanawiano się więc, czy rozwiązanie maszynowe pokazane przez OpenAI nie zostało zanadto zainspirowane pracami ludzkimi, do których firma mogła uzyskać dostęp. Wypowiedzi o „końcu ery" czy „kresie matematyki, jaką znamy" miały dopiero nadejść.

Nie trzeba było jednak na nie długo czekać – świat matematyczny zatrząsł się w posadach 6 października. OpenAI udostępniło wtedy przeszło 700 artykułów zawierających rozwiązania ponad 300 problemów matematycznych. Były wśród nich takie, którym profesjonalni matematycy mogli poświęcić sporą część kariery.

Dowody i prompty

Matematycy od miesięcy zdawali sobie sprawę, że obecne modele AI mogą być pomocne w badaniach. W sierpniu powstał społecznościowy blog „Proofs and Prompts" (ang. dowody i prompty), na którym dzielono się doświadczeniami z uprawiania matematyki wspomaganej AI i omawiano dobre praktyki w tym zakresie.

Pierwsze opublikowane na nim wpisy były jeszcze entuzjastyczne. Np. Srivatsav Kunnawalkam Elayavalli z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley pisał, że AI kiedyś pewnie pokona człowieka w każdym aspekcie matematycznego rzemiosła, ale on nie przejmuje się tym zbytnio – przekonywał, że dzięki nowym modelom AI, z których sam chętnie będzie korzystał, nasze ludzkie doświadczenie matematyki będzie głębsze i bogatsze.

Inny autor, Shaowu Zhang z Kalifornijskiego Instytutu Technologicznego, opisywał, jak narzędzia AI ułatwiły jego zespołowi pracę nad pewnym złożonym problemem niemal na każdym etapie, oszczędzając im mnóstwo czasu. Porównał AI do teleskopu, który pozwala ujrzeć badaną strukturę matematyczną w optymalnej ostrości, ale przecież to ostatecznie człowiek decyduje o tym, na co kieruje przyrząd – i to człowiek musi zrozumieć, co przez niego widzi.

We wrześniowych wpisach matematyków, po ukazaniu się pracy na temat równań Naviera–Stokesa, widać już było lęk, którego emanacją był list otwarty do sir Paula Nurse'a, prezydenta Royal Society, podpisany przez 42 matematyków należących do tego szacownego towarzystwa naukowego. Sygnatariusze apelowali o to, by Royal Society, wykorzystując cały swój autorytet, uświadomiło władzom i społeczeństwu, że nie powinno się lekceważyć głosów ostrzegających przed zbyt szybkim obecnie tempem rozwoju AI.

List wspominał o trudnym do zbagatelizowania „ryzyku wyginięcia ludzkości", ale tym, co ostatecznie przekonało matematyków, iż sytuacja jest poważna, były najświeższe sukcesy AI na ich własnym poletku.

Krajobraz po bombardowaniu

Po 6 października w wypowiedziach matematyków dominowały żałoba i rozpacz.

„Zniszczyli całą moją dziedzinę badań. Płakałem w nocy tak głośno, że obudziłem córkę" – mówił na konferencji zorganizowanej przez Francuskie Towarzystwo Matematyczne Hugo Duminil-Copin, laureat Medalu Fieldsa ↦

eprasa.pl 188c212f72

↦ (najważniejszego wyróżnienia dla młodych matematyków) z 2022 r., cytowany przez dziennik „Le Monde".

Na blogu „Proofs and Prompts" pojawiło się przeszło sto różnych świadectw – sporo w podobnym duchu. Charles Bordenave z Uniwersytetu w Marsylii pisał, że „przed oczami stanął mu obraz bombardowania: zniszczone doktoraty, zdruzgotane kariery akademickie, całe dziedziny badań obrócone w gruzy. I dojmujące świadectwo brutalnego przełomu epokowego, w którym potężna korporacja demonstruje swoją niemal nieograniczoną moc, nie zważając na tych, których właśnie zmiażdżyła".

Tristan Humbert z Sorbony dodał, że z dnia na dzień zniknął nie tylko temat, którym zaczął zajmować się jeszcze w czasie doktoratu. Wyparowało intelektualne wyzwanie, które miało napędzać całą jego karierę.

„Czuję żal – to już fragment wpisu Annette Karrer z Uniwersytetu Wrocławskiego – żal z powodu tego, co mogliśmy utracić. Żal za badaniami, które ludzie mogliby przeprowadzić, podążając własnymi, nieraz krętymi ścieżkami w poszukiwaniu dowodów problemów, które sztuczna inteligencja rozwiązała niejako »przypadkiem«. Żal, że być może straciliśmy możliwość uprawiania matematyki w jej najpiękniejszej postaci – powoli, krok po kroku, mając do dyspozycji jedynie kredę i własny umysł. A przede wszystkim żal, że mogliśmy utracić niezależność matematyki od technologicznych korporacji, a wraz z nią niezależność całej nauki".

Owszem, nie wszyscy rozpaczają. Uri Bader z Instytutu Weizmana zauważył, że geografia jako dziedzina nauki nie umarła po wysłaniu satelitów na orbitę. „Ta profesja stała się mniej romantyczna [niż w czasach żaglowców przemierzających oceany – ŁK], ale nasze mapy stały się lepsze". Podobnie – przekonuje – będzie z matematyką, która także polega na eksplorowaniu zewnętrznej, obiektywnie istniejącej części rzeczywistości (nie bez powodów jego wpis został zatytułowany „wizja platońska").

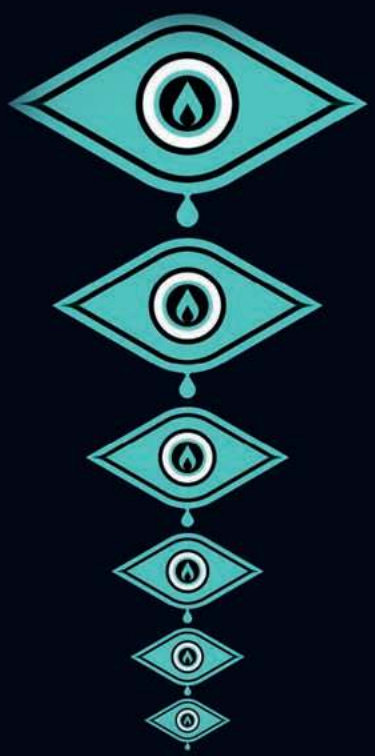
Inni dodają, że modele AI umożliwią stworzenie wielkich zespołów matematyków, które będą wspólnie zmagać się z zagadnieniami wcześniej trudnymi do wyobrażenia. Ale i tak można się poważnie zastanawiać, czy dalsza przydatność ludzi w eksplorowaniu świata matematycznych idei nie ma już raczej krótkiego terminu ważności.

Jak duża jest nieskończoność

Tego, że problemy matematyczne padną łupem sztucznej inteligencji, mogliśmy się spodziewać. AI już lata temu zdystansowała nas w grach planszowych, takich jak szachy czy go, które opierają się przecież na analizach matematycznych. Co prawda czysta matematyka nie polega na liczeniu, tylko na dowodzeniu twierdzeń – czyli znajdowaniu nowych ścieżek rozumowania i powiązań między ideami – ale to wciąż aktywność polegająca na przetwarzaniu zgodnie z regułami logiki ściśle zdefiniowanych pojęć. Właściwie bardziej powinno nas zaskakiwać, że maszyna potrafi tworzyć poezję przypominającą ludzką, niż to, że potrafi rozwijać matematykę.

Jest jednak istotny powód, dla którego analogia z grami planszowymi jest niedo-

REKLANA



SŁUCHOWISKO
Νόστοι. Powroty

Muzyka:
Michał Kuźniak (Nihil)

Przekład tekstu na starogrecki:
Olga Śmiechowicz

Występują:
Małgorzata Zawadzka
Krzysztof Zawadzki
Roman Gancarczyk

Tekst:
Dominik Gac

Reżyseria:
Michał Kuźniak (Nihil)
Dominik Gac
Olga Śmiechowicz

Realizacja radiowa:
Grzegorz Dąbek
Produkcja, opieka redakcyjna:
Justyna Nowicka

Radio Kraków

PRZEDPREMIEROWY ODSŁUCH W TECHNOLOGII DOLBY ATMOS:
16.11.2026 | GODZ. 18.00 | STUDIO IM. ROMANY BOBROWSKIEJ
PREMIERA NA ANTENIE RADIA KRAKÓW: 16.11.2026 | GODZ. 21.05

skonała. Szachy czy go to gry o zamkniętym zestawie reguł i ograniczonej (choć absurdalnie dużej) liczbie możliwych do wykonania ruchów. Zgodnie z zasadami szachów nie można powtarzać ruchów w nieskończoność, zatem skończona jest nawet liczba wszystkich możliwych do rozegrania partii. Tymczasem matematyka jest nieskończona, i to chyba w każdym możliwym znaczeniu tego słowa.

Można więc pytać, czy AI, wyszkolona na dotychczas opublikowanych pracach matematycznych, jest w stanie tę nieskończoność zgłębić? Czy może potrafi „jedynie" (choć brutalnie skutecznie) zapełniać luki w naszych dotychczasowych rozumowaniach? Może do tego, by np. otwierać całkowicie nowe dziedziny matematyki, potrzebny jest jednak ludzki umysł?

Docieramy do pytania o prawdziwą kreatywność AI, na które nie jest wcale łatwo odpowiedzieć. Zapytałem znanego także z tych łamów fizyka matematycznego Tomasza Millera, czy tę kreatywność dałoby się przetestować. Odpowiedział, że ciekawym eksperymentem mogłyby być modele z tzw. odcięciem czasowym. Czyli AI, w której zasobach treningowych znalazły się wszystkie prace opublikowane do roku 1905, w którym Albert Einstein stworzył szczególną teorię względności. Moglibyśmy wówczas sprawdzić, czy model sam zaproponowałby te same równania, a potem rozwinął je także w ogólną teorię względności.

To byłby drogi eksperyment – wytrenowanie modelu to inwestycja rzędu dziesiątek milionów dolarów – ale potencjalne zyski wizerunkowe byłyby dla jego twórców bezcenne. A koszt i tak zniknie w setkach miliardów, które firmy AI inwestują w infrastrukturę obliczeniową, niezbędną do tego, by z ich modeli mogły codziennie korzystać miliardy użytkowników. Taki eksperyment jest więc poważnie rozważany.

Analogie do analogii

Inna rzecz, że skoro model OpenAI rozwiązuje już problemy, z którymi od dawna zmagają się największe ludzkie umysły, to podejrzewanie go o braki w kreatywności jest nietaktowne. Matematycy z „Proofs and Prompts" zwracają zresztą uwagę, że w pracach udostępnionych przez OpenAI pojawiają się nowe, pomysłowe idee matematyczne, na których ludzie z pewnością skorzystają, gdy już je przyswoją. Co skądinąd może zająć trochę czasu.

CHARLES BORDENAVE, MATEMATYK:

Przed oczami stanęły mi zniszczone doktoraty, zdruzgotane kariery akademickie, całe dziedziny badań obrócone w gruzy.

Gdy mowa o kreatywności, warto mieć w głowie słowa Stefana Banacha, który – jak wspomina w „Przygodach matematyka" Stanisław Ulam – stwierdził kiedyś: „Dobry matematyk widzi analogie pomiędzy twierdzeniami lub teoriami, ale najlepsi widzą analogie między analogiami". A przecież dostrzeganie powtarzających się wzorców i analogii to właśnie coś, w czym sztuczna inteligencja się specjalizuje.

Jeśli zatem AI faktycznie zdystansuje człowieka na gruncie „królowej nauki" – podkreślmy, że wszystko wskazuje na to, iż to już się stało – to konsekwencje będą trudne do wyobrażenia także dla wielu innych dyscyplin. Czemu bowiem podobny przełom miałby się nie dokonać w fizyce teoretycznej? A potem w silnie zmatematyzowanych dziedzinach chemii, biologii, neuronauki, inżynierii materiałowej, nie mówiąc o ekonomii? A gdy nasze podręczniki zdominują nowe teorie rozwijane przez AI, to czy w badaniach eksperymentalnych (tych wymagających pobrudzenia sobie rąk) i ona nie będzie dyktować następnych kroków?

Jest jasne, dokąd to rozumowanie zmierza – do pytania o to, kim właściwie będzie jeszcze w nauce – i w nowej rzeczywistości – człowiek. Po 300 tysiącach lat istnienia gatunku nie tylko przestaliśmy być istotami, które mają monopol na zgłębianie tajemnic rzeczywistości. Właśnie tracimy w tym zakresie prymat, a nasza konkurencja – owszem, taka, którą sami stworzyliśmy i ciągle udoskonalamy – niedługo tak nam ucieknie, że zniknie nam z oczu. Czy przyszłość matematyki – i innych dziedzin nauki – polegać będzie na tym, że będziemy jedynie starali się zrozumieć to, do czego samodzielnie dojdzie AI?

Zostaną tylko poeci

Trudno się więc dziwić, że matematycy gromadnie wpadli w panikę, a wkrótce zapewne podobne emocje przeżywać będą specjaliści w innych dziedzinach. Na poziomie społeczeństwa zaczniemy się zaś zastanawiać nad tym, jak wiele pieniędzy powinniśmy wydawać na uniwersytety i zatrudnionych tam naukowców. Jak ich rozliczać z pracy, skoro już teraz całe publikacje i wnioski grantowe jest w stanie kompetentnie wytwarzać AI?

Serwis arXiv.org, na którym naukowcy udostępniają swoje prace, został tak bardzo zalany materiałami, że wprowadził dla użytkowników limit dwóch nowych prac miesięcznie. Europejska Rada ds. Badań Naukowych (ERC) szacuje, że będzie w stanie sfinansować tylko kilka procent zgłaszanych w konkursach wniosków. Tak bardzo w krótkim czasie wzrosła ich liczba. To prawdopodobnie oznacza, że zmierzamy w kierunku modelu nauki, w którym o sfinansowaniu badań decydować będzie losowanie.

Społeczeństwo będzie się więc zastanawiać, czy warto zatrudniać na uczelniach naukowców i płacić im za to, by próbowali zrozumieć coś, co AI (rozwijana przez prywatne firmy!) zechce im objawić. Przerabialiśmy już w historii cywilizacji konsekwencje automatyzacji ludzkiej pracy, ale łatwiej było się nam pogodzić z tym, że scedowaliśmy na maszyny czynności, które wcześniej wykonywano ręcznie (mimo dramatu wielu rodzin, tracących z dnia na dzień źródło dochodów). Wkrótce jednak oddamy maszynom nawet te dziedziny, które wymagają pracy najbardziej niezwykłych umysłów.

W nowej rzeczywistości niezastąpieni pozostaną chyba tylko poeci, bo przecież w poezji chodzi nie tylko o zgrabnie poukładane słowa, ale wspólną płaszczyznę przeżyć i doświadczeń, które dzielimy z innymi kruchymi, cielesnymi istotami. Dlatego ludzką poezję zawsze będziemy cenić bardziej od tej symulowanej, maszynowej. Nawet jeśli i poeci po kryjomu korzystać będą z językowych podpowiedzi modeli AI.

©℗ ŁUKASZ KWIATEK

eprasa.pl 188c212f72

Pułapka na antymaterię

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

WSZECHŚWIAT | Fizycy z Uniwersytetu Północno-Zachodniego nauczyli się przez miesiące utrzymywać cząstki antymaterii. Chcą się im przyjrzeć i wyjaśnić, dlaczego po Wielkim Wybuchu zostało cokolwiek, z czego mógł powstać świat.

BÓG DECYDUJE, MY MIERZYMY – MÓWI enigmatycznie prof. Gerald Gabrielse.

Rozmawiamy przez Zooma. Fizyk trzyma telefon na poziomie pasa, z kamerą wycelowaną w górę, w stronę twarzy. Energicznie maszeruje przez kampus – nad nim widać błękitne, jesienne niebo, drzewa i wieżyczki XIX-wiecznych, neogotyckich budynków uczelni.

Pytam, czy jego najnowszy eksperyment może zrobić wyłom w fundamencie współczesnej fizyki – Modelu Standardowym. Gabrielse chce sprawdzić, czy elektron i jego odpowiednik w antymaterii, pozyton, są swoimi lustrzanymi odbiciami, czy też dzielą je fundamentalne różnice. Model zakłada to pierwsze. Ale wszechświat sugeruje to drugie. – Na pewno zmieniłoby to moje życie. Musiałbym udzielać znacznie więcej takich wywiadów – odpowiada.

Gabrielse kieruje Centrum Fizyki Fundamentalnej na Uniwersytecie Północno-Zachodnim pod Chicago. Od dziesięcioleci zajmuje się pomiarami tak precyzyjnymi, że samo ustalenie, czy aparatura się nie myli, bywa osobnym przedsięwzięciem badawczym. Jego zespół pobił rekord dokładności pomiaru własności magnetycznych elektronu. Wynik okazał się zgodny z teorią. Fizyk jest tym jednocześnie zachwycony i sfrustrowany.

– To naprawdę dziwne, że Model Standardowy działa tak dobrze, a jednocześnie nie potrafi wyjaśnić podstawowych cech wszechświata. To dla mnie wielka zagadka – mówi.

Model Standardowy opisuje cząstki elementarne i trzy z czterech znanych oddziaływań między nimi. Fizyków irytuje nie dlatego, że często zawodzi, ale przeciwnie – to, że w doświadczeniach niemal bez przerwy odnosi sukcesy. Przewiduje wyniki pomiarów z oszałamiającą dokładnością. A przecież nie mówi wszystkiego: nie obejmuje grawitacji, nie wyjaśnia natury ciemnej materii ani tego, dlaczego wszechświat wygląda tak, jak wygląda. W szczególności nie rozwiązuje problemu, który daje się streścić prostym pytaniem: gdzie podziała się antymateria?

Świat, którego nie powinno być

Każdy elektron ma swojego antymaterialnego odpowiednika – pozyton. Obie cząstki mają tę samą masę, ale przeciwne ładunki elektryczne. Gdy się spotkają, anihilują. Czyli znikają, a ich energia zostaje przeniesiona na inne cząstki, w najprostszej wersji dwa kwanty światła. Antymateria nie jest więc wymysłem fantastyki. Fizycy potrafią ją wytwarzać, wykrywać i wykorzystywać. Pozytony są obecne choćby w badaniu PET, gdzie promieniowanie powstające przy ich anihilacji pomaga odtworzyć obraz wnętrza ciała.

Kłopot zaczyna się, gdy cofniemy opowieść o wszechświecie do jego pierwszych chwil. Znane procesy fizyczne każą oczekiwać, że we wczesnym, bardzo gorącym kosmosie powstawały równe ilości materii i antymaterii. Gdyby bilans pozostał idealnie równy, cząstki i antycząstki wzajemnie by się unicestwiły. Nie byłoby atomów budujących gwiazdy, planety ani nas.

– Wszystko by anihilowało, kiedy wszechświat stygł, i nie zostałoby nic z tego, co nas otacza. Wystarczy się rozejrzeć, żeby zobaczyć, że to dość kiepskie przewidywanie – zauważa Gabrielse.

Zagadki nie wyjaśnia nawet całkowicie egzotyczne założenie, że po Wielkim Wybuchu materia i antymateria poszły swoimi drogami. Materia w lewo, antymateria w prawo. Bo musiałby istnieć jakiś obszar graniczny.

– Gdyby gdzieś był duży obszar antymaterii, to na granicy z materią cząstki stale by anihilowały – tłumaczy dr Barbara Maria Latacz, koordynatorka techniczna eksperymentu BASE w CERN pod Genewą. – Robi się obliczenia, jakiej energii powinno być to promieniowanie, i się go szuka. Nie znaleziono go. Mamy więc poważne obserwacje astronomiczne, że antymaterii we wszechświecie nie ma, a przynajmniej nie ma jej wystarczająco dużo. Gdzieś musi być błąd.

Nie oznacza to, że fizycy nie mają żadnych pomysłów. Znają procesy, w których materia i antymateria zachowują się odrobinę inaczej. Różnice te są jednak zbyt małe, by w znanej postaci wyjaśnić przewagę materii w kosmosie. Może istnieją nieodkryte cząstki albo oddziaływania. Może pewne symetrie przyrody nie są tak doskonałe, jak sądzimy. Każda hipoteza wymaga doświadczenia, które mogłoby ją obalić.

– W fizyce nie wierzymy w przypadki – mówi dr Latacz. – Więc ktoś musi ten przypadek wytłumaczyć.

Jedna liczba, wielka stawka

Gabrielse'a interesuje moment magnetyczny elektronu. Mówi o tym, jak cząstka reaguje na pole magnetyczne. Elektron zachowuje się poniekąd jak mikroskopijny magnes. Jego siłę i zachowanie fizycy potrafią zarówno obliczać oraz mierzyć. Zestawienie obu wyników jest jednym z najczulszych sprawdzianów współczesnej fizyki.

Za tą jedną liczbą stoi długa historia. Gdy narodziła się mechanika kwantowa, okazało się, że klasyczny obraz wirującego ładunku nie nadaje się do opisu elektronu. Własności magnetyczne tej cząstki są inne, niż podpowiadałaby intuicja. Potem teoretycy nauczyli się uwzględniać subtelne poprawki wynikające z oddziaływań kwantowych, a eksperymentatorzy sprawdzali je z coraz większą precyzją. Na kolejnych etapach tej historii pojawiały się odkrycia nagradzane Noblami.

– Cała mechanika kwantowa istnieje dzięki tej jednej głupiej cyferce – żartuje Latacz. To fundament współczesnej fizyki: niewielka rozbieżność między wynikiem a przewidywaniem mówi więcej niż efektowny eksperyment.

W 2023 r. zespół Gabrielse'a zmierzył moment magnetyczny elektronu z niepewnością 0,13 części na bilion. To mniej więcej jak pomiar odległości z Ziemi do Księżyca z dokładnością do grubości

eprasa.pl 188c212f72



CERN

Ciężarówka z antyprotonami na terenie CERN, 24 marca 2026 r.

włosa. Teraz badacze chcą osiągnąć podobną precyzję dla pozytonu. W fizyce istnieje bowiem zasada znana jako symetria CPT. Jej nazwa jest skrótem od trzech operacji: zamiany cząstek na antycząstki (co zamienia ładunki ujemne na dodatnie i na odwrót; ładunek to po angielsku *charge*), lustrzanego odwrócenia przestrzeni (co oznacza technicznie odwrócenie „parzystości", ang. *parity*) i odwrócenia kierunku czasu (ang. *time*). Zgodnie z tą zasadą prawa fizyki po wykonaniu wszystkich trzech operacji naraz powinny pozostać takie same.

Momenty magnetyczne elektronu i pozytonu powinny mieć taką samą wartość bezwzględną, lecz przeciwne znaki, zgodnie z przyjętą konwencją. Dotychczasowe pomiary nie wykazały odstępstwa. Ale dokładność pomiarów obu cząstek była bardzo nierówna. Elektron zbadano znacznie dokładniej.

Kilka szczebli energii

W październiku badacze opisali swoje osiągnięcie w „Physical Review Letters". Poprosiłem dr Latacz, żeby wytłumaczyła, co właściwie udało się zrobić, tak jak wytłumaczyłaby to swojej babci.

– Zespół Gabrielse'a złapał pojedynczy antyelektron, który nazywamy pozytonem, w pułapkę, którą nazywamy pułapką Penninga, i przechował go przez dość długi czas. Ale to nie jest tu najważniejsze. Najważniejsze jest to, że schłodził go do bardzo niskiej temperatury – mówi.

Naładowana cząstka porusza się w polu magnetycznym po zakrzywionym torze. Ale w świecie kwantowym nie może przyjmować dowolnej energii tego ruchu. Dostępne są tylko określone poziomy. Wyobraźmy sobie drabinę: można stanąć na pierwszym lub drugim szczeblu, ale nie pomiędzy nimi. Najniższy szczebel fizycy nazywają stanem podstawowym. Trzeba zaś obniżyć energię układu bardzo, bardzo nisko – stąd to ochładzanie – aby dochodziło w nim do przeskoków tylko pomiędzy najniższymi szczebelkami.

– Pozyton jest w stanie podstawowym, a my rozróżniamy przejścia między najniższymi szczeblami. Tego nikt wcześniej nie zrobił – mówi Gabrielse.

Naukowcy potrafili dostarczać pozytonowi energię mikrofalami i przesuwać go o jeden szczebel w górę. Nauczyli się również odwracać jego spin. To kwantowa własność związana z momentem magnetycznym; w dużym uproszczeniu można ją sobie wyobrazić jak kierunek wskazówki maleńkiego kompasu. Spin nie oznacza jednak, że cząstka dosłownie obraca się wokół własnej osi niczym piłka.

Dlaczego to takie ważne? Bo moment magnetyczny zdradza się w tym, jak cząstka reaguje na pole magnetyczne oraz jak zmienia energię przy odwróceniu spinu. Żeby zmierzyć go z niebywałą dokładnością, fizycy muszą umieć oddzielić te zmiany od całego pozostałego ruchu. Muszą wiedzieć, na którym szczeblu znajduje się cząstka, kontrolować jej przejścia i odczytać sygnał tak słaby, że łatwo pomylić go z zakłóceniem.

– Dzięki temu możemy po raz pierwszy zmierzyć moment magnetyczny pozytonu metodami kwantowymi – mówi Gabrielse. Z elektronem jego zespół robił to już wcześniej. Teraz pojawiła się szansa na porównanie dwóch cząstek tą samą, bardzo czułą metodą.

Jedenaście godzin na cząstkę

W laboratorium pod Chicago pozytony pochodzą z radioaktywnego sodu-22. Podczas rozpadu jego jąder wylatują z wielką prędkością. Takiej cząstki nie da się od razu zamknąć w pułapce przeznaczonej do precyzyjnych pomiarów. Najpierw trzeba ją spowolnić.

Pomaga w tym wolfram. Przelatując przez odpowiednio przygotowany kryształ, część pozytonów traci energię. Większość nie nadaje się już do wykorzystania, ale niektóre łączą się na bardzo krótko z elektronami, tworząc pozytonium. To niezwykły układ: cząstka i antycząstka nie anihilują, lecz na krótką chwilę wiążą się ze sobą, tworząc coś w stylu bardzo nietypowego atomu. Ponieważ elektron i pozyton mają przeciwne ładunki, tworzą całość elektrycznie obojętną. Dzięki temu pozytonium może dostać się przez otwór do wnętrza aparatury w sposób niedostępny dla swobodnego naładowanego pozytonu.

Tam pole elektryczne rozdziela parę. Elektron zostaje usunięty, a pozyton pozostaje w pułapce. Brzmi prosto, ale jest owocem wielu etapów przygotowywania i selekcjonowania cząstek. – To było dla nas największe wyzwanie – przyznaje Gabrielse. – W niewielkiej przestrzeni, w której panuje próżnia, musimy spowolnić te pozytony i schłodzić je prawie do zera absolutnego.

W praktyce uzyskanie pojedynczego pozytonu gotowego do dalszej pracy zajmuje zespołowi od ośmiu do jedenastu godzin. A potem zaczyna się zadanie równie wymagające: trzeba sprawić, żeby cząstka pozostała dokładnie tam, gdzie fizycy chcą, i zachowywała się w przewidywalny sposób. Pułapka Penninga łączy silne pole magnetyczne z polem elektrycznym wytwarzanym przez elektrody. Cząstka pozostaje w próżni, z dala od ścianek urządzenia. Magnes w eksperymencie z Northwestern wytwarza pole ponad sto tysięcy razy silniejsze od ziemskiego. Wnętrze aparatury utrzymywane jest w temperaturze zaledwie trzech dziesiątych stopnia powyżej zera absolutnego.

Skąd wiadomo, że udało się złapać dokładnie jedną cząstkę? ↦

eprasa.pl 188c212f72

↦ – Widzimy sygnał elektryczny – odpowiada Gabrielse. Gdyby w pułapce znalazły się dwie cząstki, sygnał byłby inny. Naukowcy mają też niezależne sposoby sprawdzenia, czy obserwowane skoki energetyczne należą do jednego pozytonu. Przy właściwym pomiarze momentu magnetycznego trzeba będzie nadal wykluczać nawet tak subtelne zakłócenia, jak obecność niepożądanej cząstki na skraju pułapki.

Antymateria w ciężarówce

Dr Latacz zna te problemy od drugiej strony. Jej zespół w CERN pracuje z antyprotonami, czyli antycząstkami protonów. Także przechowuje je w pułapkach i bada ich własności magnetyczne. Warunki są inne, ale przeciwnik ten sam: każda cząstka zwykłej materii, która dostanie się do środka.

– Najtrudniej jest zbudować całą aparaturę tak, żeby można było wprowadzić cząstki do pułapki z bardzo wysoką próżnią i utrzymać tę próżnię przez bardzo długi czas – tłumaczy. Jeśli do wnętrza wpadnie resztka gazu, antyproton może zderzyć się z jej cząstką i anihilować.

We marcu zespół BASE pokazał, że antymaterię można nawet przewozić. Ciężarówka przejechała po terenie CERN z przenośną pułapką zawierającą 92 antyprotony. Żaden nie został utracony. To doświadczenie ma bardzo praktyczne znaczenie. Umożliwia badania antycząstek w laboratoriach, w których warunki pomiarowe mogą być lepsze niż w miejscu ich wytwarzania.

Dlaczego zatem potrzebny jest drugi eksperyment z pozytonem? Proton, podobnie jak antyproton, składa się z mniejszych cząstek – kwarków. Elektron i pozyton są, według obecnej wiedzy, elementarne: nie znamy żadnych ich składników. Mogą więc ujawniać odmienne ślady nieznanej fizyki.

– Nie wiemy, czego szukamy, więc oba pomiary są ważne – mówi Latacz. Gabrielse ujmuje to podobnie: – Proton i antyproton to co innego. Mają w środku kwarki. Elektron, o ile wiemy, nie ma w środku nic. To inna fizyka, więc te eksperymenty szukają w innych miejscach.

Rysa na lustrze

Gabrielse pamięta list od Freemana Dysona, wybitnego fizyka pracującego nad elektrodynamiką kwantową – teorią oddziaływania światła i naładowanych cząstek. Dyson napisał go po jednym z wyjątkowo dokładnych pomiarów elektronu. „W 1949 r. uważaliśmy elektrodynamikę kwantową za konstrukcję skleconą naprędce. Nie spodziewaliśmy się, że przetrwa dłużej niż dziesięć lat, zanim zastąpi ją lepiej zbudowana teoria. A jednak ta rozklekotana konstrukcja wciąż stoi" – pisał legendarny fizyk. Dodawał, że zdumiewa go, jak wiernie natura stosuje się do równań, które jego pokolenie kiedyś „tak niedbale nabazgrało".

Model Standardowy irytuje fizyków nie dlatego, że często zawodzi, ale właśnie dlatego, że w doświadczalnych testach niemal bez przerwy odnosi sukcesy.

– Szukamy w laboratorium miejsca, w którym widać pęknięcia w Modelu Standardowym – mówi Gabrielse. – Nie umiem powiedzieć, czy to będzie właściwy eksperyment. Łowimy rybę, której wielkości, kształtu ani koloru nie znamy.

W takim połowie łatwo pomylić cierpliwość z bezczynnością. Zespół już mierzy moment magnetyczny pozytonu metodą wypracowaną dla elektronu. Gabrielse ma nadzieję, że wyniki uda się opublikować wiosną lub latem 2027 r. Zastrzega jednak, że zanim liczba trafi do artykułu naukowego, trzeba starannie przeanalizować każde możliwe źródło błędu.

Badacze szacują, że osiągnięcie dla pozytonu precyzji porównywalnej z elektronem pozwoliłoby ponad trzydziestokrotnie zaostrzyć dotychczasowy test symetrii CPT w tym układzie. To nie jest kosmetyczna poprawka. W pomiarach, w których liczy się maleńki ułamek ułamka, zwiększenie dokładności o jeden rząd wielkości może wymagać lat pracy. A tu chodzi o jeszcze więcej. – Czymś innym jest zmierzyć coś dwa razy lepiej, a czymś innym trzydzieści razy lepiej – podkreśla Latacz.

Frajda z nieistnienia

Co się wydarzy, jeżeli nowe wyniki pomiarowe okażą się zgodne z teorią? Nie będzie fajerwerków ani przełomu ogłoszonego na konferencji prasowej. Fizycy będą za to wiedzieli, że kolejny, wcześniej niedostępny obszar możliwych odstępstw został wykluczony. A jeśli znajdą różnicę? Najpierw spędzą długie miesiące, być może lata, próbując dowieść, że otrzymany wynik nie jest błędem. Dopiero wtedy będzie można mówić o odkryciu, które wymaga zmiany teorii.

Nawet ewentualna wykryta różnica nie rozwiązałaby automatycznie zagadki zniknięcia antymaterii. Problem kosmicznej asymetrii obejmuje procesy zachodzące we wczesnym wszechświecie i wymaga odpowiedniego mechanizmu fizycznego. Ale wynik wskazujący, że materia i antymateria różnią się w sposób dotąd nieznany, zmieniłby listę możliwych wyjaśnień. I zapewne kierunek poszukiwań wielu laboratoriów.

– Po prostu nie rozumiemy, jak powstał wszechświat – mówi Latacz. – Gdybym wiedziała, gdzie jest odpowiedź, mielibyśmy ją już na stole. I nie martwiłabym się o pracę przez następne pięćdziesiąt lat.

Pytam, co najbardziej pociąga ją w pracy z antymaterią. – Fajnie jest badać coś, czego nie ma – odpowiada. – Z Modelu Standardowego i ze wszystkich reakcji jądrowych wiemy, że antymateria powinna być. A wiemy, że jej nie ma. To jest po prostu ciekawe.

Gabrielse nie obiecuje odpowiedzi. Być może dostanie liczbę zgodną z przewidywaniami do kolejnego miejsca po przecinku. Być może okaże się, że od dawna szukana rysa rzeczywiście istnieje. Na razie pozwolił pozytonowi zejść na najniższy szczebel energetycznej drabiny – i nauczył się rozpoznawać, kiedy ten przeskakuje na następny.

– Fizyka w końcu zawsze się przydaje, bo zawsze coś z niej wychodzi dla społeczeństwa – mówi Latacz. – Jeśli jakoś trzeba spędzić życie, to czemu nie jako fizyk, który pracuje z pojedynczymi antyprotonami? Bardzo polecam.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

eprasa.pl 188c212f72

VISIT GDANSK

DOBRA PORA NA GDAŃSK

Gdy letnie tłumy znikają, Gdańsk nabiera wyjątkowego klimatu. Jesień to idealny czas, by odkrywać różne oblicza miasta – od surowych, postindustrialnych przestrzeni dawnych terenów stoczniowych po szerokie plaże, idealne na spacer i chwilę wytchnienia. To także świetny moment, by poznać Gdańsk od kulinarnej strony – od lokalnych smaków po ich nowoczesne interpretacje.

Pobierz darmowy e-book

na visitgdansk.com
i zaplanuj jesienny city break
w Gdańsku





DO ZOBACZENIA w Gdańsku!

REKLAMA

eprasa.pl 188212172

S-NET
GRUPA TOYA

Data Center
dla Twojego biznesu
w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy S-NET Data Center

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.

- Gwarancja SLA
- Obiekt klasy Tier 3
- Transmisja danych do krajowych operatorów
- Samodzielny dostęp do szaf w trybie 24/7
- Redundantne połączenie z siecią Internet
- Monitoring 24/7 oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.

- Systemy przeciwpożarowe
- Systemy chłodzenia
- Niezależne zasilanie



REKLAMA

s-net.pl/data-center

Skontaktuj się z nami
+48 12 395 71 00

eprasa.pl 188c212f72



TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 46/2026

Dosyć już o mnie. Barańczak: 30. rocznica urodzin

eprasa.pl 188c212f72



RAFAŁ KLIMKIEWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Stanisław Barańczak na spotkaniu ze studentami Uniwersytetu Śląskiego. Katowice, 1996 r.

Mów, jak Ty się czujesz

KRZYSZTOF SIWCZYK

Mój podziw dla poezji Stanisława Barańczaka wiąże się z oporem poety wobec ekspozycji własnego „ja". Jakże to niedzisiejsze! I maksymalnie wyzywające.

W lekturze młodzieńczej, prawdziwie formatywnej, zwykle chodzi o „odwracanie porządku", poszukiwanie autorskiego ujęcia świata, który mój własny świat wywróci na nice. Wierszom Stanisława Barańczaka tymczasem zawdzięczam uporządkowanie – w estetycznym i etycznym imaginatorium – losów pokolenia moich rodziców. Unieruchamiają one na moment rzeczywistość, o której dowiadywałem się z drugiej ręki aluzji, szeptanych krytyk i głośnych diatryb przy wigilijnych stołach w latach 80., niewiele z tego rozumiejąc.

Byłem dzieckiem z „betonu, zmęczenia i śniegu", dorastającym w prowincjonalnym mieście, w zonie gierkowskich bloków, w których faza prądu siadała równie często, co nadzieja na lepsze jutro. Społeczeństwo wydawało mi się obleczone w smutne jesionki, żyłem wśród „ludzi nieznacznych" żywiących się pierogami z serem, w pełni oddany szczęśliwemu dzieciństwu pod coraz bardziej dychawiczną czapą rozklekotanej jak trabant komuny.

Bieg historii zdawał mi się nieledwie indyferentnym pochodem w te same dni, następujące po sobie jak kolejne, coraz bardziej umowne święta, podczas których mogłem zasmakować w uszkach. Ewidentnie miałem pod dostatkiem czasu do tracenia. Wszystko wokół zdawało mi się reglamentowaną apokalipsą, kroplówką sączącą niedobór przyszłości. Byłem wolny wolnością niezapośredniczoną w nadzieję zmiany na inne, bo przecież nie lepsze, urządzenie świata.

Wystarczył mi odwieszony po stanie wojennym „Teleranek", parę marek, które dostałem na komunię i fartuszek z kretonu do szkoły, gdzie żyłem wspólnotą analogicznych potępieńców – dzieci gorszego Boga podobieństwa. Tamten świat nas nie poróżniał. Żyliśmy w zgodzie z tym, co jest.

Nie mogłem lepiej trafić!

Brakujący ląd

Moje latentne lęki i smuteczki zyskiwały natychmiastową reprezentację w rzeczywistości społeczno-politycznej, a wewnętrzne pejzaże dziecięcej wyobraźni

eprasa.pl 188c212f72

miały walor mimetycznej kalki widoku zza okna, na drugim piętrze mojego bloku, z którego widać było tylko kolejny blok. Na tym kończył się horyzont wielkiego świata. W jego śmierdzących przetworami podpiwniczeniach natomiast działo się życie alternatywne.

Po dziś dzień pamiętam próby kapel punkowych, które zakładali starsi ode mnie, zbuntowani, politycznie wzmożeni koledzy. I dźwięk syczących zapałek, z których robiłem „stalaktyty". Moja pamięć szczegółu zaczyna się gdzieś w okolicach 1986 r., kiedy Barańczak był już metafizykiem pełną gębą, oglądającym skarlały PRL zza wielkiej wody, z innych – mówiąc przekładanymi przez niego wierszami Philipa Larkina – „wysokich okien".

Poezję autora „Atlantydy" odkryłem dla siebie dopiero w początkach lat 90. I było to odkrycie zaginionego, brakującego lądu na psychoanalitycznej mapie, która nagle ukazała mi, gdzie przyszło żyć moim rodzicom, jak „określona epoka" wyprofilowała ich duchowe biografie. Wreszcie – z jakimi dylematami wiązało się funkcjonowanie tyleż w fikcji państwa, co w jego realnej przemocy i w potwornych przepaściach, jakie dzieliły słowa od rzeczy, ludzi od siebie, marzenia od faktów.

Barańczak darował mi swoimi wierszami pewne kontinuum rozumienia różnych wyborów życiowych, które odpowiedzialne były za specyficzny smutek – czy może ściślej – za obniżony nastrój i rezerwę, jakie wyczuwałem każdego ranka, kiedy rodzice zbierali się do życia w reżimie i kiedy ruszała codzienna praca rytuału „sztucznego oddychania" i strachu, zapobiegliwości i antycypacji jutra przynoszącego coraz bardziej absurdalne wiadomości z kolejnego odcinka osiągnięć socjalizmu. Jego ludzka, wykrzywiona twarz co sobotę rano wykrzykiwała na blokowisku „kartofle, kartofle". I chyba – przywołując tytuł książki Ryszarda Krynickiego – „niewiele więcej".

Na barkach gigantów

Dziś wiersze Barańczaka z lat 70. zdają się melancholijnym rezerwuarem Realnego, przywróceniem materialności świata w jego ranliwej, ironicznej i autoironicznej ekspozyturze, i jako takie doskonale obywają się bez moralnej słuszności, zdeponowanej przecież w całym doświadczeniu poezji „nowofalowców". Po prostu czytam ją dziś inaczej niż kiedyś.

To „kiedyś" zdaje mi się odległe, ale doskonale pamiętam, że na maturze ustnej z języka polskiego wylosowałem właśnie Barańczaka, a może został mi podsunięty? Chodziłem do liceum, które kończył Adam Zagajewski i Julian Kornhauser, byłem jedynym uczniem w klasie matematyczno-fizycznej, który pisał wiersze. A przynajmniej jedynym, który się do tego przyznawał.

Ochoczo zacząłem lać wodę o Barańczakowym etosie inteligenckim, natychmiastowo podżyrowałem swój wywód znajomością relacji w dawnej opozycji demokratycznej, coś wzmiankowałem o lingwistycznym sznycie wierszy demaskujących nowomowę komunistycznych mediów, pochwaliłem się również cytatem z „Ja wiem, że to niesłuszne". I słusznie dostałem piątkę.

To była zupełnie inna ocena niż ta, którą poezji Barańczaka wystawił na łamach krakowskiego „NaGłosu" w początku lat 90. Marcin Świetlicki – jeden z głosów mojej literackiej młodości – odsądzając ją od czci i wiary, zarzucając jej, że w co drugim Polaku widzi milicjanta w cywilu, sama pozostając twórczością „nieszczerą i nieczystą". Mój szok poznawczy po przeczytaniu tych słów spowodował natychmiastową problematyzację pojęć czystości i szczerości, jakoby przynależnych aktom lirycznym.

Nikt tak pięknie jak poeci pokolenia „bruLionu" nie mordował literackich ojców i w ich miejsce proklamował całkiem nowych, głównie zaoceanicznych. Sam w tych rytualnych mordach brałem udział, wszak rozpychanie się i szukanie swojego miejsca obok czy na barkach gigantów było wtedy całkiem w modzie.

Do literatury wchodziło się ławą, podczas gdy poeci „pokolenia 68" dawno już o ławie zapomnieli, wiodąc samotne, literackie życia. Pielęgnując rzecz jasna niedawne wspólnoty, które inaczej już obsługiwały etycznie i estetycznie pierwszą dekadę wolności zainaugurowanej przełomem 1989 r., przeszli w obszar klasycznienia.

Wiersz ze wszystkiego

W tamtym okresie Barańczak zaliczał również wywyższenia absolutne i odbijał się w lustrze frazy podówczas młodych poetów jako Mistrz. Wystarczy przypomnieć sobie słynną „Konfesatę" Jacka Podsiadły. Tak więc na dwóch biegunach odbioru, między idiosynkrazją a kanonizacją, podbierałem wiersze Barańczaka do mojego użytku wewnętrznego.

Czytałem go coraz bardziej zachłannie jako wybrańca mowy, kogoś, komu słowa są posłuszne ponad miarę. Przechodziły one tzw. ludzkie pojęcie, kierując się ku wygłosom, jakich nie znałem w literaturze wcześniej, z czasem ku sensom bardziej metafizycznie operatywnym, wreszcie ku elegii i melancholii „Podróży zimowej", wobec której poczułem lodowatą obojętność. Co zresztą ↦

Pierwsze czytelnicze szlify

Stanisław Barańczak zdobywał... obserwując dwie różowe dżdżownice rosówki. W swoich wspomnieniach siostra poety, Małgorzata Musierowicz, opowiada, że pewnego razu będący lekarzami rodzice przyszłych pisarzy zostali nagle wezwani do jednego z poznańskich szpitali, a ich dzieci musiały zostać na dłużej przed budynkiem. Czteroletni Staś trochę się nudził, więc starsza siostra robiła wszystko, by jakoś umilić mu czas. Wymyśliła więc „zabawę dydaktyczną". Znalazła dwie duże dżdżownice i, przy użyciu patyka, układała ich ciała w kształty liter, cierpliwie ucząc brata abecadła. „Był doprawdy pojętny. Składać literki nauczył się sam. Odtąd czytał i czytał, i czytał – i tak mu już zostało" – wspomina autorka „Jeżycjady".

eprasa.pl 188c212f72

↦ idealnie wpisało się w gorącą, polemiczną atmosferę tekstu „Podróż zimowa przez ziemię ognistą" Karola Maliszewskiego – naszego pokoleniowego, krytycznego zbawcy, który śmiał pióro polemiki podnieść i na Barańczaka, i Zagajewskiego.

Kiedy opadł – również we mnie – wojenny kurz walki pokoleń, zacząłem na spokojnie uświadamiać sobie, że Barańczak potrafił zrobić wiersz ze wszystkiego. Najmniejsza i najbanalniejsza sytuacja liryczna była dla niego okazją do wyzyskania znaczeń do imentu. Nie bez kozery „Gra znaczeń" Witolda Wirpszy i całe jego dzieło były dla Barańczaka najwyższym, awangardowym nakazem.

Dziś, po edycji ponad dwudziestu tomów Wirpszy, do czego jakoś się przyczyniłem, wiem, że autor „Jednym tchem" cały był z niego. Oczywiście nie tylko z niego, ale w pewnej mierze wiercenie do wewnątrz języka podjął Barańczak równie radykalnie, co Wirpsza. Odkrywałem poprzez czytanie Barańczaka poezję powszechną i w pewnym momencie przyłapałem się na tym, że obcuję z twórcą totalnym, wszystkożernym, głodnym wciąż nowych terytoriów poetyckiej eksploracji, coraz bardziej perfekcyjnej w swoim skończonym, formalnym kształcie wiersza chodzącego jak szwajcarski zegarek na wszystkich piętrach znaczeń.

U Barańczaka zgadzało się wszystko, każdy rytm i rym, każda podkręcona syntaksa, a jednocześnie wiersze te były nośnikami wiedzy gorzkiej, specyficznego rodzaju braku złudzeń wobec świata i ludzi. I nade wszystko wobec skrajnie złożonej natury języka, któremu Barańczak nie ufał w równym stopniu, co systemom politycznym, urządzeniom społecznym i zinstytucjonalizowanym religiom.

Twój człowiek

„Powinna być nieufnością" – te programowe słowa o poezji wdrożył w swojej praktyce pisarskiej do bólu. I wyciągnął z nich wnioski ostateczne, zawarte w jednej z najpiękniejszych fraz polskiej poezji:

Ale dosyć już o mnie.
Mów, jak Ty się czujesz
z moim bólem – jak boli
Ciebie Twój człowiek.

Kiedy czytałem te dwa zdania, zastanawiałem się, czy zaimkowa fraternizacja z absolutem nie jest przypadkiem konwencją egzystencjalnej rozpaczy, którą brutalnie sprawdził los autora uwięzionego przez chorobę w ciele odmawiającym prawa do ekspresji tego bólu.

Jak powszechnie wiadomo, Barańczak nie miał temperamentu konfesyjnego, był poetą skrytości, „chirurgicznej precyzji" analitycznego umysłu. Ale przecież u początku jego wejścia w literaturę stał niczym głaz oparcia Dylan Thomas, którego naonczas dwudziestodwulatek przełożył kongenialnie.

O tej założycielskiej relacji skreśliłem kiedyś takie podejrzenie: „Ze swoją zagęszczoną, egocentryczną poetyką nurzającą się w odmętach mózgu, produkującą obrazy wstrząsowe, nerwowe i pozbawione logicznych następstw derealizacje, Thomas znajduje się na antypodach tego, co Barańczak pisał w dojrzałym okresie swojej twórczości. A jednak jest bratem w cierpieniu młodego polskiego poety. I analogicznie jak on, po burzy gradowej obrazów, wydobywa się na światło dzienne formalnych rygorów, jakimi próbuje spętać własną wyobraźnię".

Nic bym w tych słowach dziś nie zmieniał. Kiedy czytam Barańczaka, w każdym okresie jego twórczości, po prostu czuję immanencję cierpienia, a jednocześnie mój największy podziw wiąże się ze skądinąd heroicznym oporem wobec ekspozycji swojego bolącego „ja". Jakże to niedzisiejsze! I maksymalnie wyzywające. Tak jakby każdy wiersz tego autora mówił „ale dosyć już o mnie". Prawdopodobnie nie ma w historii literatury współczesnej człowieka, który dla innych zrobił więcej niż dla siebie.

Ktoś, kto żyje

Kiedy biorę do rąk monstrualną, opracowaną przez Magdalenę Heydel antologię 444 wierszy języka angielskiego przełożonych przez Barańczaka, myślę sobie, że w każdym z nich poeta zdeponował jakąś cząstkę swojego istnienia i w tym sensie pozostaje nieuchwytny jak energia słońca, którą czujemy pod zachmurzonym niebem. Miałem w życiu rzadki przywilej osobistych kontaktów z większością ważnych poetów i poetek „pokolenia 68". Nie poznałem tylko nigdy Barańczaka. Już zawsze będzie dla mnie słońcem za chmurami. Wszystkim tym ludziom zawdzięczam bardzo wiele.

Julian Kornhauser był jednym z akuszerów mojego poetyckiego debiutu, Ryszard Krynicki otoczył opieką wydawniczą parę moich książek, Adam Zagajewski darzył mnie sympatią, na jaką nie zasługiwałem, Ewa Lipska jest mi poetycką mistrzynią. Przeżyłem z nimi również swoje, literackie życie, które robi się późne.

Stanisław Barańczak spogląda natomiast na mnie codziennie w pracy. Wisi w niej zdjęcie, na którym mój przyjaciel Maciej Melecki wręcza mu antologię młodej poezji śląskiej zatytułowaną „Inny świt". Scenka ma miejsce podczas spotkania po wręczeniu Barańcza-

W roku 1969 Barańczak rozpoczął pracę w Katedrze Teorii Literatury Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Cztery lata później obronił pracę doktorską, która była analizą języka poetyckiego Mirona Białoszewskiego. We wrześniu 1976 r. poeta przystąpił do KOR-u, a kilka miesięcy później został fałszywie oskarżony o przekazanie łapówki urzędnikowi i zwolniony z uczelni. Wybawienie nadeszło zza oceanu. Niedługo po krzywdzącym wyroku sądu do Poznania przybył profesor Donald L. Fanger, który zaproponował Barańczakowi posadę na Harvardzie. Polska ludowa nie chciała się jednak łatwo pozbywać swojego „wyrodnego" syna. Poecie siedmiokrotnie odmówiono wydania paszportu. Gdy wreszcie się udało, uniwersytecka gazetka Harvardu umieściła na pierwszej stronie znaczący tytuł „*no, no, no, no, no, no, no, yes!*". A Barańczakowie byli w kropce, bo w Polsce powstała właśnie Solidarność i zaczynało robić się ciekawie.

eprasa.pl 188c212f72

A tak niewiele brakowało: mogłem / po prostu wraz z innymi podnieść rękę, / po prostu wraz z innymi ją opuścić — / aby w tej samej chwili wrosła ciężkim / łokciem w zielone sukno prezydialnych stołów, / w skórę wyścielającą przepastne siedzenia / czarnych limuzyn, w polakierowane / pulpity mównic, w bankietową biel / obrusów (...)



ZOFIA I MAREK BAZAK / EAST NEWS

Mural z fragmentem wiersza Stanisława Barańczaka „A tak niewiele brakowało" na budynku UAM w Poznaniu.

kowi honorowego doktoratu Uniwersytetu Śląskiego, najpewniej w roku 1995. Barańczak pod krawatem, Melecki w luźnych ciuchach, ale generalnie na baczność. Szacunek i poetycki posłuch, jaki Barańczak miał w nas, kiedyś młodych, chyba tylko rośnie w czasie.

W moim przypadku to ktoś znacznie więcej niż wybitny poeta. Tych to pokolenie miało aż nadto. To ktoś, kto żyje w wierszu dalej, również w tym, który napisałem po jego śmierci.

© KRZYSZTOF SIWCZYK

Po otrzymaniu paszportu, a przed wyjazdem do Stanów Zjednoczonych, Barańczakowie zdążyli załapać się na „karnawał Solidarności". W 1980 r. poeta wrócił na Uniwersytet, po raz pierwszy od wielu lat dostał też pozwolenie na wystąpienia publiczne – w tym organizację wieczorów autorskich. Jeden z nich aranżowany był przez poznańskich dominikanów i odbył się w dość nietypowej scenerii. „Jakiś braciszek nas prowadzi korytarzami wąskimi, krętymi – wspominała Anna Barańczak. – I w końcu otwierają się drzwi i my zostajemy oświetleni reflektorami". Nie były to jednak milicyjne latarki, lecz... światła ołtarza, na którym, przed zgromadzonymi w ławkach ludźmi, miał wystąpić poeta. Barańczak nie był zachwycony – w pierwszym odruchu chciał po prostu uciec.

Osobnik

pamięci Stanisława Barańczaka

Przeszyty róż, w schyłkowej niedzieli, w smudze kondensacyjnej, jest niebem, wobec którego siedzisz tu na dole, za szybą schlapaną miesiącami słot, spękaną w kącie łączenia jak daleki szczegół, wydawałoby się, bliskiego wspomnienia.

Jest niedziela, pod kioskiem koksownik prószy popiołem, gdy zerkasz zza jego krawędzi ku krawędzi bloku. Podchodzisz i ostrzysz na niej kamień, idealny pod kaczki na cegielnię, ale tym razem przeznaczony innym czeluściom, zebranym już w sieni. Pod kłódką, ekierką majstrują zwinne palce, zbiegacie do suszarni, gdzie wszystko trwa nie dłużej niż wycie syren, w godzinie policyjnej. Teraz oglądasz przegub dłoni, nie wiesz, o co mogło chodzić, jakie rytuały przeszedłeś w manualnej erze, gdy księżyc świadczył dwóm świtowym lotom i jednemu kursowi o zmierzchu, rozświetlonym monochromatycznym światłem, wydobywającym się z pojedynczych okien, gdzie cienie lały kablem inne cienie, w teatrzyku cieni.

Otwierasz pudełko, widzisz, mówisz, to moje skarby. Kamienny grot, kukiełka. Są twoje. Od dziś jest twoje. Tam, daleko nie szukaj, wszystko masz na widoku. Nie wierz sobie, wszystko, co będzie tobą, musi minąć, by kłamać do żywego w bielmo nieba, gdy siądziesz stara i zmęczona, prosto w kącie tapczanu jak ekierka, w niedzielę znaleziona w kartonie z rzeczami. Twój skarb i twoja zgryzota, w jakiejś realności, w czyimś kontekście, będą świadczyć na korzyść sensu, który obmawiam ci w tej chwili, gdy pytasz, czemu ty, czemu teraz. Szyba pęka pod najmniejszym naporem. Wieje słoneczny wiatr. Czas kimś kończyć. Odpowiada niepytany.

© KRZYSZTOF SIWCZYK

eprasa.pl 188c212f72

Z górnej półki

JERZY JARNIEWICZ

Mianowanie poetów na postaci wybitne pozostawiał czasowi. Jego zadaniem było wybitność uchwycić w przekładzie i przenieść do nas, za Odrę.



JOANNA HELANDER

Stanisław Barańczak ze złamaną nogą w swoim gabinecie. Poznań, 1980 r.

Jeśli jest jakaś postać, która odznaczyła się w najnowszej historii polskiego przekładu literackiego w takim stopniu, że jej nazwisko znane jest dziś niemal powszechnie, a ktokolwiek parający się refleksją nad przekładem musi o nią przynajmniej zahaczyć, to jest nią Stanisław Barańczak.

Najpierw oczywistość: działalność Barańczaka na polu przekładu nie ma precedensu (Boya zostawmy, bo choć często w tym kontekście przywoływany, należy jednak do innej parafii). Sekret jego skuteczności polega na czymś, co zdarza się nieczęsto, a bywa ryzykowne, mianowicie na mariażu – mistrzowskich nierzadko – przekładów literatury, głównie anglojęzycznej, z czterema rodzajami spowinowaconej aktywności.

Po pierwsze, z wyławianiem nazwisk w tej literaturze największych, co nie znaczy najbardziej w Polsce znanych. Po drugie, z gotowością do okazjonalnej ekstrawagancji w wyborze tłumaczonych tekstów. Po trzecie, z prowadzeniem równoległej pracy popularyzatorskiej (to najpłodniejszy w powojennej Polsce autor antologii poetyckich). Po czwarte, z uprawianiem znaczącej, opiniotwórczej refleksji przekładoznawczej. Krótko mówiąc, Barańczak na wiele lat zagospodarował wszystkie możliwe pola translatorskiego fachu, w każdym z nich stawiając, z sukcesem, na wyrazistość wyborów, oczekiwań i ocen.

Mimo że dziełem jego życia pozostanie zapewne spolszczenie dramatów Szekspira, a czytelnicy zapamiętają jego przekład powieści Ursuli LeGuin „Czarnoksiężnik z Archipelagu”, Barańczak upodobał sobie szczególnie poezję języka angielskiego. Przez lata docierała ona do nas z jego sygnaturą. Ktokolwiek szuka polskich przekładów tej poezji, w pierwszym odruchu będzie przeglądał bibliografię Barańczaka, nawet jeśli ostatecznie sięgnie po alternatywny przekład.

Sonety Szekspira? Proszę bardzo – przełożył Barańczak: „Nie słońcem jest ten promień, co z oczu jej pada”. Poeci szkoły metafizycznej XVII w.? Mamy ich w jego interpretacjach: „Zmiażdż moje serce, Boże, jak zmurszałą ścianę”. Potrzebny nam polski Keats? Jest tu i Keats barańczakowy: „Cóż bym dał za łyk wina! – trunku z dawnej pory / chłodzonego w głębokich ziemi zakamarkach”. Szukamy Emily Dickinson? Barańczak podarował nam ją w dwóch tomach: „Skoro nie mogłam mieć Wszystkiego – Nie dbałam o brak mniejszych Rzeczy”.

A może wiek XX? *Voilà!* Barańczak podsuwa nam swoich Amerykanów: Cummings, Bishop, Frost, Merrill, Simic. Mamy też Walijczyka, Dylana Thomasa, a obok nieco od Thomasa starszego Anglika W.H. Audena bądź, debiutującego po polsku pod auspicjami Barańczaka, Larkina.

Wymieniać mógłbym długo – ale skończę przywołaniem Seamusa Heaneya, irlandzkiego noblisty, któremu Barańczak towarzyszył najdłużej. Ten odkryty dla polszczyzny przez Piotra Sommera poeta znalazł w Barańczaku nie tylko wiernego przekładowcę, ale też towarzysza podróży, z którym wspólnie przełożyli „Treny” Kochanowskiego – jedyny naprawdę udany zagraniczny transfer autora dawnej literatury polskiej.

Już ta wyliczanka wystarczy, by zauważyć pewną prawidłowość: charakterystyczne dla Barańczaka przekonanie, że jeśli tłumaczyć, to tych z górnej półki, którzy tworzą poetycki kanon w swoim kręgu językowym. Barańczak nie próbował odkrywać poetów spoza kanonu, niszowych, mniej u siebie znanych. Mianowanie poetów na postaci wybitne pozostawiał czasowi i historykom literatury. Jego zadaniem było tę wybitność w przekładzie w wiarogodny sposób uchwycić i przenieść do nas, za Odrę, ku pożytkowi i przyjemności polskojęzycznych czytelników.

Stąd jego antologia „Od Chaucera do Larkina”: zebrał w niej 400 wierszy z osiemsetletniej historii poezji anglojęzycznej, które uznał za „nieśmiertelne”, a których wielkość potwierdza ich wieloletnia obecność w kanonie czy na profesjonalnych, jak je określił, „listach przebojów”. Barańczak jako tłumacz bawiący pośród bogów rzadko wychodził z Panteonu. No, chyba żeby odetchnąć świeżością niepowagi.

Bo potrafił swoimi wyborami zaskoczyć. Fascynował się anglosaską specjalnością: literaturą nonsensu. Pozwolił więc sobie na wypuszczenie w świat „Fioletowej krowy”, czyli antologii „333 okazów poezji niepoważnej od Williama Shakespeare’a do Johna Lennona” – której prekursorem w polszczyźnie mogła być jedynie antologia Antoniego Marianowicza i Andrzeja Nowickiego, a ojcem

eprasa.pl 188c212f72

chrzestnym słowiarz niedościgły – Julian Tuwim z Łodzi.

Był przy tym tłumaczem otwartym na kulturę popularną. Miał nieskrywaną słabość do Beatlesów, dlatego już w pierwszej połowie lat 70. w „Studencie", „Nurcie", „Szpilkach" ogłaszał swoje przekłady ich songów, z których kilka przedrukował w późniejszych antologiach. Co ciekawe, zainteresowanie Beatlesami zbiegło się tu ze wspomnianą pasją do absurdu i z dorobku zespołu wybrał właśnie teksty w tej poetyce powstałe, na przykład „Srebrny młotek Maxwella", którego przekład (przyznaję) językową inwencją bije na głowę oryginał.

Cenił też Boba Dylana, ale sentyment Barańczaka do tego artysty nie zaowocował niestety większą próbką przekładów, był jednak na tyle silny, że Barańczak swoją amerykańską antologię zatytułował „Od Walta Whitmana do Boba Dylana", co dwadzieścia lat przed Noblem było (chylę czoła) gestem odważnym, a jak się miało okazać – także proroczym.

Grał na wielu instrumentach, ale najlepiej sprawdzał się w poetyce, która wymaga od tłumacza językowej ekwilibrystyki. Spełniał się w wierszach rozgrywających się w świecie kalamburów i neologizmów, w wierszach szaradach, czyli w utworach z maszynerią poetycką, która kojarzy się nam z literaturą, jak ją sam nazwał, „niepoważną".

Ale jego przekładowy dorobek przypomina, że gry słów, zwłaszcza w tradycji anglosaskiej, zaprzęgane są także do innej, prowadzonej z całą powagą pracy w wierszach o dużym ciężarze gatunkowym, jak w tym mistycznym erotyku Donne'a: „kobieta / Jako anioł z diabłami ma podobieństw mało: / Tam włos nam staje dęba, tutaj zasię – ciało". Barańczak czuł się jak ryba w wodzie w tego rodzaju poezji, gdzie podszyta humorem gra wieloznacznością nie ujmuje niczego z ważkości wiersza.

Barańczak tłumacz to także między innymi autor ważnych tekstów o przekładzie, które do tej pory współkształtują, choćby jako przedmiot sporu, nasze przekonania o tym, czym jest przekład. Chciałem napisać, że to także teoretyk przekładu, jego refleksja translatologiczna jest jednak zawsze – na szczęście – na tyle bliska translatorskiej praktyce, że nie można skwitować jej słowem „teoria". Tom szkiców „Ocalone w tłumaczeniu" do dziś jest lekturą obowiązkową na kursach i warsztatach translatorskich jak Polska długa i szeroka. „Na tłumaczeniu spędziłem więcej czasu niż na jakimkolwiek innym zajęciu, jeśli nie liczyć snu" – takim wyznaniem otwiera Barańczak swoją *ars translatologica*.

To stamtąd pochodzą dwa przykazania, które chyba nie tylko mnie weszły w krew: „nie tłumacz poezji na prozę" i „nie tłumacz dobrej poezji na złą poezję". Że banał? Oczywistość? Otóż nie. Pierwsze z tych przykazań przypomina, że jeśli utwór ma określoną formę, to nie jest ona przypadkowa, a przeciwnie – współtworzy sens utworu, dlatego wiersz rymowany można tłumaczyć tylko z rymami, a sonet – tylko na sonet. Drugie z przykazań dotyczy tego, że jako tłumacze nie powinniśmy przekładać utworów, które potem musielibyśmy opatrywać komentarzem: „wiersz jest wprawdzie nieprzekładalny, dzieje się w nim coś naprawdę ciekawego, czego mój przekład nie oddaje, ale proszę mi wierzyć, to arcydzieło" – lepiej wtedy wcale nie tłumaczyć. Przekład nie może być cieniem oryginału. Ani tym bardziej jego brykiem.

Lubił wiersze zbudowane na jednym koncepcie. Temu upodobaniu przypisałbym pojawienie się w jego refleksji przekładoznawczej najsłynniejszego bodaj pojęcia „dominanty semantycznej". Rozumiał przez nią element struktury utworu, który organizując cały wiersz, stanowi „klucz do całokształtu jego sensów", a w przekładzie musi zostać bezwzględnie zachowany.

W jednym wierszu może to być obsesyjny rym, w innym aliteracja sybilantów, w jeszcze innym akwatyczna (na przykład) metaforyka. Z tą koncepcją miałbym problem, bo znakomicie sprawdza się w wierszach opartych na koncepcie – gorzej, jeśli w wierszu nie ma, jak to się dzieje w większości przypadków, jednego dominującego elementu, a jest ich wiele, czasem nawet wzajem sprzecznych; tym samym nie ma do wiersza klucza, potrzebny cały ich pęk. Co więcej, wiersze często zmieniają zamki, a wtedy klucze, którymi je otwieraliśmy, nadają się już tylko na złom.

Czy tłumacz może zostawiać ślad w swoich przekładach? Myślę, że nie tylko może, ale musi. Tak jak autor ma swój styl, tak własny styl ma tłumacz, wystarczy tylko uważnie czytać. Przekłady Barańczaka łatwo zidentyfikować. Do znaków szczególnych jego twórczości przekładowej, oprócz graniczącej z wirtuozerią inwencji językowej, zaliczam z trudem utrzymywany w ryzach „edukacyjny imperatyw": Barańczak tłumacząc lubił wyjaśniać, często zamiast dodawać przypis, wyjaśnienie wprowadzał do wiersza. Lubił też rozjaśniać to, co w oryginale brzmiało mgliście, porządkować to, co mogło zdawać się chaotyczne, rozbudowywać to, co było zaledwie szczątkowe. Uznaję to za cechę jego sztuki przekładowej, której odpowiednikiem w malarstwie mogą być wydłużone proporcje postaci na płótnach Modiglianiego.

Być może ten imperatyw zadziałał, kiedy pod koniec lat 80. napisałem do Barańczaka na jego harwardzki adres, że pracuję nad książką o Larkinie, a on błyskawicznie odpowiedział mi listem z załączonymi maszynopisami swoich przekładów. Rozpoczęła się dłuższa wymiana zdań, między znanym, cenionym tłumaczem i poetą a nieznanym nikomu czeladnikiem w tym fachu.

Kiedy po latach ukazał się tom przekładów z Larkina, Barańczak odnotował naszą skromną współpracę podziękowaniami. Wiem, że słynął z ostrych polemik, bywał w swoich sądach bezwzględny – kiedy wracam pamięcią do tamtych lat, widzę go jako jednego z moich mistrzów, z którymi nieraz się spieram, bez których jednak jako tłumacz nie byłbym tam, gdzie jestem. ©

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 46/2026
REDAKCJA: Monika Ochędowska | PROJ. GRAF.: Marek Zalejski
OPIEKA WYDAWNICZA: Anna Pietrzykowska
SKŁAD: Agnieszka Cynarska-Taran
FOTOEDYCJA: Katarzyna Bułtowicz
Na okładce: Stanisław Barańczak, Warszawa, lata 90. // Michał Sadowski / Forum

PARTNER DODATKU: WYDAWNICTWO MIEJSKIE POSNANIA POZnań

eprasa.pl 188c212f72

Fala doświadczeń

ANNA PAJĘCKA

Marzec 1968 staje się przełomowym doświadczeniem dla Barańczaka. Pod jego wpływem poznańskie Ósemki postanawiają zająć się współczesnością.

Jesienią 1964 r. Stanisław Barańczak ma osiemnaście lat i rozpoczyna studia polonistyczne na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu. Wśród jego kolegów są Tomasz Szymański i Lech Raczak, którzy postanawiają założyć studencki teatr. Szymański ma już doświadczenie w pracy scenicznej, Raczak od kilku lat interesuje się teatrem i z myślą o nim wybiera polonistykę. Do zespołu dołącza Anna Bryłka, przyszła żona Barańczaka. Sam poeta zostaje kierownikiem literackim: przygotowuje scenariusze, wybiera teksty, tłumaczy.

Tak rodzi się Teatr Ósmego Dnia, początkowo znany jako Studencki Teatr Poezji. Nazwę zaczerpnięto z Teatrzyku Zielona Gęś Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, a dokładnie z żartobliwej scenki „Osiem dni stworzenia". Ósmy dzień, dopisany do biblijnego porządku, przynosił stworzenie teatru, premierę polskiej sztuki, kosmiczny deficyt i koniec świata.

Słuchaj, Przybosiu

W pierwszych latach działalności Ósemki były przede wszystkim teatrem poezji. Studenci szukali sposobów na przeniesienie literatury na scenę, próbowali budować sytuacje dramatyczne z pojedynczych utworów, eksperymentowali z głosem, ruchem i muzyką. Jednocześnie poznawali się nawzajem, spędzali razem czas, dyskutowali.

Po latach w jednym ze wspomnień o Barańczaku, przywołanym przez profesora Adama Poprawę, pojawi się anegdota o grze w karty. Koledzy z zespołu mieli nauczyć Barańczaka zasad, po czym szybko odkryć, że jego zdolność do kombinowania i przewidywania kolejnych ruchów czynią z niego wyjątkowo trudnego przeciwnika. Ten obraz doskonale pasuje do mistrza gier słownych i językowych łamigłówek.

Teatr był bowiem jednym z miejsc, w których Barańczak sprawdzał możliwości języka. W 1965 r. przygotował scenariusz „Fal doświadczeń", przedstawienia zmontowanego z wierszy Anny Achmatowej, Osipa Mandelsztama i Borysa Pasternaka. Część utworów przełożył sam. Były to jedne z jego pierwszych doświadczeń translatorskich, zapowiadające wieloletnią pracę nad poezją rosyjską. Spektakl pokazano podczas festiwalu amatorskich teatrów poezji. W jury zasiadał zresztą Julian Przyboś, który krytycznie ocenił scenariusz i przekłady studenta UAM.

Barańczak odpowiedział mu satyrycznymi strofami:

Słuchaj Przybosiu, a On nie słucha
W teatrze nie ma żywego ducha
Skąd nam się wzięła taka posucha
Szukajcie DUCHA, gdzie znaleźć
DUCHA! (...)

W tym samym roku Barańczak opracowuje „Wielki Testament" według François Villona. Kolejne przedstawienia przynoszą konflikty. W zespole ścierają się różne pomysły na teatr: jedni pozostają blisko literackiego pierwowzoru, inni coraz większą wagę przywiązują do pracy aktorów i samodzielnego budowania scenicznych sytuacji.

Ważnym etapem tych poszukiwań staje się „Warszawianka" Stanisława Wyspiańskiego, wyreżyserowana w 1967 r. przez Zbigniewa Osińskiego. Barańczak przygotowuje wówczas tekst do programu przedstawienia. W czerwcu tego samego roku odbywa się premiera „Tańca śmierci i pomyślności" według Wielimira Chlebnikowa, do którego scenariusz piszą wspólnie Barańczak i Raczak.

Krwiodawcy

Marzec 1968 r. staje się przełomowym doświadczeniem zarówno dla Barańczaka, który uczestniczy w poznańskich protestach studenckich, jak i dla pozostałych członków zespołu. W rozmowie z roku 2010 Raczak wspomina, że właśnie pod wpływem tych wydarzeń Ósemki postanowiły zająć się współczesnością.

Artyści chcą opowiadać o rzeczywistości, w której żyją, nawet jeśli oznacza to konflikt z cenzurą. W 1970 r. pojawia się

Barańczak znany jest

między innymi ze znakomitych przekładów tekstów piosenek Beatlesów. Pierwszy kontakt poety z muzyką brytyjskiej grupy miał miejsce już na początku lat 60. Jedną z pierwszych płyt udało się zdobyć Wiktorowi Makarewiczowi – koledze poety z I Liceum im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu. Pewnego razu chłopiec zaprosił rówieśników do swojego domu, by pokazać im album legendarnej grupy. Podobało się wszystkim... oprócz późniejszego tłumacza. „Była to nasza fascynacja – wspominał inny z kolegów – a dla Staszka była to zbyt lekka, zbyt mało wymagająca muzyka". W tym czasie poeta wolał bardziej wyrafinowany jazz – Louisa Armstronga czy klasyk „Fly Me to the Moon", który polecał rówieśnikom w listach.

eprasa.pl 188c212f72

okazja do sprawdzenia tej decyzji. Władze przygotowują obchody setnej rocznicy urodzin Lenina, a teatry studenckie zachęca się do podejmowania tematyki jubileuszowej. Poznański teatr tworzy „Wprowadzenie do...", przedstawienie o samych obchodach, ich rytuałach, oficjalnym języku i pompatyczności.

Raczak wspominał, że reakcje publiczności bywały skrajne. Jedni śmiali się do łez, inni obawiali się, że lada chwila na salę wkroczy milicja. Cenzura początkowo jednak potraktowała temat jako zgodny z oczekiwaniami.

Kolejny spektakl miał dotyczyć już bezpośrednio Marca 1968. Zespół sięgnął po wiersze swojego dawnego współpracownika – Barańczaka właśnie. Poeta pozostawał wtedy blisko środowiska Ósemek, choć od kilku lat rozwijał już własną działalność literacką.

Przedstawienie początkowo nosiło tytuł „Krwiodawcy". Jego akcja rozgrywała się w stacji krwiodawstwa, do której ludzie przychodzili z potrzeby pomocy, pod przymusem albo dla pieniędzy. Zwyczajna instytucja stawała się miejscem obserwacji ludzkich zachowań. Pojawiały się kolejki, przepychanki, próby zdobycia pierwszeństwa, konflikty między interesem jednostki a dobrem wspólnym. Kiedy teatr pracował nad spektaklem, wybuchły protesty robotnicze na Wybrzeżu. W grudniu 1970 r. wojsko i milicja strzelały do demonstrantów.

Cenzura zakwestionowała wtedy tytuł przedstawienia. Spektakl nazwano „Jednym tchem", od tomu poezji Barańczaka wydanego w 1970 r. Premiera odbyła się rok później, a przedstawienie szybko zyskało rozgłos. Jednym z obrazów przedstawienia stało się ciało niesione na drzwiach, przywołujące wydarzenia w Gdańsku.

Wiersze Barańczaka, powstałe pod wpływem Marca, zaczęto odczytywać przez doświadczenie Grudnia. W scenicznych sytuacjach widzowie rozpoznawali wydarzenia ostatnich miesięcy. Twórcy wypracowywali sposób pracy, który w następnych latach stał się jednym z ich znaków rozpoznawczych. Punktem wyjścia były doświadczenia i improwizacje aktorów, a poezja wchodziła w relację z ruchem, gestem, modulacją głosu.

Dla wierszy Barańczaka oznaczało to wejście w zupełnie nową przestrzeń. Ich rytm i wieloznaczność zostawały skonfrontowane z fizycznym wysiłkiem aktorów, zbiorowym działaniem i bezpośrednią reakcją publiczności. Poeta przekazał zespołowi swoje utwory, a przedstawienie powstawało w toku pracy teatralnej prowadzonej przez Raczaka. „Jednym tchem" grano w różnych miastach Polski, często podczas pokazów organizowanych dla środowisk studenckich.



JACEK KULM / ARCHIWUM TEATRU ÓSMEGO DNIA // CYRYL.POZNAN.PL

Lech Dymarski w inspirowanym poezją Stanisława Barańczaka spektaklu „Jednym tchem" Teatru Ósmego Dnia, 1971 r.

Jedno z przedstawień odbyło się w warszawskiej Stodole. Na widowni znaleźli się wówczas Adam Michnik, Jacek Kuroń i Jan Lityński. Po spektaklu aktorzy odwiedzili Kuronia w jego mieszkaniu. Raczak wspominał, że kiedy rozmowa zaczęła dotyczyć polityki, gospodarz przykrył telefon futrem z obawy przed podsłuchami.

Dla wszystkich

W 1976 r., po protestach robotniczych w Radomiu i Ursusie, powstaje Komitet Obrony Robotników. Wśród jego współzałożycieli znajduje się Barańczak, który uczestniczy również w protestacyjnych głodówkach. Z opozycją współpracują także inni członkowie Teatru Ósmego Dnia. W tym czasie Barańczak publikuje wiersze, eseje i teksty krytyczne, coraz wyraźniej angażując się w działalność opozycyjną. Utrzymuje też kontakty z dawnymi kolegami z teatru, co widać w jego reakcji na wydarzenia wokół spektaklu „Przecena dla wszystkich".

Wiosną 1977 r. Teatr Ósmego Dnia przygotowywał przedstawienie o społecznych napięciach i sposobach przystosowywania się do rzeczywistości PRL-u, wciąż napotykając na przeszkody administracyjne i cenzorskie. W poznańskim klubie Maski odbywały się przedpremierowe pokazy, a widzowie pisali zbiorowe listy, domagając się możliwości dalszego grania przedstawienia.

W stanowisku z 24 maja 1977 r., którego fragment opublikowała „Karta", Barańczak nazwał „Przecenę dla wszystkich" spektaklem wybitnym artystycznie, a utrudnianie jego prezentacji uznawał za działanie szkodliwe dla polskiej kultury. Zauważał też, że ograniczanie dostępu do przedstawienia przynosi skutek odwrotny do zamierzonego: „fama spektaklu »zakazanego« rośnie". Oficjalna premiera odbyła się 8 czerwca 1977 r.

Barańczak od 1981 r. mieszka już w Stanach Zjednoczonych, pracuje na Uniwersytecie Harvarda. Poznański Teatr, który współtworzył jako student, rozwija się już w innym składzie i w innych warunkach. W kolejnych dekadach wraca jednak do poezji jednego ze swoich założycieli. ©

Korzystałam z monografii Juliusza Tyszki „Teatr Ósmego Dnia – pierwsze dziesięciolecie (1964-1973)".

eprasa.pl 188c212f72

KULTURA

CZWÓRKA Z HISTORII

Najważniejsze polskie powieści tego roku zwracają nas ku przeszłości. Czy historia daje nam moc odrodzenia?

INGA IWASIÓW



POWIEŚĆ TOKARCZUK *układa się w mit założycielski Dolnego Śląska.*

Jako mieszkanka Szczecina mam nawyk grzebania między stłoczonymi razem poniemieckimi i poradzieckimi rupieciami oferowanymi na bazarach. Dziś coraz częściej dołączają do nich te popeerelowskie. Okazuje się, że wszystko, co ma ponad trzydzieści lat, uznawane jest za *vintage*. Czy podobnie jest z powieścią?

Cóż, w ścisłym porządku historycznoliterackim prawdopodobnie tak właśnie lokują się dzieła, które czytywałam i recenzowałam za młodu (jak miło mi brzmi ta fraza!), a które zajmują obecnie biblioteczne magazyny. Rodzą się pisarki i czytelniczki, dla których lata 90. są odległą, tajemniczą krainą, sąsiadującą z jeszcze odleglejszym PRL-em, po którym spacerowały białe niedźwiedzie z dinozaurami.

Przyjrzyjmy się jednak zagęszczeniu wycieczek w czasy i konwencje bardziej odległe, w literacką archeologię wydobywającą na wierzch zabytkowe artefakty. Jak działają dzisiaj? Co rozkładają przed nami Maciej Płaza w „Kasperlu i Margit", Olga Tokarczuk w „Świata jest za dużo", Szczepan Twardoch w „Waldkauz" i Michał Witkowski w „Substancji"?

Cała czwórka nie pierwszy raz przywołuje w swoich książkach przeszłość, która jawi się im jako pole do przekopania. Różnymi narzędziami i w różnych celach. Precyzyjniej byłoby powiedzieć: jako taka jawi się w mojej lekturze.

W kontuszu i peruce

Michał Witkowski lubi sięgać po sztafaż historii. Jest autorem kryminału retro zatytułowanego „Tango" (2022), historia miga też między wątkami „Wymazanego" (2017). Tytuł powieści „Barbara Radziwiłłówna z Jaworzna-Szczakowej" (2007) odsłania funkcję pełnioną przez elementy materialności i obyczajowości poprzednich epok: dają postaciom kampowy kostium i zarazem tworzą ironicznie rozgrywaną przez Witkowskiego gejowską tradycję.

Tym razem pisarz cofa się najgłębiej. Zdarzenia „Substancji" są datowane na rok 1770, sąsiadujący z koliszczyzną oraz pierwszym rozbiorem Polski. Prospektywnie pojawia się też Targowica, której zalążki widać już w głowach głównych aktorów wydarzeń. Na dworze Potockich w Krystynopolu najbogatsi magnaci Rzeczypospolitej bawią się i intrygują, szykując do ożenku dwie córki oraz najmłodszego, nieudanego z powodu zbyt bliskich koligacji rodzinnych swych rodziców, przyszłego przywódcę Targowicy, Stanisława Szczęsnego Potockiego. Nie podoba im się ulegający nowym, francuskim i oświeceniowym modom król Stanisław August Poniatowski, chętnie widzieliby na tronie własnych stronników.

Franciszek Salezy Potocki i jego druga żona Anna Elżbieta z domu Potocka na początku brawurowej opowieści porównani zostają do małżeństwa Elżbiety Batory i Ferenca Nádasdyego, węgierskiego magnata i dowódcy wojskowego. Jak pamiętamy, Elżbieta miała się kąpać w krwi chłopskich dziewic, by zachować młodość i urodę. Rytuał wypuszczania krwi, z natury swej wampiryczny, pełni rolę alegorii feudalnego wyzysku.

Potocka ma inną metodę poprawiania sobie nastroju: zatrudniane w pałacu draby, sami zresztą noszący ślady tortur, męczą dla niej dwórki podejrzane o amory. Zawiść starzejącej się, choć wciąż urodziwej możnowładczyni (poprawny feministycznie Witkowski nie jest) skazuje na detalicznie opisywane tortury Kamilę, dwórkę romansującą z ormiańskim lekarzem, znającym się na le-

eprasa.pl 188c212f72

MACIEJ KULCZYŃSKI / PAP // ADAM BURAKOWSKI / EAST NEWS // VIPHOTO / EAST NEWS // LESZEK SZYMAŃSKI / PAP



POWIEŚĆ TWARDOCHA *to kolejne ogniwo w łańcuchu narracji śląskich, ale też przejmujący monolog o wojnie, traumie utraty i miłości.*



POWIEŚĆ WITKOWSKIEGO *to zabawa i maskarada, skrzy się humorem i tnie brutalnością.*



POWIEŚĆ PŁAZY *zestawia rejestr wysokiej mowy z poznańską gwarą, wskazując przebiegi emancypacji.*

kach o nie zawsze naukowej proweniencji.

Powieść Witkowskiego to przede wszystkim stylowa fabuła awanturnicza, czerpiąca z oświeceniowego i późniejszego libertynizmu; błyskotliwa komedia, a zarazem kryminał. Śledztwo dotyczy drogocennego kamienia zrabowanego podczas odwetowych mordów powstania hajdamackiego, którego ofiarą padali Polacy i Żydzi.

Fakty historyczne Witkowski filtruje przez literaturę – mamy tu motto z „Dziejów pięknej Bitynki" Jerzego Łojka (którego książki były niezwykle popularne, a teraz chyba nikt ich nie czyta), Malczewskiego, Sienkiewicza, de Sade'a, ale też Szekspira, a nade wszystko dworskiego poetę Klemensa Janickiego – nieudacznego organizatora gejowskich orgii ze stajennymi. Smaczki do samodzielnego odkrycia. Mamy osiemnastowieczne konwencje, modę, mieszanie dramatu z prozą, przepisy i recepty, listy i zwroty do czytelniczek. Pozostaje zadać pytanie, co o historii mówi – jeśli założymy, że mówi, choćby dla zabawy, mimochodem, w celach orgiastyczno-literackich – sam Witkowski. I czym jest tytułowa substancja.

Na początku wydaje się, że chodzi o mikstury sporządzane ku zadawaniu i uśmierzaniu cierpienia lub o lejące się hektolitrami trunki. Laudanum jest bowiem w pałacu popijane winem, a w pomieszczeniach dla przyklejonych do familijnych pieniędzy niezliczonych domowników – gorzałką. „Substancja" jednak okazuje się lejtmotywem o innym znaczeniu, sąsiadującym z deklaracjami o ratowaniu ojczyzny, inwariantami patetycznego języka utrwalonego przez poetów baroku i oświecenia, trawestowanego przez Sienkiewicza. Substancja to niebotyczny majątek magnacki, w obłudnej mowie biesiadnej zamieniany w Ojczyznę, dla której poratowania czyni się intrygi. Dla substancji można łupić, ona jest powodem mariaży i usprawiedliwieniem morderstw. Pełne frazesów gęby wiodą Rzeczpospolitą prosto do rozbiorów.

Najnowsza powieść Witkowskiego jest brawurową zabawą i maskaradą, queerowym teatrem i żonglowaniem między konwencjami. Skrzy się humorem i tnie brutalnością. Zarazem jednak, niemal mimochodem, ale i dobitnie, wchodzi w absurdalnej koafiurze, krępującej ruchy sukni i kontuszu, peruce i pludrach w sam środek rojeń o szlachetnych mężach stanu i wielkim dorobku szlachty na ↦

eprasa.pl 188c212f72

↦ wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Dwie dusze Śląska

Szczepan Twardoch zaczynał jako fantasta i dziś nadal rozgrywa na swój sposób tę konwencję. Buduje fabuły mające mocne uzasadnienia w dziejowych faktach oraz historie alternatywne. W kontekście zaproponowanego tu czworokąta autorskiego szczególnie ważna jest powieść „Pokora" z 2020 r. Biografia jej bohatera biegnie między Śląskiem a Berlinem, a najważniejszymi wydarzeniami są I wojna światowa i rewolucja niemiecka 1918 r. Między nimi Alois Pokora przeżywa rozterki przynależności, ale też mocno żyje w samym środku rozpadającego się Cesarstwa Niemieckiego, na progu Republiki Weimarskiej.

Opisana w „Waldkauzie" historia Wilhelma Pisulli – człowieka o dwóch duszach, a więc kogoś na kształt upiora – sięga retrospekcją do czasów przed Wielką Wojną, do dzieciństwa, młodości i dojrzałości głównego bohatera. Czas teraźniejszy został ograniczony do siedmiu dni II powstania śląskiego, kulminacji przygotowań do plebiscytu dotyczącego przynależności państwowej tego obszaru. Ostatecznie plebiscyt przeprowadzono 20 marca 1921 r. Przypominam, bo w szkole uczą nas tego szczątkowo, za to Twardoch proponuje korepetycje ujęte w atrakcyjną, powieściową formę.

Pisarz konsekwentnie opowiada Górny Śląsk, przesuwając uwagę z tego, co centralne, ku temu, co ważne z innej niż warszawska geopolitycznej i emocjonalnej perspektywy. Mamy więc mocno siedzące w faktach (Wojciech Korfanty w hotelu Lomnitz w Bytomiu) wydarzenia całkowicie fantastyczne (jedna z dusz Wilhelma w postaci puszczyka oblatuje okolicę). Pisulla był wachmajstrem gliwickiej policji kryminalnej, a teraz pod przykrywką prywatnego detektywa wykonuje polecenia tajnego radcy, inwigiluje otoczenie Korfantego oraz Międzysojuszniczą Komisję Rozjemczą. Sam tkwi pomiędzy, bo kwestie plebiscytowe i decyzje tożsamościowe nie układają się w prosty wzór.

Detektyw występuje w powieści pod wieloma przykrywkami, operuje kilkoma językami. Są to czytelne metafory zmieszanej tożsamości, która składa się na śląskość. Twardoch daje jej wielowymiarowość przez włączenie demonologii, tradycji germańskiej, opowieści o Zygfrydzie i smoku Fafnerze w wersji Wagnerowskiej – po zetknięciu ze smoczą krwią Zygfryd (a także Wilhelm) rozumie mowę ptaków. Motto z opery „Wie Feuer brennt das Blut!" można czytać szerzej niż w funkcji wskazówki dotyczącej samego bohatera i fantastycznej warstwy powieści. Płonie Górny Śląsk, płoną dusze mężczyzn idących na wojnę.

„Waldkauz" stanowi ogniwo w łańcuchu narracji śląskich, ale też przejmujący monolog o wojnie, traumie utraty i miłości. Mężczyźni wracający z wojny nie są tymi samymi, którzy zaciągali się z entuzjazmem. Rodziny tracące synów zmieniają się bezpowrotnie. Narkotyki i alkohol uśmierzają wspomnienia okopów i myślenie o dzieciach, które w nich były. Ziemia po wojnie staje się domeną chaosu i bezprawia. Broń krąży, zło wychodzi na powierzchnię. W przygodowo-fantastycznym płynie powieści zatopione są mocne ładunki wybuchowe. Część z nich to wspomnienia, inne zawierają lęk, a wiele z nich jest czystą przemocą.

Wspólna cecha tych próz to patronaty.

U Płazy mamy Brechta, u Twardocha fikcyjnego Wendelina Dragę, u Witkowskiego kpinę z dworskiego poety Janickiego, u Tokarczuk zaś pojawi się Bruno Schulz.

W cieniu Brechta

Maciej Płaza jest autorem kilku prób sięgania po historię, spośród których największe wrażenie zrobił na mnie „Golem" (2021), odtwarzający życie w chasydzkim sztetlu Liściki na Podolu. Przeszłość pojawia się w nim na styku poetyki realistycznej i mistycznej, spaja lekturę Kabały z historią Żydów we wschodniej Europie, pełni też profetyczną rolę wobec tych faktów na osi czasu, które są dla nas najczarniejszymi wydarzeniami XX wieku.

Powieść „Kasperl i Margit" zaczyna się epizodami z roku 1903, kończy zaś w 1934. Miejsca akcji to Posen-Poznań i Berlin. Kompozycja została podzielona wedle kalendarza oraz perspektywy tytułowych postaci. Kasper („l" w imieniu pojawia się, gdy zaczyna karierę ulicznego grajka, jest nawiązaniem do postaci z teatrzyku lalkowego), bękart z Chwaliszewa, reprezentuje awanturniczy żywioł i możliwości awansu w świecie wciśniętym między wojnę, dekadenckie lata dwudzieste i wzbierający faszyzm lat trzydziestych.

Margit zaś to pseudonim artystyczny Małgorzaty Krzyńskiej, córki hrabiego Wacława, który stracił najpierw majątek ziemski, następnie wszedł w nieudane interesy, by ostatecznie, korzystając z resztek starej fortuny, zostać rentierem. Dom Krzyńskich jest patriotyczny i otwarty na sztukę. Ojciec budzi w Małgorzacie miłość do teatru, prowadząc ją między innymi na spektakl z Heleną Modrzejewską. Projektuje w ten sposób jej los. Zanim hrabianka stanie się aktorką, występującą przed kamerą ekspresjonistów, na dużych scenach, ale i w podejrzanych spektaklach alternatywnego Berlina, by w końcu ruszyć w objazd (jak Modrzejewska), zawiera małżeństwo z niemiecko-żydowskim potomkiem inżynierskiej rodziny Katzów.

O ile magnateria u Witkowskiego pilnuje endogamii, nie dopuszczając do swej kasty nieposiadających „substancji" lub mocnej pozycji rodowej, u Twardocha i Płazy związki są mocno wymieszane. Co to będzie znaczyć niedługo po zamknięciu czasu powieściowej akcji – wiemy z historii.

Zanim jednak Kasper i Małgorzata spotkają się i zwiążą w Berlinie, by stworzyć teatr marionetek, podążają do sztuki własnymi drogami. Ona emancypuje się, próbując nowych form, eksperymentu i awangardy. On zaś dość szybko okazuje się geniuszem, który potrafi nie tylko grać na akordeonie, lecz i snuć prosto z serca (lub duszy) ballady. Poza głównymi bohaterami i plejadą artystów międzywojnia, pojawiają się fikcyjni mistrzowie i mistrzynie, wyzyskiwacze i towarzysze. Ballady z Chwaliszewa i ze Scheunenviertel rezonują z plebejskimi fabułami, a najbliższy przyjaciel Kasperka to Bert – Bertolt Brecht – opowiadający mu o swoich pomysłach.

Takie „patronaty" to wspólna cecha wszystkich próz wybranych do tego

eprasa.pl 188c212f72

szkicu. Pozwalają interpretować i to, jaki zamysł przyświecał pisarce i pisarzom. U Płazy mamy Brechta, kompana na awanturniczej drodze Kasperla; u Twardocha fikcyjnego Wendelina Dragę, reprezentującego samego autora; u Witkowskiego mocną obecność i kpinę z dworskiego poety Janickiego. U Olgi Tokarczuk pojawi się zaś Bruno Schulz.

Pamięć i sen

Olga Tokarczuk we wczesnej powieści „E.E." (1995) pisała o Breslau z początku XX w., czyniąc bohaterką dziewczęce medium, dojrzewającą Ernę Eltzner. Erna wzorowana była na Helenie Preiswerk z Bazylei, kuzynce Carla Gustava Junga, uczestniczce seansów spirytystycznych. Wybierając tę postać, Tokarczuk uczyniła z mieszczańskiego Breslau centrum tego nurtu psychoanalizy, który wywarł na równi z freudowskim największy wpływ na myślenie o dostępie do podświadomości i pamięci. Mieszkanie, gdzie odbywają się pokazy z udziałem medium, stanowi prototyp punktów tranzytowych między powierzchnią a głębią; realnym a przeczutym; teraźniejszością a przeszłością; życiem a śmiercią, odtwarzanych w kolejnych powieściach noblistki.

Nad dziełem najnowszym szczególny patronat roztacza inna proza: „Dom dzienny, dom nocny" z 1998 r., z miejscem akcji w okolicy Nowej Rudy, na pograniczu polsko-czeskim, a także w pasażach między teraźniejszością i przeszłością, jawą i snem czy w poszukiwaniu herstorii Świętej Kummernis, niepogodzonej z przypisanym jej losem, a więc przymusem zamążpójścia.

Monumentalna powieściowa konstelacja „Świata jest za dużo" opowiada wyłanianie się z chaosu wojny początku nowego życia na Ziemiach Odzyskanych. Bohaterki i bohaterowie, wybrani, by reprezentować losy wielu grup, przenoszą wątki składające się na panoramę społeczno-historyczną. Wybrany obszar – dolnośląski Wrocław, Wałbrzych i wieś Wygnanów – ogniskują inne punkty mapy, trasy migracji, wojenne szlaki. Czasoprzestrzeń ma fizykalne i pozafizykalne wymiary. Dużo dzieje się w podziemnych strefach – schodzących ku Odrze wcześniejszych warstwach-schronach Breslau; kopalniach Waldenburga; sztolniach pod sielskimi górami i lasami. Rzeczywistość jest również warstwowa, nielinearna, zarazem zdeterminowana i niezdeterminowana. Zaginiony rękopis, sprzączka od munduru, ludzie – meandrują do z góry założonego (przez kogoś, coś) celu. W magicznej kuli widać warianty losu. Przeczucie i intuicja mogą zmienić równie dużo, jak ślepa ideologia.

Mrówki, pleśń, grzyby, nurty podziemnych rzek, rośliny ruderalne są biomasą zdarzeń, utrzymują ciągłość świata. Ludzie naśladują inne byty, powtarzając początek, wyrywając się chaosowi, wybierając wolność przeciw nieszczęściu.

Historia u Tokarczuk, mimo spisywania jej na styku z hekatombą ludzi, zrujnowaniem miast, wyniszczeniem przyrody – ma moc odrodzenia. Decyduje o tym mechanika opowiadania o krainie wysiedlanej-zasiedlanej, skaleczonej-odbudowanej. „Świata jest za dużo" układa się w mit założycielski Dolnego Śląska.

Językowy tygiel

Powieść historyczna wymaga decyzji językowych. W stylach uzyskanych przez wymienionych tu pisarzy zawiera się więcej niż próba wywołania efektu dawności. Witkowski podejmuje językową, salonowo-literacką grę. Twardoch używa mowy bohaterów, przechodzących swobodnie między polskim, niemieckim i śląskim. Osiąga uboczny efekt spowolnienia lektury (czasem trzeba sięgnąć do przypisów), choć „Waldkauz" galopuje między przygodami bohatera. Płaza zestawia rejestr wysokiej mowy z miejską gwarą, wskazując przebiegi emancypacji. Tokarczuk wplata w tekst obszerne fragmenty innych domniemanych tekstów oraz języków i zaledwie zaznacza regionalizmy, w zgodzie z naturą narodowo-językowego tygla powojnia.

Wokabularze i składnie, biblioteki i źródła są u wszystkich czworga budulcem podlegającym mocnej obróbce. Aż chce się stwierdzić, że sięgając do przeszłości, autorzy pracują na rzecz migotliwej natury współczesnych języków. Od tego zaczyna się ważna literatura, daleka od rozplenionych fabuł „na faktach".

Równie atrakcyjne byłoby znalezienie przyczyny obecności tematu historycznego w powieściach z wyższej półki, u pisarzy szukających nie samego sztafażu, lecz istotnego, nierozwiązanego problemu, drażniącego stereotypu do demontażu oraz formalnego zadania pokazującego ich najlepsze możliwości. Udział w tym zwrocie ku przeszłości i jej zapisom ma ironiczna ekspansja Historii, której zmierzch, kres i koniec ogłaszała słynna niegdyś książka Francisa Fukuyamy. Dziś w internecie krążą memy skierowane do amerykańskiego politologa, który podobno produkuje hobbystycznie drony. Opublikował też wspomnienia rewidujące zużytą utopię. „Historia to dawna polityka, a polityka to historia teraźniejsza" – rzekł Edward Augustus Freeman w 1882 r. i sentencja ta niewiele straciła na aktualności.

Współczesna powieść szuka przyczyn obecnego bałaganu w zdarzeniach, których oficjalne wersje pisane były przez optymistów. Przekonanie, że pęd ku katastrofie można powstrzymać zaledwie na mgnienie oka, także pokazując przeszłe wzloty i upadki (niekoniecznie w tonie minorowym), rodzi narracje. Te poświadczają przede wszystkim żywotność powieści wymyślanej na nowo.

Jest jeszcze jeden aspekt tego renesansu historii. Współczesność wypełniona jest przez tak wiele sprzecznych impulsów, że pisarkom i pisarzom trudno wyjąć z nich odłamki lub zaproponować swoje wersje. Nigdy tak nie było. Zasób współczesności wydaje się nieskończony. Przeszłość zaś jest dopełnianym przez nas samych rezerwuarem. Możemy nad nim zapanować i nikt nam nie powie, że nie rozumiemy swoich czasów.

© INGA IWASIÓW

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TP W NASTĘPNYM NUMERZE TYGODNIKA

Irlandia od kilku lat zapewnia artystom stałe wsparcie finansowe.

Po pilotażowym programie wiadomo już, że przynosi to same korzyści – artystom i państwu.

eprasa.pl 188c212f72

Mata i my

MICHAŁ WALKIEWICZ

PORTRET | Młody Matczak reprezentuje wszystko, za co milenialsi mogliby pokochać zetki.



MATERIAŁY PRASOWE SONY MUSIC

Mata na wydanym niedawno minialbumie „2040: SŁAWA" zakochał się w gitarze akustycznej

Michał Matczak, dla znajomych i nieznajomych Mata, skończył w lipcu 26 lat. Dwa miesiące wcześniej wyprzedał Stadion Narodowy, a dwa miesiące później wydał nowy minialbum. I tak mocno zakochał się w gitarze akustycznej, że media wepchnęły go kolanem do pawlacza.

Nie regulujcie odbiorników – Mata wcale się nie „skończył". Powiedziałbym raczej, że eksperymentuje, szuka i sprawdza, jakie brzmienia zmieszczą się w formie jego autorskiego języka, a jakimi będzie kalał nasze uszy. W popkulturze pełnej coraz bezpieczniejszych traktów między rebelią a komercją to emblemat prawdziwego – i ważnego nie tylko dla młodych – artysty.

Jestem poj384ny

Debiutancka płyta rapera została wydana w 2018 r. Kiedy ją pisał, był w pierwszej klasie liceum, a po głowie krążyła mu kronika nocnego warszawskiego życia – konwencja dość popularna, za sprawą Taco Hemingwaya (Filipa Szcześniaka) czy Kaza Bałagane (Jacka Świtalskiego) zamieniona wręcz w metaforę wielkomiejskiej wrażliwości. Płytę zatytułował „Fumar Mata" (Palenie zabija). Kolejne utwory odpowiadały popularnym nikotynowym markom. Nieprzypadkowo to z papierosem w dłoni dowiadujemy się najwięcej o świecie. I o ludziach.

Zaledwie rok później, gdy „Patointeligencja" obijała nam się po czaszce dwadzieścia cztery godziny na dobę, wiedzieliśmy o ludziach znacznie więcej. Portret rówieśników Matczaka z prestiżowego liceum Batorego kodowaliśmy często w gładkich hasłach – alkohol, narkotyki, nieplanowane ciąże, samobójstwa. Chwaliliśmy autora za demaskatorstwo, a nie za empatię. Lecz w gruncie rzeczy Mata pokazał, że „dziecko z dobrego domu" oraz „uczeń prestiżowego liceum" to nie retoryczne konstrukty przydatne w rozmowach o skali ekonomicznych dysproporcji, tylko cierpiące i krwawiące ciała.

Sam utwór był równocześnie pochwałą nasiąkniętej popkulturą wyobraźni. Mata, który maturę napisał o Tedem, a w hip-hopie zakochał się dzięki fascynacji filmem „Jesteś Bogiem" o Paktofonice, stał się żywym miernikiem jej potencjału. Nawet ze znanym ojcem, prawnikiem Marcinem Matczakiem na orbicie oraz międzynarodową maturą pod pachą był zwykłym, zdolnym dzieciakiem, ukształtowanym przez „nieszlachetną" sztukę.

Kolejne płyty Matczaka układają się w coś na kształt prywatnego dziennika – najpierw pamiętnika ze szkolnych lat, a później spisywanej na bieżąco kroniki popkulturowego statusu. „100 dni do matury" (2020) o inicjacji w dorosłość w murach prestiżowego liceum. „Młody Matczak" (2021) o zderzeniu ze sławą, „33" (2023) o wielkich abstrakcjach (miłość, ciągle ta miłość) oraz społecznym odbiorze jego medialnej postaci. Flagowe utwory, takie jak „Patointeligencja" czy „Patoreakcja", funkcjonują dziś trochę jak szkolne bryki z tej rozłożystej i skomplikowanej – zwłaszcza pod względem emocjonalnym – historii.

eprasa.pl 188c212f72

Sorry, taki jestem ;(

W szeregach komiksowego legionu „dorosłych", którzy dołączyli do dyskusji o Macie, znaleźliśmy ludzi wszelkich stanów i zawodów. Wicedyrektor warszawskiego liceum im. Stefana Batorego pomstował na „oburzające" utwory Maty. Pisarki Manuela Gretkowska i Małgorzata Halber broniły rapera słowami o pryncypiach prawdziwej sztuki. Klakier pisowskiego TVP, Jarosław Jakimowicz, wysyłał Matę do wojska. Z kolei posłanka Krystyna Pawłowicz, w ewidentnej parafrazie słów wielkiego poety Juwenalisa, konkludowała: „Brzydka twarz, brzydkie wnętrze".

Fakt, że niemal każdy, z najróżniejszych stron politycznego i społecznego spektrum, musiał się wobec Maty określić, był jego olbrzymim sukcesem. Być może nawet większym, niż pojawienie się na radarze „New York Timesa", podwójna diamentowa płyta oraz tytuł Warszawiaka Roku. Myślę, że do pewnego stopnia umożliwiło to artyście regularne kontrowanie narracji o daninie, którą pokolenie Z musi spłacić milenialsom za „wdrożenie" młodzieży w reguły skomplikowanej rzeczywistości – rynkowej, społecznej i kulturalnej. Mata nie został zaproszony do mainstreamu przez talent show, nie debiutował w Opolu, nie czekał na zapleczu Męskiego Grania. Wbiegł przez kuchnię i od razu ściągnął obrus z zastawą.

Swój dystans do polityków, autorytetów, służb mundurowych, właściwie do każdego, kto nie podzielał jego pokoleniowych doświadczeń, wpisał – zapewne nieświadomie – w szerszą narrację. Jego niecenzuralne słowa pod adresem prezesa TVP Jacka Kurskiego z utworu „Patoreakcja" wybrzmiały za sprawą, a nie pomimo wyjątkowego statusu Matczaka w kulturze głównego nurtu. To opowieść, w której nawet rebelia może przyjąć formę gigantycznego komercyjnego sukcesu; w której pieniądze i status celebryty nie unieważniają elastycznie pojmowanej „autentyczności".

Wiadomo, jak to jest z „autentycznością" w rapie – kończy się zwykle tam, gdzie zaczyna się kontrakt na promocję nowej diety bananowej. Wyjątkowość i paradoksalność pozycji Maty polega na tym, że może jednocześnie chodzić na pasku reklamodawców i pozostać „autentyczny". Nie jadłem sygnowanej jego nazwiskiem kanapki z McDonalda. Ale śmieszy mnie lament nad „dobrą mordą w szponach kapitału", płacz nad Matą jako upadłym autorytetem – zwłaszcza że płaczą głównie moi rówieśnicy. No bo jaką drogę miało obrać „dziecko z dobrego domu" i „uczeń prestiżowego liceum"? Rapowych tajnych kompletów? Reprezentowania biedy? Krytyki społecznej spod znaku „pogoni za pieniądzem" i „kultury konsumpcji"?

Mata rozbił bank w momencie, w którym w internecie rozkwitała inna protekcjonalna narracja, tym razem o pokoleniu Z i pandemii. Milenialsi zanosili się gromkim śmiechem: „Jakie pokolenie, takie doświadczenie formacyjne". No tak. Bo czymże jest chwilowa izolacja wobec turbulencji przełomu ustrojowego, albo wolnorynkowej naparzanki lat 90.? Czymże jest „prawdziwy rap", jeśli nie dotyka tematów socjalno-bytowego piekła?

Będę prezydentem :)

Muzyką Maty nie zainteresowały mnie dzieciaki z liceum, w którym uczyłem. Nie zrobił tego mój krnąbrny pasierb. Nie poznałem jej, pracując w radiu, które, choć tworzone przez moich kumpli ze studenckiej ławki, skierowane było do nastolatków. Zainteresowała mnie nią moją żona, rówieśniczka, a dość powiedzieć, że oboje wychowaliśmy się na kreskówkach Polonii 1 oraz kwitach Stana Tymińskiego.

Nie widzę w twórczości Maty pomostu między naszymi wrażliwościami. Nie będę udawał, że 40-letni facet w pulowerze, pomrukujący w metrze do rytmu „Papugi" albo „Kiss Cam", to coś więcej niż wariacja na temat popularnego memu „Hello, fellow kids!". Widzę w niej natomiast platformę niełatwego, międzypokoleniowego dialogu. I raper, czy tego chciał, czy nie, osadził ten dialog w głównym nurcie rodzimej kultury.

To tylko jeden z powodów, dla których opowieść o Macie nigdy nie była dla mnie opowieścią o muzyce. Raczej o Polsce, i to nie o tej roztańczonej i rozśpiewanej, tylko o tej poszukującej wspólnej, międzypokoleniowej tożsamości; walczącej o haust powietrza w klinczu z brudną polityką, niepewną własnych priorytetów.

Przewrotność owej „dyskusji" polega na tym, że ani Maty, ani jego „nominalnych" młodszych słuchaczy nie obchodzi za bardzo jej przebieg oraz rezultat. Jako milenialsi, których kapitałem są w takim układzie przede wszystkim dobre rady, zwykliśmy dostrzegać w protekcjonalizmie użyteczne narzędzie kontroli. Gdy przychodzi do rozmowy o tym, co, kto i komu zawdzięcza, uwielbiamy stawiać na szali cały świat. Przekonywać, że odziedziczona przez „bananowców", „nierobów" i „płatki śniegu" struktura ekonomiczno-społeczna musi istnieć w takim samym kształcie.

Sukces artysty wytrąca nam ten oręż z ręki. Uświadamia, że jeśli zetki mają wobec kogoś zobowiązania, to wyłącznie wobec siebie. I że nawet bez naszego biadolenia pozostają one źródłem nieustannego stresu.

Owocem jego muzyki jest w moim przekonaniu interesująca konkluzja. Być może różnimy się językiem, stosunkiem do instytucji publicznych i służb mundurowych, a także podejściem do codziennej orki na korporacyjnym ugorze. Ostatecznie jednak wszyscy, bez względu na wiek, mierzymy się z tą samą presją osiągnięć oraz niepewną przyszłością. ↦

Hity mniej znane

▪ **PISZĘ TO NA MATMIE** Ktoś z lewej coś liczy, ktoś z prawej coś liczy, ktoś między nimi się byczy. Niby bzdura, ale buja. Nie wiem, czy wpadłbym na pomysł, żeby opresyjny klimat lekcji matematyki połączyć z soulową, niemal chillową linią melodyczną. Na szczęście Mata zna się lepiej na muzyce (i na muzycznej matematyce) niż my wszyscy.

▪ **KURTZ**, ft. Taco Hemingway Pułkownik Kurtz siedzi w gęstej dżungli i załamuje ręce nad światem. A Mata wraz z nim – „Sodoma, Gomora, Śródmieście!". W warstwie lirycznej Macie patronują Kanye West i Wielki Gatsby, w nawijaniu zaś pomaga Taco Hemingway. To kapitalny, mądry kawałek – zwłaszcza wtedy, gdy podążamy za synapsami człowieka w depresji.

▪ **I DON'T WANNA DIE** Nie chcę narazić się znawcom tematu, ale mam słabość do tego utworu. Przygoda Maty z mumble rapem nie trafi zapewne do annałów historii muzyki. Jest natomiast coś urzekającego w tekście, w którym Berlin, Dęblin i Leroy Merlin są częścią tego samego rymu. I który ledwo słania się na własnych frazach w drodze do ponurego, apatycznego finału.

© MW

eprasa.pl 188c212f72

↦ I to z tego lęku wynika łatwość w formułowaniu uogólnień, w ustawianiu się w wiecznej kontrze do siebie, w mierzeniu „potencjału" obydwu generacji.

Młody Bachor (outro)

Czytam recenzje wydanej przez Matę z końcem sierpnia „Sławy". Krytycy i pasjonaci są raczej niezadowoleni. Narzekają na banalne teksty, płaczliwą gitarkę oraz tematyczną monotonię (ciągle tylko ta miłość). Marta Bławat z „Popkulturowców" pisze o „sklejce odrzutów z poprzednich płyt". Użytkownik viva_3_piwa z serwisu AlbumOfTheYear dodaje: „Kotlet z psa trzeciej kategorii pomielony razem z budą". Sekundują im youtuberzy oraz tiktokerzy – co drugi z palcem przytkniętym do czoła i skwaszoną miną.

Mata nie został zaproszony do mainstreamu przez talent show, nie debiutował w Opolu, nie czekał na zapleczu Męskiego Grania. **Wbiegł przez kuchnię i od razu ściągnął obrus z zastawą.**

Jako człowiek wychowany na holenderskim eurodance oraz teledyskach, w których raper musi być zanurzony po pas w wodzie, nie potrafię ocenić, ile w tych recenzjach prawdy, a ile rozczarowania artystycznym zwrotem przez rufę. Kiedy jednak słucham ostatniej epki (przepraszam – metryka zobowiązuje – minialbumu) Maty, dociera do mnie, że nawet kiepskie wydawnictwo warto ocalić dla pojedynczej frazy.

„Sława" zawiera taką: „Na granicy krindżu wykluwa się artyzm / Chyba tak kocham Messiego, no bo też mam autyzm". Oto autorefleksja, popkulturowa baza i ważna społeczna refleksja ukręcone w gęstą masę. Słowem – wszystko, za co milenialsi mogliby pokochać pokolenie Z; mapa tematów, której wyrysowanie wymaga określonego układu neuronów; wyobraźnia, którą wypada, najzwyczajniej w świecie, podziwiać.

Ze świetnego tekstu Jacka Sobczyńskiego w „Magazynie Zero" dowiedziałem się, że zanim Mata stał się gwiazdą, znali go wyłącznie ludzie zanurzeni, i to dość głęboko, w krajowym rapie. „Już wtedy dał się poznać jako błyskotliwy obserwator zjawisk istotnych dla jego rówieśników, portretując je ze swobodą, nienachalnym humorem, ale i konkretnymi umiejętnościami pisarskimi oraz dobrą techniką rapowania".

Podoba mi się klarowność tego opisu. Bo jeśli sukces „Patointeligencji" (czy szerzej – „100 dni do matury") jakoś na te przymioty wpłynął, to raczej je wyostrzył, niż stępił. A jeżeli dzisiejsze nieudane muzyczne poszukiwania artysty czegoś dowodzą, to zaledwie tego, że Mata zaprzęga je w służbę czegoś nowego; że istnieją konfiguracje artystyczne, które trzeba na swojej drodze zaliczyć, i konwencje, od których trzeba się odbić. I dla swoich słuchaczy, i dla siebie.

Nie wiem zresztą, czy jest sens obsadzać Matę w którejkolwiek z tych ról – „artysty poszukującego", „głosu pokolenia Z", „buntownika bez powodu", „inicjatora dialogu". Trochę to jednak śmieszne w kontekście gościa, który unika takich etykietek jak ognia i wyjątkowo gładko odkleja się od niemal każdej medialnej narracji. W końcu nigdy nie wiadomo, kiedy chłopak „co ma zeza w lewym oku i brwi jak Czesław Miłosz", wywinie kolejnego hołubca i dla przykładu zacznie flirtować z country albo disco polo. I nagle się okaże, że od samego początku i w „Batorym", i w McDonaldzie chodziło mu wyłącznie o muzykę, cała reszta zaś była niepotrzebnym szumem.

Za sprawą alternatywnych tożsamości oraz symbolicznych „podziałów" własnej świadomości każdy może mieć zresztą „własnego" Matę. Polak GBP idzie na prezydenta. Skute Bobo odpala skręta od skręta. Z kolei Młody Matczak robi się coraz starszy. I być może – w zależności od tego, kogo spytacie – coraz ciekawszy. © MICHAŁ WALKIEWICZ

Śródtytuły tekstu są tytułami piosenek Maty

Sonata widm

JACEK WAKAR

TEATR | Ten spektakl przywołuje duchy dawnego Krakowa nie tylko z miasta szydząc, ale i budując mu nowy pomnik.

W nowym przedstawieniu Agaty Dudy-Gracz nic nie jest takie, jakim się wydaje. „Kraków narodowej sztuce, czyli tryumf miernoty" w Teatrze Słowackiego krótko po premierze stał się przebojem, wydarzeniem artystycznym i towarzyskim, a o biletach na spektakle do końca stycznia nie ma co marzyć.

Ta ogromna inscenizacja to gorzka kpina z Krakówka, jego mgieł i zaduchu, artystowskich póz, animozji, rewanżów i mrzonek, a jednocześnie gorzkie, dojmujące i przeraźliwie smutne epitafium dla miasta, którego już nie ma.

Spektakl rozsiany

Przed teatrem tłum, ludzie rozmawiają, ewidentnie wiedząc, na co przyszli. Publiczności Słowaka (i nie tylko) Duda-Gracz jest dobrze znana, reżyserka doczekała się tu wiernej widowni, podążającej za jej teatrem niezależnie od tego, gdzie pracuje i jakim tematem się zajmuje. Artystka przy Placu Świętego Ducha zaczynała, potem przygotowywała tu swe najważniejsze inscenizacje. Nie ukrywa emocjonalnych związków z tym adresem.

„Kraków narodowej sztuce, czyli tryumf miernoty" to ukoronowanie cyklu o Stanisławie Wyspiańskim. Zapoczątkowała go reżyserka właśnie tutaj, przedstawieniem „Proszę państwa, Wyspiański umiera" (wciąż na afiszu). Środkową część, „Na kolana, panie Wyspiański" zrobiła w komnatach na Wawelu, dzieląc widzów na grupy i każąc im podążać za wykonawcami i oglądać ich z bliska. Teraz powtarza ten zabieg, poszczególne sekwencje inscenizacji rozsiewając po całym budynku Teatru Słowackiego.

eprasa.pl 188c212f72



JOANNA SIWIEC / MATERIAŁY PRASOWE

Spektakl „Kraków narodowej sztuce, czyli tryumf miernoty", reż. Agata Duda-Gracz, Teatr im. Juliusza Słowackiego w Krakowie

Spektakl naładowany jest więc interakcjami z widownią, ale nie one są najbardziej istotne. Z jednej strony zabieg ten pozwala w kilku stopklatkach i zbliżeniach ukazać ludzi i przekrój społeczeństwa Krakowa owego czasu, z drugiej zaś burzy dystans między publicznością a bohaterami. Słyszymy zatem bezlitosną tyradę Franciszka Wyspiańskiego oskarżającego syna, iż jest miernotą i darmozjadem (świetny, gorzki i kabotyński Krzysztof Wrona opuszcza rolę Stanisława, by sportretować jego ojca), a następnie ognistą odezwę krakowskiej sufrażystki wzywającą ludność do hojnych datków (niezwykle sugestywna Natalia Strzelecka).

Jesteśmy za kulisami Teatru Miejskiego, gdzie wszystko się sypie tuż przed prapremierą „Wesela". A potem w domu Stankiewiczów, by obserwować Matejkę, Lucjana Rydla oraz przemykającego między nimi, unikającego ojca, młodego Wyspiańskiego. Wraz z nieopłaconymi modelami (Maciej Jackowski i Rafał Dziwisz pokazują się niczym mistrzowie nieprzeskalowanego komizmu) pozujemy do „Hołdu pruskiego" i wysłuchujemy pełnego goryczy i pasji oskarżenia Teodory Matejkowej (wspaniała Lidia Bogaczówna), wyrzekającej na krakowskie stosunki oraz hipokryzję, charakter i skąpstwo męża, chociaż zapewne sama nie jest od niego lepsza.

Wreszcie trafiamy na niepokojącą imprezę, gdzie widzimy z bliska relację Stanisława Przybyszewskiego (Bartosz Roch Nowicki) i jego pogrążającej się w szaleństwie żony Dagny (Dominika Kozłowska). Do naszych nóg w każdej chwili może rzucić się błagająca o miłość kobieta. Przejmująco grana przez Martynę Krzysztofik, pochodzi i z tamtego, i z obecnego porządku.

Skok na główkę

Posłusznie zwiedzamy zatem zakamarki Teatru Słowackiego, przysiadając się do miniaturowych teatrów Dudy-Gracz. Ponaddwugodzinna, nazwana immersyjną część przedstawienia, bazuje przede wszystkim na nieskrępowanej komediowości, ale nie służy tylko salwom śmiechu. Mamy dotknąć bohaterów, unieważnić różnicę czasu, zrozumieć, że rzeczywistość sprzed ponad wieku reprodukuje się aż do dzisiaj, tyle że nigdy pełnowymiarowo.

Drugi człon tytułu, „tryumf miernoty", nie wziął się znikąd – inscenizatorka bez skrępowania dworuje sobie z typowego dla Krakowa przeświadczenia o własnej wielkości, o tym, że skoro coś w sferze artystycznej powstało właśnie tutaj, niechybnie musi być najlepsze na świecie. Śmiech z początku usypia czujność, ale nie daje ukojenia. Kiedy zostaje spotęgowany, odnoszę wrażenie, że ma nas obudzić z letargu i sprawić, byśmy bawiąc się doskonale, niemal się nim udławili.

Rozkołysani energią widowiska, siadamy bowiem po przerwie na widowni Teatru Słowackiego, zerkamy na kurtynę Siemiradzkiego i bez ostrzeżenia skaczemy na główkę w inny świat. „Świat" to zresztą słowo nieadekwatne, lepsze byłoby chyba określenie „zaświaty" albo „sen" – Stanisława (doskonale obsadzony Vitalik Havryla), który przysnął gdzieś w loży i zaprasza nas do swoich rojeń.

Otóż ostatnia część inscenizacji, korzystając z fragmentów „Wesela" i ożywiając malarskie dzieła, m.in. Mehoffera, Axentowicza czy Ajdukiewicza, przenosi nas między upiory, widma odgrywające własną sonatę żałoby. Powstają zatem z grobów krakowskie persony, ktoś tuli dziecko, ktoś spala się na popiół w nic nieznaczącej z pozoru konwersacji. Na finał zaś wszyscy ruszają w chocholi taniec, ale jak z Kantora, bez gruntu, bez oparcia, na oślep. Wyławiamy w korowodzie postaci już znane, jak i te, co objawiły się przed chwilą. Znaczące, że legendarnego dyrektora Teatru Miejskiego Tadeusza Pawlikowskiego gra Krzysztof Głuchowski, obecny szef Słowaka. Ten pod racjami poprzednika mógłby się podpisać, tym bardziej teraz, gdy zapanowała niepewność co do przyszłości teatru.

Wszystko, co po antrakcie, każe umieścić „Kraków narodowej sztuce" w całkiem innym porządku. Rzecz jasna, Agata Duda-Gracz nie ustawia się między Matejką a Mehofferem, pełny cytatów z klasyków scenariusz to nie jest Wyspiański ani Przybyszewski. Ale nie da się ukryć, że jej twórczość – inscenizacje i obrazy je wypełniające, wraz z fascynującymi kompozycjami Mai Kleszcz i Wojciecha Krzaka – wyrasta z podobnego pnia, nie wstydzi się tradycji, a wręcz z nią się splata.

Jej spektakl nawiązuje zatem do dawnego Krakowa, nie tylko z niego szydząc, ale budując mu pomnik. Może ulotny i chwiejny, powiedzmy: z piasku, ale jednak pomnik.

Nowy Stary Teatr

Wieczór w Teatrze Słowackiego ma w sobie coś z dawnych klasyków – „Z biegiem lat, z biegiem dni" Wajdy, „Snu o Bezgrzesznej" Jarockiego. Tamte inscenizacje budowały legendę Starego Teatru, dzisiejsze przedstawienie w historycznym budynku Teatru Miejskiego wiąże przeszłość z teraźniejszością, a to, co minione, okrywa ledwie dostrzegalnym kirem. Nie ma przy tym nic z akademii ku czci – napędza je żywioł niepohamowanej zabawy.

Czy to jest nowy, czy stary teatr? Szczerze mówiąc, kompletnie mnie to nie obchodzi. Ważne, że płynie z serca, więźnie w gardle. No i nie zrobiłby go nikt inny oprócz Agaty Dudy-Gracz. Nie umiałby powielić jej charakteru pisma. ©

Autor jest szefem działu kultury Polskiej Agencji Prasowej.

eprasa.pl 188c212f72

Milion za upiora

RAFAŁ CHRIST

KINO | W programie tegorocznego festiwalu filmowego w Gdyni znalazły się dwa horrory. Czy nasz stosunek do lekceważonego gatunku wreszcie się zmienia?

Polskie filmy grozy powstają sporadycznie, jeszcze rzadziej robi się o nich głośno na świecie. „Medium" (1985) w reżyserii Jacka Koprowicza zdobyło co prawda nagrodę na prestiżowym festiwalu we Włoszech i trafiło do dystrybucji w 30 krajach, jednak mimo to nasi filmowcy nie zaczęli częściej straszyć widzów. Polskich horrorów wciąż jest mało, a zamiast tradycji kina grozy wykształcił się u nas raczej nawyk jego deprecjonowania.

Nic dziwnego – PRL oczekiwał od filmów realizmu i jasnego przekazu moralnego, obawiając się interpretacji, jakie widzowie wysnuwaliby z wątków fantastycznych. Uznawane za arcydzieło „Opętanie" Andrzeja Żuławskiego (1981) daje się czytać jako metafora sytuacji politycznej w komunistycznej Polsce. Reżyser zrealizował ten film już po wyprowadzce do Francji i jest to jakiś trop w naszych poszukiwaniach, bo w końcu najlepsze horrory rodzimi twórcy robili za granicą. Ci, którzy w kraju zostali, nie chcieli być kojarzeni z gatunkiem, który uchodził za symbol zachodniej dekadencji i perwersji. Przy premierze „Lokisa. Rękopisu profesora Wittembacha" (1970) Janusz Majewski odżegnywał się od horroru, twierdząc, że jedynie się grozą bawił.

– Horror wciąż budzi u nas nieufność – mówi reżyser Bartosz M. Kowalski, który po swoim debiucie, zaangażowanym społecznie „Placu zabaw" (2016), przerzucił się na kino grozy. Poczynając od „W lesie dziś nie zaśnie nikt" (2020) zrealizował już pięć gatunkowych produkcji. – Horror traktuje się jako kino dla mniej wymagającego, może nawet głupszego widza, choć regularnie udowadnia on, że potrafi być zarówno rozrywkowy, jak i ambitny – tłumaczy Kowalski.

Wilczyca i tortury

Polskie horrory nie potrafią wypracować sobie silnej pozycji, bo twórcy i producenci podchodzą do nich z rezerwą. W 2025 r. do Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej wpłynęło 171 wniosków o dofinansowanie pełnometrażowych filmów, z czego zaledwie osiem dotyczyło szeroko pojętego kina grozy.

Naturalnie strach przed horrorem nie bierze się znikąd. Nawet jeśli ktoś odważy się po niego sięgnąć, rezultat może okazać się odwrotny do zamierzonego, jak w przypadku „Pory mroku" (2008). Miała to być polska odpowiedź na modne na początku XXI w. w Stanach Zjednoczonych *torture porn* – produkcje, których głównym celem jest epatowanie przemocą.

Pod względem brutalności film Grzegorza Kuczeriszki nie ustępuje „Pile" (reż. J. Wan, 2004) czy „Hostelowi" (reż. E. Roth, 2005), ale nie rekompensuje tego wciągającą intrygą. Mechaniczne kopiowanie zagranicznych wzorców przekłada się na absurdalną fabułę podaną z pełną powagą. Efekt? W recenzjach odnotowano, że w momentach mających wywoływać największą grozę widzowie wybuchali śmiechem.

Korzystanie z amerykańskich wzorców samo w sobie nie jest oczywiście problemem. Skoro nie mamy silnej tradycji kina grozy, trudno całkiem się od nich odciąć.

– Każdy z nas z czegoś czerpie. Nie chodzi o to, żeby wymyślać kino na nowo, tylko żeby znane elementy przepuścić przez własną wrażliwość i zrobić z nich coś swojego – twierdzi Kowalski.

Przeszczep zagranicznych wzorców może się przyjąć, o ile podda się je odpowiedniej obróbce. Taka myśl towarzyszyła Marcie Giec podczas prac nad pełnometrażowym debiutem „Òpi". Wraz z Dominiką Kłoczewiak przez rok pisały scenariusz, korzystając z amerykańskich metod budowania opowieści – od konstrukcji narracyjnej po kreowanie głównych bohaterów i ich konfliktu.

– W polskim kinie brakuje scenariuszy dopracowanych od strony dramaturgicznej. Dlatego te opowieści się później rozpadają. Scenariusz to szkielet, który musi być na tyle solidny, żeby udźwignąć wszystkie warstwy fabularne. Inaczej będzie się pod nimi załamywał – mówi Giec.

Z zagranicznych konwencji można korzystać na różne sposoby. Da się w nie wejść bez kompleksów i wielkich artystycznych ambicji. Zrobił to m.in. Marek Piestrak, który swoją „Wilczycę" (1982) zanurzył w romantycznej niesamowitości i ludowych wierzeniach. Pomimo dramaturgicznych nieporadności film przyciągnął dwa miliony spragnionych gatunkowej rozrywki widzów, a kiczowaty urok z czasem pomógł mu osiągnąć status kultowego.

Giec też dba o swojski charakter opowieści. Sięga w tym celu do kaszubskich wierzeń, opisanych przez Łukasza Kozaka w książce „Upiór. Historia naturalna". To właśnie z nich wywodzi się òpi – upiór, któremu przypisywano nadprzyrodzone zdolności. W filmie główna bohaterka poznaje opowieści o upiorach za sprawą tajemniczej ciotki i babci, których wizyta krzyżuje jej plany ucieczki z domu. Dzięki temu reżyserka serwuje nam pełnokrwisty *folk horror*, ale nie korzysta z jego zasad tylko w celach rozrywkowych. Dostrzega w nich doskonałe narzędzie do opowiedzenia o relacjach i problemach rodzinnych.

Małe Hollywood

Marta Giec trzyma się formuły, która w ostatnich latach cieszy się popularnością w światowym kinie grozy. Kolejni twórcy wykorzystują zjawiska nadprzyrodzone, aby zgłębiać traumy, badać ludzkie relacje i komentować bolączki świata. Giec wskazuje takie filmy jako inspirację, bo odnajduje w nich trafne diagnozy społeczne i psychologiczne.

Dokładając kolejne znaczenia do fabuły „Òpi", pamięta o tym, co w horrorze najważniejsze. Nie stroni od gatunkowych atrakcji, co w przypadku polskiej kinematografii wiąże się z ryzykiem. Efekty specjalne nieraz już zawodziły, jak w „Legendzie" (reż. M. Pujszo, 2005), w której krew wyglądała jak ketchup.

W przypadku filmu „Òpi" trudno o podobne zarzuty. Za efekty specjalne od-

eprasa.pl 188c212f72



FILIP KLIMASZEWSKI / NEXT FILM

Iwona Bielska i Wiktoria Kruszczyńska w filmie „ÒPI", reż. Marta Giec

powiada polska firma, która zasłynęła na świecie swoim wkładem w „Wiedźmina" – zarówno grę, jak i serial Netfliksa. Platige Image zadbało, aby gatunkowych atrakcji nie zabrakło i nie stały się źródłem mimowolnego komizmu. Wszystko to udało się osiągnąć mimo ograniczonych środków finansowych.

– Dostałam duże zaufanie. Jeszcze na długo przed rozpoczęciem zdjęć rozmawialiśmy o efektach specjalnych, aby na planie obyło się bez większych niespodzianek. Platige Image wspierało nas też na planie. Przyjechał do nas konsultant, który doradzał, jak nakręcić ujęcia w taki sposób, żeby eksperci od efektów mogli potem spokojnie z nimi pracować. Stworzyliśmy sobie takie mini-Hollywood, aby w ramach dostępnego budżetu uczciwie ten horror zrobić – wspomina Giec.

Polskie filmy zazwyczaj kosztują od 5 do 7 mln zł, ale w tym przypadku mamy do czynienia z mikrobudżetem. Zgodnie z definicją programu wsparcia PISF, który powstał z myślą o debiutantach, przedsięwzięcie musi zamykać się w sumie 1,11 mln zł. Niewielka skala takich produkcji ogranicza ryzyko finansowe i daje przestrzeń na eksperymenty. Giec uważa wręcz, że w takich warunkach odrobina szaleństwa i gatunkowe poszukiwania są wskazane. Przyznanie wsparcia „Òpi" nie jest więc może rewolucją w podejściu do horroru, ale już małym krokiem w dobrą stronę.

– Jeszcze kilka lat temu zdobycie publicznego finansowania na horror było bardzo trudne. Nawet jeśli w tym przypadku chodzi o mikrobudżet, odnoszę wrażenie, że ten mur, w który od dawna walę głową, powoli zaczyna pękać. Może w przyszłości uda się go przebić – mówi Kowalski.

Horror dojrzewania

Powodów do ostrożnego optymizmu możemy znaleźć więcej. „Òpi" nie jest jedynym horrorem, któremu w ostatnim czasie udało się zdobyć dofinansowanie z programu mikrobudżetów. Twórcy filmu „Sick" zgłosili się do PISF-u dopiero po ukończeniu i zmontowaniu filmu, który został zrealizowany bez udziału publicznych środków. Według reżyserki Agaty Trzebuchowskiej miało to swoje zalety: komisja ekspertów wiedziała, z jaką produkcją ma do czynienia.

Trzebuchowska nie nazywa siebie fanką horrorów. Podkreśla, że chciała przede wszystkim opowiedzieć historię o dojrzewaniu. Fabuła jej filmu skupia się na losach rodzeństwa, które wyjeżdża na wieś opiekować się chorą babcią. W miarę rozwoju akcji między bratem i siostrą budzi się kazirodcze pragnienie. To właśnie z niego wypływa cała groza, stając się bardziej środkiem do celu niż celem samym w sobie.

– Poruszam się w obrębie kilku różnych konwencji, a sam horror rodzi się naturalnie. Interesuje mnie mrok, ale nie taki nadany z racji gatunku, tylko wynikający ze środka opowieści, z jej bohaterów. Odnoszę się przy tym do tematu kazirodztwa, który jest obciążony silnym tabu społecznym. Horror pozwolił mi podejść do niego w sposób metaforyczny – wyjaśnia reżyserka.

To jedna z funkcji horroru – transgresja i przełamywanie barier społecznych leży w jego naturze. Nieraz okazuje się przez to niewygodny. Być może dlatego pod koniec premierowego pokazu na festiwalu w Gdyni część osób wyszła z seansu. Trzebuchowska odbiera to jako dowód żywej reakcji – lepiej wzbudzać dyskomfort niż obojętność.

W Jastarni

Podczas festiwalu filmowego w Gdyni „Sick" został „Odkryciem Harper's Bazaar". Wcześniej zadebiutował w Stanach Zjednoczonych na Fantastic Fest, gdzie otrzymał dwie nagrody. Czy to oznacza, że polski horror jest bardziej doceniany za oceanem niż w naszym kraju?

– Gdynia jest dużo bardziej konserwatywna. Obawiałam się, że to będzie twarde lądowanie, ale myliłam się. Publiczność reagowała żywo i wokalnie. Niezmiernie mnie przy tym cieszy, że zarówno w Stanach, jak i Polsce każdy interpretuje ten film po swojemu. Z założenia miał on być pełen niedopowiedzeń – mówi Trzebuchowska.

Giec również przekonała się, że polska publiczność potrafi zaangażować się w kino grozy – zarówno emocjonalnie, jak i intelektualnie. Szczególnie gdy rozpoznaje w nim kawałek własnego świata. Reżyserka z rozrzewnieniem wspomina pokaz „Òpi" w kinie Żeglarz w Jastarni, gdzie większość widzów została po seansie, by z nią porozmawiać i opowiedzieć o własnych doświadczeniach z kaszubskim folklorem.

– Mamy widzów, którzy kino grozy kochają, znają się na nim i wspierają polskie filmy gatunkowe. Im więcej takich produkcji powstanie i im większą uwagę przyciągną, tym trudniej będzie spychać horror na margines polskiej kinematografii. Marzy mi się, żeby nie było już wydarzeń spod znaku „o, ktoś znowu zrobił horror", tylko by ten horror stał się jednym z normalnie funkcjonujących gatunków, zarówno festiwalowo, jak i komercyjnie – podsumowuje Kowalski. ©

Film „Òpi" w reż. Marty Giec pojawi się w dystrybucji kinowej 1 stycznia 2027 r.

eprasa.pl 188c212f72

Koń a sprawa amerykańska

ANITA PIOTROWSKA

PREMIERA | „Dziki koń dziewięć” to kino, które wdzięcznie i bezwysiłkowo opowiada o ciężarze odpowiedzialności. W skali indywidualnej i globalnej.



DIEGO ARAYA CORVALÁN / SEARCHLIGHT PICTURES

Jedziemy zdestabilizować waszą demokrację” – szarżuje bohater grany przez Johna Malkovicha, podrywając dziewczyny na chilijskim lotnisku. Tyle że przebrany za turystę agent CIA mówi całkiem serio: jest rok 1973 i za chwilę dojdzie do zamachu wojskowego w Santiago de Chile. Chris wraz z młodszym od niego agentem Lee (w tej roli Sam Rockwell) lecą właśnie na Wyspę Wielkanocną, by nawigować planowaną operacją. Tak oto już na samym początku filmu „Dziki koń dziewięć” zebrało nam się samo gęste. Czyli czarna komedia o amerykańskim interwencjonizmie z czasów zimnej wojny i refleksyjna opowieść o schyłku życia, kiedy kłamie się tylko po to, żeby powiedzieć całą prawdę.

Martin McDonagh ma rękę i ucho nie tylko do scen otwierających – uchodzi za mistrza scenopisarstwa, zaprawionego w sztukach teatralnych. Reżyser „Trzech billboardów za Ebbing, Missouri” ma też wyostrzone oko do miejsc, niezależnie, czy to prawdziwa, choć cokolwiek surrealistyczna Brugia z „Najpierw strzelaj, potem zwiedzaj”, czy wyizolowana i w gruncie rzeczy fikcyjna wyspa Inisherin z filmu o śmiertelnie pokłóconych irlandzkich sąsiadach. Tym razem zabiera nas na pacyficzną Rapa Nui, gdzie w cieniu wielkich posągów zwanych Moai, stworzonych setki lat temu, as wywiadu Chris, zahartowany podczas wojskowych operacji USA w Gwatemali, Kongu czy Zatoce Świń, ma wykonać swą ostatnią misję. A właściwie ostateczną. Cierpi bowiem na zaawansowany nowotwór i w dodatku ma postępującą demencję, nie mówiąc o ciężkim moralniaku. Od czasu zamachu na prezydenta Kennedy’ego zdążył utracić wiarę w swój kraj – i w świat, który spośród zabitych prezydentów pamięta co najwyżej tych białych.

Najważniejsza jest jednak relacja łącząca dwóch agentów. Oto starszy i wadzący się ze swoją katolicką wiarą prosi młodszego, dużo mniej refleksyjnego kolegę, ażeby pomógł mu zakończyć życie. Tymczasem Lee dostał tajne zadanie z CIA, jakim ma być zdobycie przedśmiertnych nagrań tracącego pamięć Chrisa, po czym ma go zlikwidować na chilijskiej wyspie. Wszyscy zdają się tutaj szpiegować wszystkich, lecz McDonagh niepostrzeżenie zamienia pełne absurdów i paranoi kino szpiegowskie w niecyniczną opowieść o wzajemnym zaufaniu. Zabicie Chrisa przez Lee może stać się aktem zdrady, jak i gestem prawdziwej przyjaźni, a w obliczu rychłej śmierci, wobec bezkresnych przestrzeni i piękna dzikiej natury, wszystko – światowe spiski czy osobiste konflikty – nabiera zupełnie innej skali.

Jest jeszcze spotkanie z chilijską studentką Monicą (Mariana di Girolamo), która w przededniu obalenia prezydenta Allende i wprowadzenia dyktatury Pinocheta trzyma się mocno lewicowych ideałów tudzież bezkrwawych metod walki. Choć weteran amerykańskiego wywiadu trudne sprawy załatwiał dotąd jednym strzałem w głowę, przechodzi głęboką przemianę – zamiast dobrodusznie ratować ćmy, Chris coraz bardziej sprzeniewierza się agenturalnej misji. A swój dyktafon traktuje niczym konfesjonał, choć dla innych może on być polityczną puszką Pandory, zwłaszcza w temacie zamachu w Dallas.

„Dziki koń dziewięć” to kino, które w sposób wdzięczny i bezwysiłkowy opowiada o ciężarze odpowiedzialności, w skali indywidualnej i globalnej. Kaliber podejmowanych w scenariuszu tematów – terminalna choroba bohatera, dylematy płatnego zabójcy czy imperialna polityka Stanów Zjednoczonych – zostają rozbrojone gawędziarskim tonem, słyszalnym u McDonagha nie po raz pierwszy, kiedy trzeba dotknąć kwestii bolesnych i drażliwych. Tak brzmiała we wcześniejszych filmach desperacka walka matki ze stanu Missouri (zagranej przez Frances McDormand), na własną rękę szukającej sprawiedliwości dla sprawców gwałtu na jej córce. Albo historia dwóch zaprzyjaźnionych Irlandczyków, którzy gotowi byli utoczyć własnej krwi w imię absurdalnego sporu i pod wpływem męskiej rozpaczy, dla której nie umieli znaleźć języka innego niż przemoc. Teraz chodzi, bagatela, o amerykańskie sumienie.

Albowiem twórca tych filmów operuje brawurową anegdotą, błyskotliwą szermierką słowną czy „epickim” monolo-

eprasa.pl 188c212f72



DZIKI KOŃ DZIEWIĘĆ
(Wild Horse Nine) – reż. Martin McDonagh. Prod. Wielka Brytania/USA/Chile 2026. Dystryb. Disney. W kinach od 13 listopada.

Martin McDonagh to irlandzki reżyser, scenarzysta i dramatopisarz. Zaczynał od komedii kryminalnych „Najpierw strzelaj, potem zwiedzaj” (2008) czy „Siedmiu psychopatów” (2012). Pięć lat później jego „Trzy billboardy za Ebbing, Missouri” otrzymały siedem nominacji do Oscara oraz, podobnie jak niedawne „Duchy Inisherin”, nagrodę za scenariusz na festiwalu w Wenecji.

Na zdjęciu: Sam Rockwell i John Malkovich w scenie z filmu „Dziki koń dziewięć”

giem, nie przykrywając nimi społeczno-politycznych kontekstów. W „Dzikim koniu dziewięć” chodzi oczywiście o zbliżający się wojskowy pucz i jego dramatyczne konsekwencje dla milionów Chilijczyków, ale także o samą wyspę Rapa Nui, nazwaną przez kolonizatorów Wielkanocną. Agenci Chris i Lee są na tej ziemi, podobnie jak i w innych rejonach świata, totalnymi ignorantami i arogantami, co Malkovich i Rockwell wygrywają z dużą swadą. Ten drugi dał już u McDonagha oscarowy popis we wspomnianych „Trzech billboardach”, pierwszy zaś otrzymał za rolę Chrisa nagrodę w Wenecji i jest to o tyle zabawne, że motyw „śmierci w Wenecji” odgrywa w „Koniu” rolę niebagatelną.

Podobnie jak i same konie. Wpisane na trwałe w pejzaż Dzikiego Zachodu i w westernową mitologię, na Rapa Nui stają się znowu czymś nieokiełznanym. W oczach Chrisa, dawnego egzekutora i człowieka będącego częścią amerykańskiego aparatu kontroli nad światem, wolnożyjące zwierzęta zdają się istotami z innego, lepszego porządku. Ich obrazy raz po raz przełamują zawadiacką tonację filmu McDonagha, przekierowując nas w rejony egzystencjalnej zadumy. To właśnie te obrazy chciałby zabrać ze sobą umierający Chris, choć musi także załatwić przed śmiercią parę spraw, na przykład z dawno niewidzianym bratem Jimem, który wypisał się ongiś z systemu i żyje teraz gdzieś na amerykańskiej pustyni (gra go Tom Waits). Ale najbardziej Chris chciałby wreszcie mówić prawdę – o tym, co było, i o tym, co będzie.

Udaje się połączyć w tym filmie żywioły skrajne – dziką zabawę, na przykład z udziałem Steve’a Buscemiego jako zaćpanego szefa placówki CIA, i historyczne rozrachunki, jak w stylizowanych na archiwalia wstawkach z Patrice’em Lumumbą, pierwszym premierem Demokratycznej Republiki Konga, zwalczanym przez CIA i zamordowanym w 1961 r. A spaja to wszystko Malkovich, grający bardziej w tragikomedii niż w komedii szpiegowskiej. Wnosi na ekran nutę autentycznej melancholii, zapisanej już w samej jego twarzy. Staje się ona lustrem również dla dzisiejszych interwencji mocarstwowych i dla grubych politycznych kłamstw. Nawet jeśli twórcy tego filmu trochę za bardzo romantyzują starzejącego się agenta chaosu. ©

Lektor:
Po pół wieku



▪ *Hanna Krall*
ZDĄŻYĆ PRZED PANEM BOGIEM
z posłowiem autorki, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2026

To już pół wieku minęło... Pół wieku od gorączkowego polowania w kioskach (niedługo nikt nie będzie pamiętał, co to takiego było) na numery wrocławskiego miesięcznika „Odra” z kolejnymi odcinkami jednej z najważniejszych powojennych książek – „Zdążyć przed Panem Bogiem” Hanny Krall.

A mogło jej wcale nie być. Był nieciekawy wyjazd do Łodzi i podjęta już decyzja o powrocie do Warszawy, zmieniona po zobaczeniu w dworcowym kiosku (znów ten kiosk!) gazety z informacją o pionierskiej operacji serca w łódzkiej klinice.

„Gdyby fabryka była mniej nudna... Gdybym nie kupiła gazety... Gdyby profesor Moll nie opowiedział o operacji... – zastanawia się autorka. – Gdyby profesor Jan Moll nie poprosił doktora Marka Edelmana o sprawdzenie mojego tekstu, książki nie byłoby”. Napisane po latach posłowie nosi tytuł „Powstała przez przypadek”. A może nie ma przypadków? Na pewno niektóre bywają szczęśliwe. I na pewno rzadko tyle spraw się w jednym, niezbyt długim tekście splata. I tyle pytań rodzi jego lektura.

Zagłada, getto – i wymagająca podejmowania wielkiego ryzyka walka o życie chorych na serce, pierwsze operacje. Nie będę przecież streszczał lektury szkolnej, więc tylko z rocznicowego podsumowania Autorki: „Szesnaście książek od wydania »Zdążyć...« napisałam, w książkach są 983 osoby. (...) Policzyłam też dobro i zło i okazało się, że jest po równo. Co nie było zaskoczeniem. Od dawna wiem, że zło zawsze towarzyszy dobru i na odwrót”. No i zło, jej zdaniem, wcale nie jest banalne.

Polowanie na „Odrę” z odcinkami książki Hanny Krall nie było pierwszym, które pamiętam – wcześniej tak się polowało na numery, w których ukazywały się „Rozmowy z katem” Kazimierza Moczarskiego. Redaktorem naczelnym miesięcznika był wtedy pisarz Zbigniew Kubikowski. Numer z pierwszym odcinkiem „Zdążyć przed Panem Bogiem” był już na maszynach drukarskich, gdy Marek Edelman podpisał jeden z protestów przeciw zmianom w konstytucji. Sygnatariusze takich protestów trafiali na czarną listę, więc druk wstrzymano. Kubikowski doprowadził do zmiany decyzji – jak wspomina Hanna Krall, „wysiedział ją na korytarzach, pod drzwiami cenzorów. Wybłagał, wygroził, wyjednał”. Wkrótce ukazało się wydanie książkowe. A Kubikowski przestał być naczelnym „Odry”, potem zaangażował się w solidarnościowe zmiany w Związku Literatów Polskich, a po jego rozwiązaniu umarł przedwcześnie, w roku 1984. O tym też powinniśmy pamiętać. ©℗

eprasa.pl 188c212f72

PAWEŁ

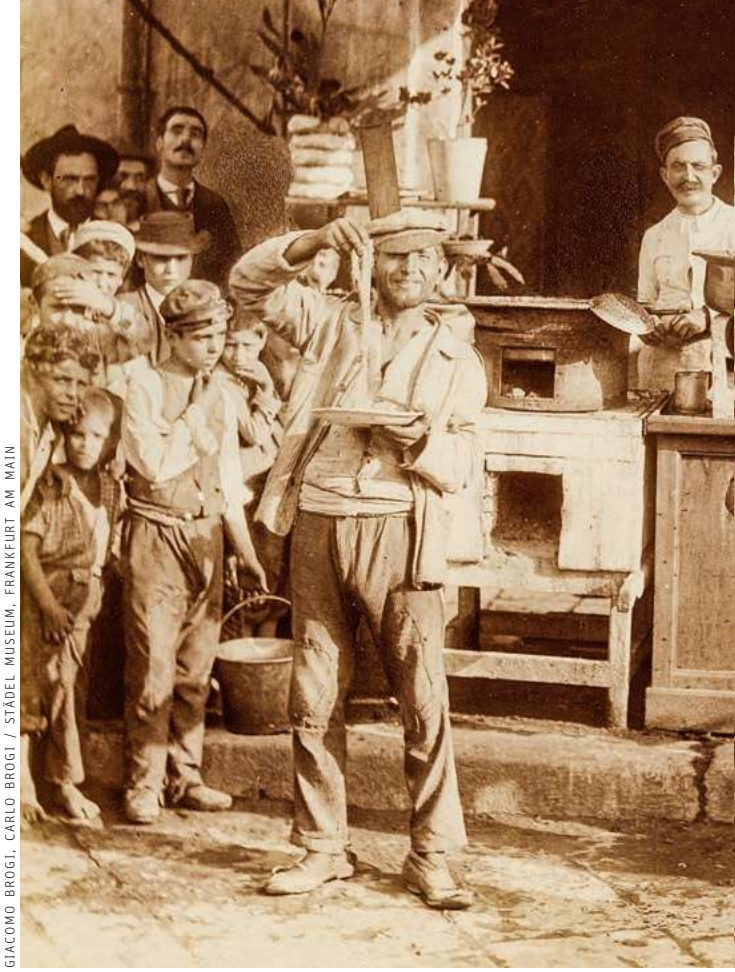
Bravo:
Lubię patrzeć na karczochy



Tyle się mówi o groźnym dzieciaczku El Niño, nikt zaś nie wspomni o nadciągającym ślepcu, z hiszpańska El Ciego. Skoro wszystko w klimacie koziołkuje i wykoleja bieg rzeczy do tego stopnia, że przestajemy się łudzić, iż da się owym zmianom zapobiec za cenę coraz trudniejszych do przełknięcia wyrzeczeń, otóż skoro tyle się zmienia, to czemu jednej zmiany, tej akurat bezsprzecznie korzystnej, nie możemy się doczekać? Dlaczego tylko jeden cykl ani drgnie? Mam na myśli ten astronomiczny, przez który mieszkańcy wyższych szerokości geograficznych przez pół roku dostają za mało światła. Skoro dwie trzecie z piętnastu to może być podobno osiem, to dlaczego jutro dzień nie potrwa dwunastu godzin?

Pisz z pretensją do Kopernika, poczta Frombork – powiadacie. Tam pod ruską granicą niepewna sytuacja, może mu wyślę parę słoików, żeby miał na zimę, akurat ustawiam je na półkach. To jest ten moment w roku, te kilka dni przed świętym Marcinem, zanim sięgniemy po młode wino, na ostateczne podsumowanie akcji „przetwory". Tak, to wszystko jeszcze dziś cieszy – bo w marcu już dusza będzie wyła do czegoś świeżego – z czułością przecieramy szkło i sprawdzamy, czy aby klej od nalepek równo chwycił. Miałem mało czasu, więc wszystkiego wyszło niewiele, ale atawizm ma swoje prawa. W spiżu wyryte. Ta zapobiegliwość, myślenie na zapas, troska nawet nie o jutro, a o pojutrze – siedzi w nas głęboko i apodyktycznie, choć żadnej zimy rozumianej jako brak źródeł pożywienia zupełnie nie doświadczamy.

Jak to powiadają, gena nie wydłubiesz. Północnego gena. Ponurego gena. Przeciwstawienie skrzętnego mieszkańca krainy ciemności radosnej beztrosce ludów Południa i związek tego z klimatem ma długą historię. Już przecież Goethe w swojej „Podróży do Włoch", gdy dojechał do Neapolu, poświęcił sporo stron rozważaniom, czemu ludzie w tym mieście wydają się leniwi, nie bardzo zapracowani. Możemy się oburzać, że takie są głębokie korzenie germańskiego stereotypu południowego obiboka. Wielki Niemiec nieraz popada w kicz orientalizmu, naiwne zachwyty podszyte zgorszeniem nad szczęśliwymi obdartusami. Ale jednak trudno zaprzeczyć, że jest coś na rzeczy. Nawet dziś, ktokolwiek objeżdża basen śródziemnomorski, odczuwa lekką zazdrość, że kultura zapieprzu nigdy tam nie dotarła. Otóż Goethe pisze – w sumie banalnie, ale z jego nazwiskiem to wygląda mądrze – że Neapolitańczyk pracuje tylko trochę, tyle, ile starczy, żeby przeżyć dzień. Nie martwi się o jutro, nie stara się gromadzić zapasów ani zarobić na lepsze odzienie, bo łaskawa, ciepła i płodna natura zapewnia mu jedzenie oraz bezpieczny klimat przez cały rok. Nie musi więc niczego robić na zapas, krzątać się i trapić. Brodząc po ulicach w odpadkach i resztkach materii organicznej, w obierkach i zgniłkach, pisze Goethe pean na cześć obfitości warzyw i owoców, której Campania felix dostarcza na okrągło i w wielkim wyborze.



GIACOMO BROGI, CARLO BROGI / STÄDEL MUSEUM, FRANKFURT AM MAIN

Wszyscy, jak zauważa, jedzą na ulicy. Nie przychodzi mu do głowy, że ów street food wynika z przymusu, nie z lajfstajlowego wyboru, bo mieszkańcy kolosalnej metropolii, wielkiej prawie jak Londyn, gnieżdżą się w tak koszmarnym ścisku i ciemnych izbach, że gotowanie w domu jest prawie niemożliwe. Rozumiała to natomiast o sto lat późniejsza włoska pisarka, dziennikarka i wydawczyni Matilde Serao, autorka świeżo przełożonych na polski „Trzewi Neapolu". Tę fascynującą postać, trochę podobną do naszego Prusa, a może i dziennikarsko ciekawszą, przybliża we wstępie tłumaczka tekstu Jadwiga Miszalska i nie chcę jej wyręczać w tym zadaniu, za to zachęcam do lektury całości mięsistych felietonów i reportaży.

Krótki rozdział o jedzeniu biedoty pióra Serao znałem od dawna, jest cytowany w każdej pracy naukowej na temat historii pizzy i makaronu, to jeden z pierwszych szczegółowych opisów sposobu przyrządzania i konsumpcji tego, co w następnym stuleciu miało zostać symbolem kuchni włoskiej. Serao walczyła piórem o podniesienie ludu z nędzy. A jednak i u niej, przez akapity mające w intencji wywołać litość i trwogę, prześwietla to południowe słońce, które tak łatwo w oczach każdego przybysza zamieniało dołującą biedę w cudowny koloryt. Popatrzcie sami: „Od sprzedawcy smażeniny można dostać papierową tutkę rybek zwanych fragaglia (...) za solda można też kupić u niego cztery lub pięć panzarotti, czyli smażonych pierożków nadzia-

eprasa.pl 188c212f72



Sprzedawcy makaronu. Neapol, lata 1880-1890

nych kawałkami karczocha, a gdy już nikt na karczochy nie może patrzeć – kawałkami kapuścianego głąba czy sardeli (...) Za dwa soldy można też kupić kawałek ośmiornicy gotowany w morskiej wodzie, doprawiony ostrą papryką (...) za dwa soldy karczmarz z wielkiej patelni, na której smażą się zmieszane obrzynki wieprzowego tłuszczu, flaki, szczypiorek i kawałki sepii, czerpie dużą łyżkę tej mieszanki i nakłada na chleb kupującego".

O sile przyciągania tego niesamowitego miasta, na które Wezuwiusz oprócz popiołu zdawał się wypluwać niezmywalną radość, świadczy boom turystyczny. Nawet beznadzieja emanująca z bestsellerów Eleny Ferrante jakoś nie zraża tłumów. Jest ich tyle, że magistrat rozważał zakaz otwierania kolejnych ulicznych smażalni, bo frytura zaczynała dusić gorzej od smogu. Wiem, wszystko wiem, bieda, wyzysk i niewymowny brud, wiele rzeczy nie bardzo się zmieniło od czasów Serao – ot, w ołtarzykach Maradona zastąpił gdzieniegdzie Madonnę. Trudno mi jednak sobie wyobrazić, bym doszedł kiedyś do stanu, że nie mogę patrzeć na karczochy. Nie chciałbym zamienić swojego higienicznego mieszkanka na norę w mrocznych bassi, ale moja południowa połowa genów syczy złośliwie: pomyśl no, jak by to było w środku listopada usiąść na ulicy, spałaszować rękoma miskę spaghetti i nie bać się przy tym, że ci do niej nakapie mżawka.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Cukinie in scapece

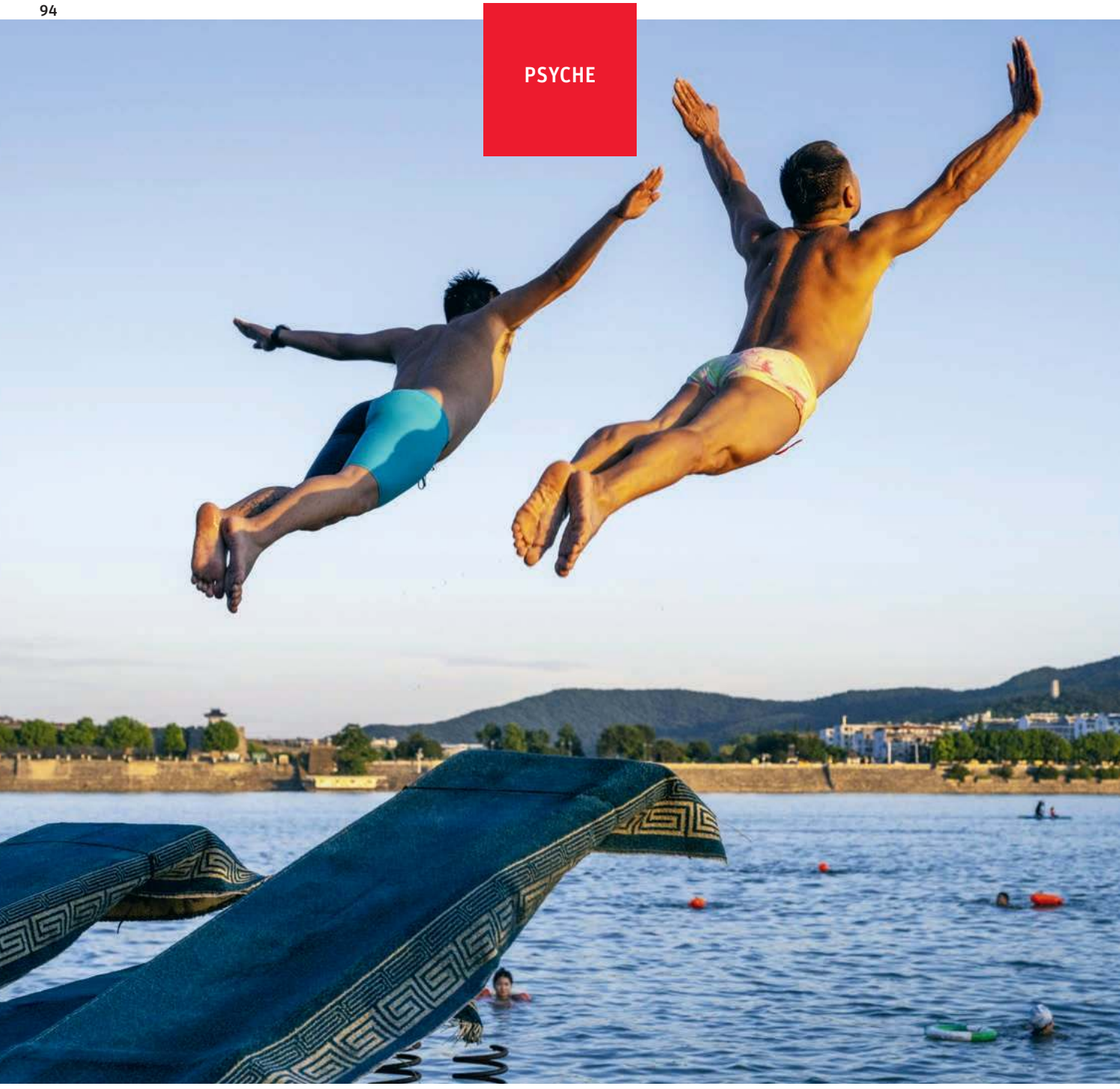
SKŁADNIKI:
0,5 kg cukinii 50 ml oliwy z oliwek 50 ml białego octu winnego ▪ pęczek mięty ▪ 2 ząbki czosnku ▪ sól ▪ olej do głębokiego smażenia

„Od karczmarza za jednego solda można kupić porcję scapece: przyrządza się je z cukinii i bakłażanów smażonych na oliwie i doprawionych octem, pieprzem, oregano, serem i pomidorami; wystawia się tę potrawę na ulicy w głębokim garnku, w którym gęstnieje i z którego czerpie się ją łyżką. Lud neapolitański przynosi kawałek chleba, dzieli go na pół, a karczmarz nakłada nań scapece" – to kolejny obrazek u Serao (opisy, jak robi się pizzę i ją sprzedaje oraz jak wygląda uliczna makaroniarnia zostawiam wam do cichej lektury na długie zimowe wieczory). Warto zwrócić uwagę na charakterystyczny dla wielu regionów Włoch rys – integralną częścią wielu potraw jest chleb i w przeszłości klienci przychodzili z własnym. Nawet Nutella była w pierwszych latach tak sprzedawana dzieciom, których rodzin nie było stać na cały słój: przynosiło się własną pajdę, a sprzedawca za jednego lira ją smarował. Smażone warzywa moczone potem w marynacie z octem, oliwą i przyprawami to też wciąż klasyk, znacie to choćby z Sycylii pod nazwą caponata. Scapece jest jej ubogim krewnym, mniej urozmaiconym, praktycznie teraz robi się to już wyłącznie z cukinii. I jeszcze jedno – wszystkie wersje, jakie jadłem i jakie można znaleźć w porządnych współczesnych źródłach, przewidują miętę, a nie oregano.
Kroimy cukinię na cienkie talarki. Ważne, żeby znaleźć taką nie bardzo przerośniętą, najlepiej o przekroju 1-1,2 cm. Rozgrzewamy na patelni albo we frytownicy olej do głębokiego smażenia (przykro mi, to Neapol, musi zalatywać smażeniną), smażymy partiami na złoto czy prawie wręcz brązowo, odsączamy starannie na ręcznikach papierowych. Po krótkim przestudzeniu przekładamy do marynaty, którą przygotowaliśmy tak: siekamy z grubsza miętę, drobno zaś czosnek, mieszamy z octem i dolewamy oliwę, aby uzyskać emulsję. Warzywa powinny się w marynacie przegryźć co najmniej parę godzin, a najlepiej całą noc. ©℗



VOLTAN / ADOBE STOCK

eprasa.pl 188c212f72



Przystań Mars View nad rzeką Han Shui, sierpień 2024 r.

ROBIĘ NOWE

Umysł osoby początkującej to umysł pozbawiony uprzedzeń i pychy, otwarty na doświadczenie takie, jakie jest. Dlaczego warto go ćwiczyć?

KAMA WOJTKIEWICZ

eprasa.pl 188c212f72

Po 12 latach od zrobienia prawa jazdy i, co ważne, niejeżdżenia, kupiłam mój pierwszy, używany samochód. Decyzję tę poprzedził szereg prób kursowania ze znajomymi i rodziną. Oswajania się z byciem za kierownicą, ergonomią auta, przemieszczaniem się po Warszawie w godzinach szczytu, parkowaniem.

Na jaw wyszła moja niewiedza, brak kompetencji oraz samochodowej intuicji. Bo przecież jak jeździć intuicyjnie, jeśli nie ma się doświadczenia? Czy to rozsądne w ogóle oczekiwać od siebie bycia biegłą i kompetentną, jeżeli jest się w czymś osobą początkującą? Minął tydzień, drugi, trzeci. Skorzystałam z jazd doszkalających technikę, przejechałam się późnym wieczorem sama, poćwiczyłam parkowanie pod domem, kiedy nikogo nie było.

Dotarło do mnie, że cała ta sytuacja jest być może jedną z niewielu, w której jako dorosła osoba wprowadzam się w stan umysłu początkującego. Umysłu, który jeszcze nie zdążył zakleszczyć się w utartych przekonaniach, konstrukcjach myślowych, usztywnieniach. Który, z racji swojej niewiedzy, pozostaje w otwartości na wszystkie sygnały z otoczenia, jest w stanie przyjąć pojęcia, informacje, sugestie i łączyć je ze sobą w dowolny sposób.

Brak doświadczenia tym samym oferuje niespotykaną w innych obszarach życia okazję, by porzucić przywiązanie do tego, co już wiem. Bo wiem właściwie niewiele. Dopuszczenie własnej omylności stworzyło miejsce na to, by zaciekawić się tym, jak może być, a nie jak według schematu być powinno.. I pojawiło się coś jeszcze – radykalne zrzucenie z siebie wstydu, że jako dorosła osoba będę w czymś słaba. A inni będą się temu bacznie przyglądać.

Siła otwartej głowy

Na Zachodzie ideę umysłu początkującego rozpowszechnił japoński mistrz zen Shunryū Suzuki, który przywiózł ją do Stanów Zjednoczonych pod koniec lat 50., a w 1970 r. wydał książkę „Umysł zen, umysł początkującego" – jedną z ważniejszych pozycji opisujących filozofię *shoshin*. Jej głównym założeniem była postawa otwartości i intelektualnej ciekawości, wolna od przywiązania do wyniku.

Umysł osoby początkującej to umysł pozbawiony uprzedzeń i pychy, otwarty na doświadczenie takie, jakie jest. W tym sensie jest to postawa wykraczająca poza prosty podział początkujący-zaawansowany, proponująca, aby z podobną otwartością i uważnością traktować świat i drugiego człowieka. Zakłada więc, że w braku dogmatyzmu i kurczowego trzymania się ustalonych założeń drzemie klucz do satysfakcjonującego i pełnego życia. Jeśli potrafię pozostawać w stanie zaciekawienia, dopuszczam możliwość bycia zaskoczoną, być może nawet zachwyconą, robi się więcej miejsca. Miejsca na różnorodność poglądów i preferencji, na kontakt z różnymi częściami siebie, nie tylko tymi dorosłymi czy kompetentnymi.

Dokąd prowadzi ciekawość

Metaanaliza Shauny M. Bowes i Lisy K. Fazio z 2024 r. pokazała, że zdolność do rozpoznawania ograniczeń własnych przekonań, którą można nazwać pokorą intelektualną, to również mniejsza podatność na dezinformację i teorie spiskowe. Zaciekawianie się własnymi poglądami i przekonaniami, jak i otwartość na zmianę zdania, wprowadza pewną giętkość poznawczą. Elastyczność w myśleniu o własnym myśleniu. A wtedy okazuje się, że jeśli pojawia się lepszy argument czy prostsze rozwiązanie, umysł zamiast przywiązywać się do ustalonej trajektorii myślenia, obiera nowy kierunek. Co realnie wpływa na nasz mózg.

Postawa zaciekawienia to przede wszystkim wzmożona aktywność śródmózgowia i jądra półleżącego – im więcej zaskoczenia i nowości, tym silniej pobudza się nasza ciekawość. W konsekwencji stan zaciekawienia wzmaga kodowanie pamięciowe, poprawiając ilość zapamiętanych informacji i długość ich przechowywania w pamięci. Niedziwne więc, że nauka umotywowana ciekawością prowadzi nas dalej niż ta pod przymusem czy z obawy przed oceną.

Sens bycia nowicjuszem

Ciekawie myśli o tym brytyjski psychoanalityk Wilfred Bion, który w „Uwadze i interpretacji" pisze o tzw. zdolności negatywnej. Czyli zdolności terapeuty do wytrzymywania niepewności i sporej dawki wątpliwości w kontakcie z pacjentem i wnoszonym przez niego materiałem, bez pospiesznego poszukiwania odpowiedzi czy wyjaśnień.

Zdaniem Biona rolą analityka nie jest sztywne stosowanie z góry przyjętej teorii, a raczej wytrzymywanie napięcia i pojawiającej się pustki, dzięki czemu powstają warunki do zaistnienia twórczych procesów, również w samym pacjencie. Dopiero tolerowanie pewnej złożoności i niejednoznaczności ludzkiej psychiki, pozostawanie w pozycji obserwatora, pozwala na wyłonienie się jakiegoś znaczenia.

Podobnie można myśleć o własnym niewiedzeniu, poza kontekstem gabinetu terapeutycznego. Usilna próba skontrolowania nowej sytuacji czy procesu nabywania nowych umiejętności nie pozwala na to, by sens ujawnił się samoistnie, w toku nabierania doświadczenia i uważności na to, co do nas przychodzi.

Być może jedną z istotniejszych korzyści, jaką ponosimy z bycia początkującymi i niewiedzącymi, jest właśnie doświadczenie poddania się temu, jak zaskakująco i niespodziewanie sprawy toczą się, zarówno w świecie, jak i w umyśle. Bez naszego udziału. I że w poddaniu się własnej niewiedzy jednocześnie wzmacnia się nasze bazowe zaufanie – że inni nie są zagrożeniem i można przyjmować od nich informacje, że rzeczy w świecie rozwijają się swoim tempem, że można polegać na pewnych strukturach społecznych, instytucjonalnych, że proces nabywania kompetencji ma swój porządek, a wraz z doświadczeniem zwiększają się nasze biegłość i kompetencja.

Słowem – żeby móc tolerować własne niewiedzenie czy bycie nowicjuszem lub nowicjuszką, trzeba rozpoznać drzemiący w tym sens i zawierzyć, że pokazanie się światu jako osoba początkująca nie spotka się z odrzuceniem czy oceną. Że będzie można oddać innym metaforyczny ciężar, oprzeć się na ich doświadczeniu i otworzyć się tym samym na nowe informacje i płynącą z nich naukę. ↦

LI FUHUA / VCG / GETTY IMAGES

eprasa.pl 188c212f72

W głowie wybitnego laika

↦ Jest jeszcze jedna korzyść, jeżeli wciąż nie udało mi się przekonać Państwa do wchodzenia w stan umysłu początkującego – kreatywność.

Rick Rubin, jeden z najbardziej uznanych współcześnie producentów muzycznych takich zespołów i artystów, jak Red Hot Chili Peppers, AC/DC, Johnny Cash czy Metallica, otwarcie przyznaje w wywiadach, że kompletnie nie zna się na muzyce. Nie ma formalnego wykształcenia, nie umie czytać nut. Działa intuicyjnie, na wyczucie. I choć pewnie jego warsztat skorzystałby z podstaw harmonii czy kształcenia słuchu, nie można mu odjąć umiejętności stosowania twórczych rozwiązań i odwagi, żeby wprowadzać innowację, eksperymentować – coś, czego wiele osób z klasycznym wykształceniem muzycznym nie potrafi.

Właśnie dlatego, że ogranicza je struktura myślenia o muzyce jako o czymś, co cechuje perfekcja, dokładność, precyzja techniczna i rzetelne odwzorowanie zapisu nutowego. W swojej debiutanckiej książce z 2023 r., „Akt twórczy. Nowy sposób bycia", Rubin sugeruje, aby jak najczęściej podłączać się pod stan kojarzony ze stanem umysłu dziecka, które wielu rzeczy jeszcze nie wie. Dlatego właśnie widzi je dokładnie takimi, jakimi się prezentują w danym momencie, a nie przez soczewkę własnych przekonań i interpretacji.

Z jednej strony Rubin zwraca uwagę na to, jak doświadczenie poszerza nasz wewnętrzny kontener z wiedzą, z której możemy czerpać. Z drugiej jednak odbiera nam to możliwość spojrzenia na świat z pewną dozą naiwności, która dopuszcza, że – jakkolwiek pompatycznie to nie brzmi – wszystko jest możliwe. A przynajmniej samo rozważanie, że wszystkie opcje są nam dostępne, uelastycznia nas w myśleniu i wynajdywaniu nieoczywistych wniosków.

> Jak się otwierać na własne niewiedzenie? Po pierwsze – warto zacząć **od ćwiczenia się we własnej giętkości poznawczej.**

Jak ćwiczyć umysł początkującego

W takim razie, jak to robić? Jak kultywować w sobie umysł początkującego i otwierać się na własne niewiedzenie? Po pierwsze – warto zacząć od ćwiczenia się we własnej giętkości poznawczej. Jako psycholożka ćwiczę się regularnie poprzez sporządzanie notatek po każdej konsultacji. Kiedy wracam do nich tydzień później przed kolejną sesją, nie przestaje mnie zadziwiać, ile informacji zawartych w notatce kompletnie umknęło mojej pamięci, nie utrwaliły się na tyle, żeby móc je przywołać bez spoglądania w zapis poprzedniej sesji.

Podobne ćwiczenie można stosować, nie będąc psycholożką czy psychoterapeutką – wystarczy zebrać grupę znajomych, oddelegować trzy osoby z grupy, aby wyszły z pokoju. W tym czasie jedna osoba, siedząc na środku koła na przeciwko drugiej, opowie jej dziesięciominutową fikcyjną historię. Historia ta niech ma zwroty akcji, szczegóły związane z relacjami głównego bohatera, jego przemianą, profilem zawodowym, prywatnym, zdrowotnym, tłem rodzinnym. Następnie jedna osoba, która opuściła pokój, zajmuje miejsce tej opowiadającej. A osoba, która słuchała historii, ma za zadanie jak najdokładniej, bez przekłamań, odtworzyć usłyszaną historię. I tak aż do ostatniej osoby, która wyszła z sali. Obserwatorzy z grupy dość szybko zorientują się, ile faktów z każdą kolejną osobą umyka, ile wątków zostaje zniekształconych, a ile podbitych przez wyobraźnię czy niejednoznaczność opowiedzianej historii.

To ćwiczenie dobrze pokazuje, że nasza pamięć nie działa niczym obiektywna kamera rejestrująca rzeczywistość, a raczej jak świadek, który próbuje rekonstruować zapamiętane wydarzenia, przepuszczając je przez pryzmat własnych wyobrażeń, doświadczeń i skojarzeń. W dostrzeżeniu nieomylności własnej pamięci buduje się pomost do tego, by podważać własne przekonania, zaciekawiać się tym, że pewne wątki czy informacje rejestrujemy inaczej, niż zostały nam przedstawione. Że przypisujemy intencje wypowiedzianym przez innych słowom, a nie zawsze jest to wiarygodnym odzwierciedleniem rzeczywistości.

Umysł początkującego można również ćwiczyć w samotności. Wystarczy wybrać dylemat etyczny czy bliski nam światopogląd i spróbować wypisać jak najwięcej kontrargumentów – co przemawia przeciwko takiemu myśleniu? Zamiast szukać dowodów w rzeczywistości, potwierdzających utarte szlaki, można poćwiczyć się w zauważaniu odległych nam etycznie informacji. Zauważanie nie wymaga zmiany danego światopoglądu – pomaga jednak nie zamykać się w obrębie własnej bańki informacyjnej i nie karmić przekonania o tym, że inni myślą i czują tak samo jak my. *Shoshin* to też postawa, z której skorzystają nasze relacje. Kultywowanie w sobie zaciekawienia przeżyciami czy myślami drugiej osoby, robienie miejsca na to, że możemy się przy sobie mylić czy czegoś nie wiedzieć, tworzy fundament pod bezpieczną więź. Taką, w której za błędy czy brak wiedzy nie jest się karanym. Można więc porzucić fasadę eksperta w tematach, w których jesteśmy dopiero początkujący, i otworzyć się na pomoc ze strony innych.

Odwaga do bycia kimś, kto nie umie

Bycie początkującym nie jest celem, do którego należy za wszelką cenę dążyć. Raczej postawą życiową, która pomaga zaciekawiać się światem, zaskakiwać, zachwycać, być uważnym i otwartym na nieoczywiste rozwiązania. Wymaga od nas odwagi, by najpierw pokazać się światu jako ktoś, kto jeszcze nie wie, jeszcze nie potrafi. Kto krzywo parkuje, zakopuje się w kałużach i ufa, że ktoś udzieli mu wsparcia – nie dlatego, że to jego obowiązek, a raczej dlatego, że widząc osobę początkującą, będzie chciał życzliwie podzielić się własnym doświadczeniem, popchnąć do przodu. I życzyć komuś na początku drogi wytrwałości i radości z uczenia się.

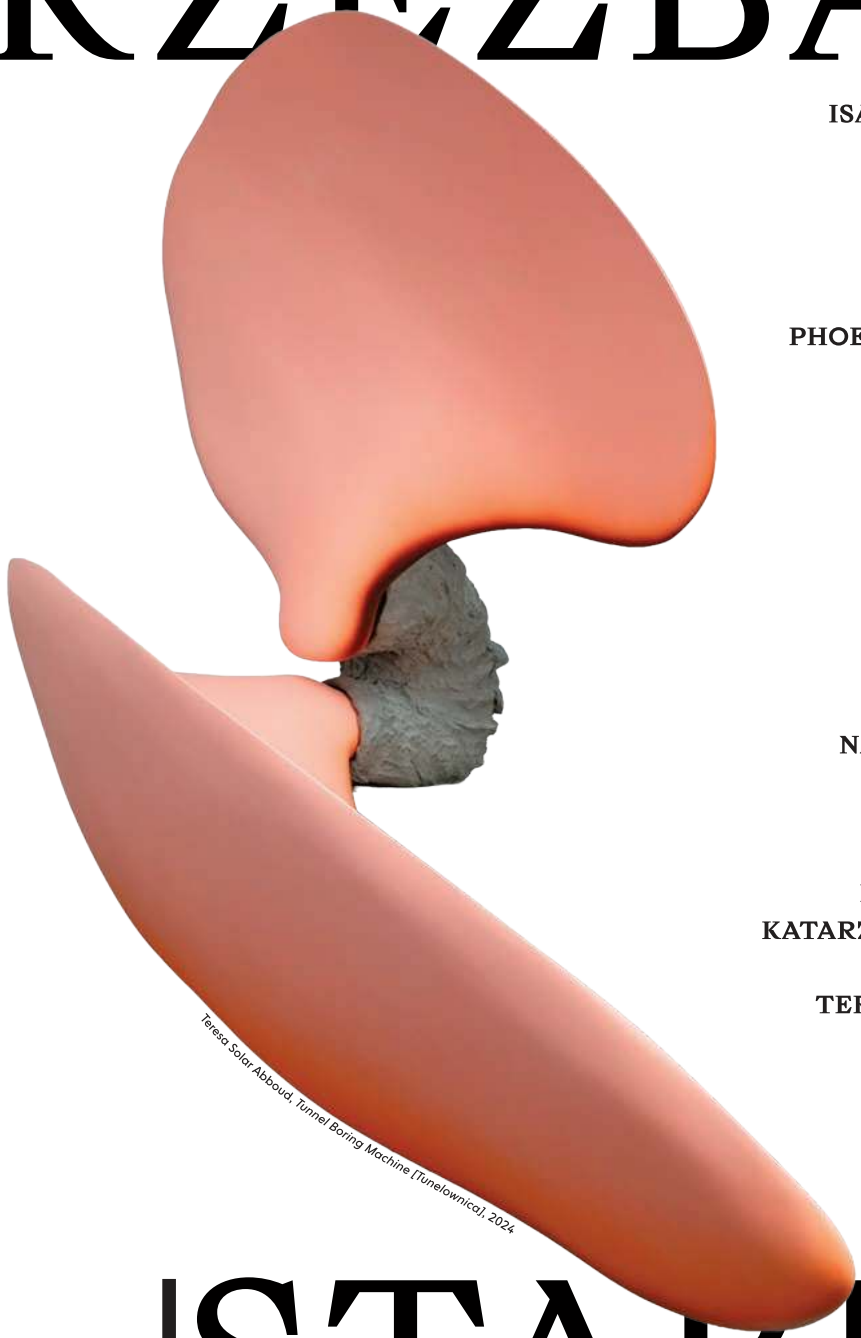
© KAMA WOJTKIEWICZ

eprasa.pl 188c212f72

REKLAMA

RZEŹBA

16.10.2026–
28.02.2027



Teresa Solar Abboud, *Tunnel Boring Machine [Tunelowinica]*, 2024

ISABELLE ANDRIESSEN
PATRICIA AYRES
OLGA BALEMA
BEATRICE BONINO
MANUEL BURGENER
GIULIA CENCI
PHOEBE COLLINGS-JAMES
JUNE CRESPO
MICHAEL DEAN
MATYÁŠ FIALA
ZUZA GOLIŃSKA
ALEXANDRA HUNTS
AGATA INGARDEN
EDITH KARLSON
KAAREL KURISMAA
MÓNICA MAYS
GIZELA MICKIEWICZ
NARGES MOHAMMADI
ANNA MYSZKOWIAK
JACK O'BRIEN
B. INGRID OLSON
DOMINIKA OLSZOWY
KATARZYNA PRZEZWAŃSKA
JESSI REAVES
TERESA SOLAR ABBOUD
KEN SORTAIS
IZA TARASEWICZ
TATIANA TROUVÉ
KAARI UPSON
NICOLE WERMERS
DOMINIQUE WHITE

PO

MNSTABIL-
NOŚCI

Instytucja kultury miasta stołecznego Warszawy
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
PARTNER STRATEGICZNY MUZEUM Audi
MECENAS MUZEUM I KOLEKCJI EY Shape the future with confidence
PARTNER EDUKACJI
PARTNERZY MUZEUM e.on PURO
PARTNER PRAWNY IDZP
PARTNERZY MEDIALNI onet VOGUE zwierciadło wysokieobcasy Pismo.
WYSTAWA PREZENTOWANA DZIĘKI WSPARCIU
PARTNERZY WYSTAWY BRITISH COUNCIL

eprasa.pl 188c212f72

TOMASZ

Stawiszyński: *Sprzeczności i komplikacje*



Z zainteresowaniem śledziłem dyskusję wokół felietonu ks. Jerzego Szymika „List do młodego księdza", opublikowanego niedawno w „Gościu Niedzielnym", a zawierającego garść porad, które doświadczony, kończący posługę kapłan kieruje do wchodzących dopiero na tę drogę. Wydźwięk tych porad brzmi jednoznacznie: zawód czy też powołanie, które wybrali, to ścieżka wyrzeczeń. Rozmaite, dostępne świeckim, środki łagodzące ból istnienia – duchownych mogą wieść na manowce. Im bowiem, jak pisze ks. Szymik, „Bóg sam wystarczy".

Cóż, czy faktycznie wystarczy, czy może jednak nie, to pytanie głównie do tych „młodych księży", sądząc zaś po ich reakcjach, nie każdy zgadza się z takim postawieniem sprawy. Najciekawszą polemikę napisał moim zdaniem 39-letni ks. Mateusz Szerszeń, który zwrócił uwagę, że idealistyczna wizja z „Listu" zdaje się nie uwzględniać zwykłej ludzkiej słabości i realiów funkcjonowania kościelnych instytucji. Ks. Szerszeń odniósł się także do bodaj najbardziej kontrowersyjnego fragmentu felietonu Szymika, który wywołał falę komentarzy także wśród osób niemających wiele wspólnego z Kościołem. Brzmiał on: „Sprzeczności i komplikacji życia nie rozwiąże żadna terapia, żadna nauka, żaden *work-life balance*".

Okoliczność, że przez media przetacza się obecnie spór o psychoterapię – o którym także i ja tutaj niedawno pisałem – wpłynęła zapewne na intensywność odbioru tego akurat fragmentu. Warto jednak zaznaczyć, że tak naprawdę nie ma w nim niczego kontrowersyjnego. Ojcowie założyciele psychoterapii – Freud i Jung – podpisaliby się pod tymi słowami bez wahania, ba, sami wielokrotnie wypowiadali tezy analogiczne. Niemal przysłowiowe stało się już *dictum* autora „Totemu i tabu", że celem psychoanalizy nie jest wprawienie człowieka w stan błogości, lecz zamiana cierpienia neurotycznego na zwykłe ludzkie cierpienie, wynikające z realiów naszej opłakanej kondycji.

Za takim postawieniem sprawy stoi następująca obserwacja i jednocześnie założenie teoretyczne: zaburzenia psychiczne bywają, paradoksalnie, czymś na kształt osłony, jaką psychika wytwarza po to, żeby uniknąć konfrontacji z rzeczywistością. Konfrontacja wiązałaby się bowiem z koniecznością uznania własnego położenia w świecie wraz z wszystkimi jego „sprzecznościami i komplikacjami" – oraz z wzięciem za nie odpowiedzialności. Psychoanaliza – i wszelka psychoterapia – z definicji nie jest więc w stanie rozwiązać tych „sprzeczności i komplikacji". Może co najwyżej pomóc odróżnić je od problemów zastępczych, które z ogromną pomysłowością wytwarzamy, żeby nie stawać twarzą w twarz z problemami autentycznymi.

Jung z kolei mawiał, że owych „sprzeczności i komplikacji" nie sposób zlikwidować, da się je wyłącznie przerosnąć. A to znaczy – nauczyć się tolerować niejasności, ambiwalencje i cierpienia, które nieodłącznie wiążą się z życiem. I dodawał, że fundamentalne problemy, z jakimi zmagają się cierpiący psychicznie, mają w gruncie rzeczy naturę... religijną. Zdaniem Junga, pod maską neurozy czy depresji często skrywa się pytanie o sens śmierci, cierpienia, istnienia w ogóle, jak również niezaspokojona potrzeba uczestnictwa w jakimś porządku – symbolicznym, rytualnym, mitycznym – który przekracza nieznośną codzienność. Kiedy takiego porządku brak, rozwija się nerwica, rozumiana tyleż jako prywatny substytut mitu i rytuału, co jako blokada przed podjęciem realnych wyzwań, które przed człowiekiem stawia los.

Wszystkie te strategie unikowe opisała Karen Horney w swoim *opus magnum* „Nerwica a rozwój człowieka", a na różne sposoby i w różnych ujęciach podobny punkt widzenia występuje w wielu nurtach i podejściach psychoterapeutycznych. W tym także sensie psychoterapia nie jest ani dyscypliną ściśle medyczną, której zadaniem jest po prostu niwelowanie objawów, ani też ściśle psychologiczną. Jest czymś oscylującym na pograniczach tych dwóch obszarów, a zarazem swoistym i autonomicznym, bo mającym do czynienia ze sprawami ostatecznymi – choć w inny sposób niż religia czy metafizyka.

Zadania i prerogatywy tak rozumianej psychoterapii kończą się w momencie, w którym człowiek staje naprzeciw „komplikacji i sprzeczności życia", których narzędziami terapeutycznymi nie sposób rozwiązać: winy, odpowiedzialności, straty, przemijania, miłości, bezradności, dobra, zła, śmierci czy wolności. Największą iluzją wytwarzaną przez kulturę terapeutyczną – która pozostaje czymś zasadniczo różnym od psychoterapii jako takiej – jest właśnie przekonanie, że to wszystko są sprawy do „przepracowania"; że analiza relacji z rodzicami, regresja do stanu niemowlęctwa, samoakceptacja i samoafirmacja albo trening taki czy ów są w stanie powyższe kwestie albo zdezaktywować, albo co najmniej złagodzić ich graniczną naturę.

W tym kontekście widać wyraźnie dwie rzeczy. Po pierwsze, ks. Szymik zasadniczo ma rację – żadna terapia nie rozwiąże egzystencjalnych dylematów. Po drugie, właśnie po to psychoterapia może być dla księży pożyteczna, żeby umieli odróżnić egzystencjalne dylematy od własnych problemów czy kompleksów. Owszem, łatwo pomylić rozterki metafizyczne z psychologicznymi, ale równie łatwo maskować osobiste komplikacje wzniosłą metafizyką i używać religii w służbie własnych neuroz. Czego widomych przykładów mamy niestety całkiem sporo. ©

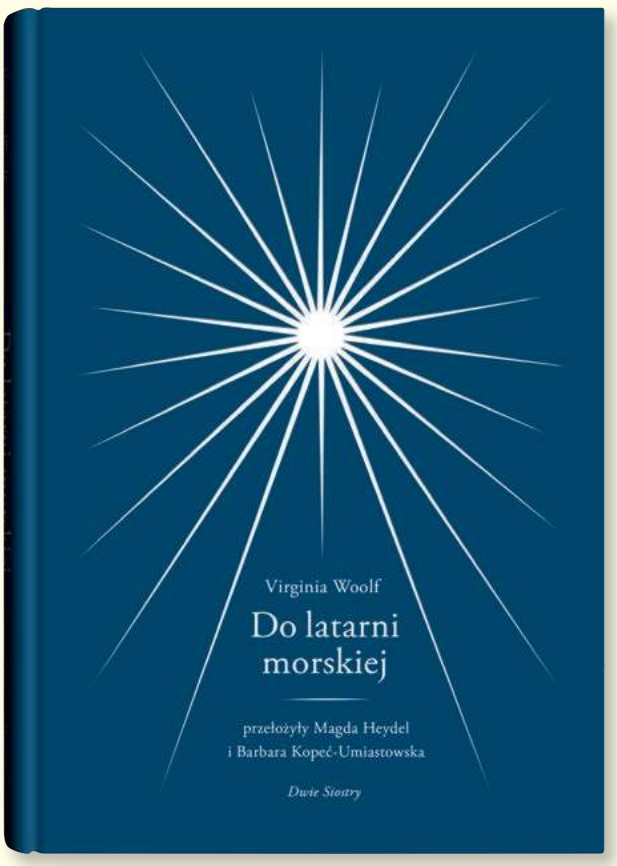
Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

eprasa.pl 188c212f72

Najsłynniejsza powieść

Virginii Woolf

w nowym, wiernym
genialnemu oryginałowi przekładzie
i wyrafinowanym
opracowaniu graficznym.



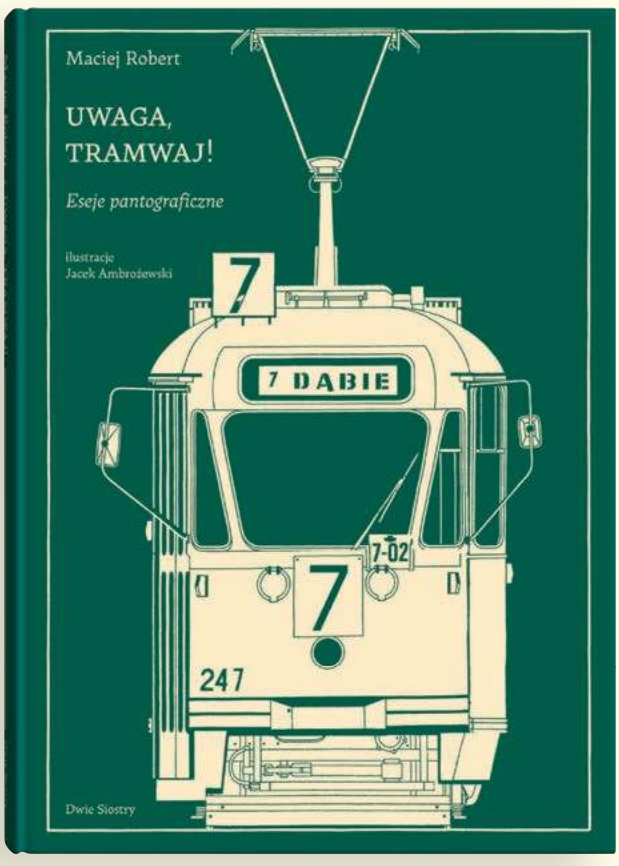
przekład: Magda Heydel i Barbara Kopeć-Umiastowska
opracowanie graficzne: Zosia Frankowska

świeżym okiem

Seria Wydawnictwa Dwie Siostry
dla dorosłych czytelników, w której ukazują się
bogato i wyraziście zilustrowane
wydania klasyki literatury pięknej.

Cud techniki,
zawalidroga, obiekt
nostalgicznych westchnień.
Słowem:

tramwaj.



Pięćdziesiąt miniesejów
Macieja Roberta o miastach
widzianych z okna tramwaju,
z efektownymi ilustracjami
Jacka Ambrożewskiego.

Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

wydawnictwodwiesiostry.pl

REKLAMA

eprasa.pl 188c212f72

REKLAMA

Kraków

ELEANOR ANTIN

RETROSPEKTYWA
A RETROSPECTIVE

5.12.2026–21.3.2027

MOCAK



Eleanor Antin, *Siostra Eleanor, pielęgniarka dyplomowana | Nurse Eleanor, R.N.*, 1976/2007, wydruk atramentowy, wizytówka | Iris print, business card, 70,5 × 93,4 cm, courtesy Eleanor Antin and Diane Rosenstein Gallery, Los Angeles, and Andrew Kreps Gallery, New York

MUZEUM SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ W KRAKOWIE MOCAK – INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA
MOCAK THE MUSEUM OF CONTEMPORARY ART IN KRAKÓW – A CULTURAL INSTITUTION OF THE CITY OF KRAKÓW

ORGANIZATORZY
ORGANISERS

MUZEUM SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ W KRAKOWIE
MOCAK
MUSEUM OF CONTEMPORARY ART IN KRAKÓW

MUDAM

KUNSTMUSEUM LIECHTENSTEIN

PATRON GALERII RE
RE GALLERY PATRON
RE-Bau

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO POCHODZĄCYCH Z FUNDUSZU PROMOCJI KULTURY
CO-FINANCED BY THE MINISTRY OF CULTURE AND NATIONAL HERITAGE FROM THE CULTURE PROMOTION FUND

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

PATRONI MEDIALNI
MEDIA PATRONS

wyborcza.pl
TYGODNIK POWSZECHNY
MINT
Kraków Culture
Radio Kraków
Radio Kraków Kultura
RESTART
CONTEMPORARY LYNX

eprasa.pl 188c212f72